ROK I. LIPIEC 1939. NR 3.

TEOLOGIA PRAKTYCZNA

KWARTALNIK DLA DUSZPASTERZY
WYCHODZĄCY POD REDAKCJĄ
KS. REKTORA KAZIMIERZA KOWALSKIEGO
PRZY WSPÓŁPRACY KSIĘŻY PROFESORÓW
ARCYBISKUPIEGO SEMIN. DUCHOWN. W POZNANIU

NAKŁADEM DRUKARNI I KSIĘGARNI
ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU

SPIS TREŚCI

ADRES REDAKCJI:
POZNAŃ, WIEŻOWA 1—4, ARCYBISKUPIE SEMINARIUM DUCHOWNE

ADRES ADMINISTRACJI:
KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA, POZNAŃ
ALEJE MARCINKOWSKIEGO 22. KONTO POCZTOWEGO OBROTU ROZRACHUNKOWEGO — POZNAŃ III NR 0.24

PRENUMERATA ROCZNA = 6.— ZŁ. DLA ABONENTÓW NOWEJ BIBLIOTEKI KAZNODZIEJSKIEJ ORAZ ALUMNÓW SEMINARIUM DUCHOWNEGO = 4.— ZŁ.

ROK I. LIPIEC 1939. NR 3.

TEOLOGIA PRAKTYCZNA

KWARTALNIK DLA DUSZPASTERZY

Ś. ✝ P.

KS. BISKUP ANTONI LAUBITZ.

„Wielu chwalić będzie mądrość jego,
i aż na wieki nie będzie wymazana,
i nie ustanie pamięć o nim,
i o imię jego pytać się będą od narodu do narodu.
Mądrość jego narody wysławiać będą,
a Kościół chwałę jego opowiadać będzie."
Ks. Mądr. Syr. 39, 12-14.

Pragnąc szkicować obraz śp. ks. bp. Laubitza trzeba by właściwie odstawić atrament, odłożyć papier i pióro, a wziąć na warsztat śpiż i marmur oraz Marcina Rożka twórcze dłuto.

Gdy papież mianował go w listopadzie 1924 r. biskupem tytularnym jasseńskim miał pełnych lat sześćdziesiąt i trzy. Był więc według pojęć północnych starcem nie do pastorału, ale do laski sędziwości gotowym. Mądrość Rzymu jak zawsze tak i w tej nominacji okazała się w całej pełni. Przez lat piętnaście służył od świtu do nocy Ko-

ściołowi i Narodowi. Z pełnym snopem czynów i zasług stanął przed Bogiem, aby zdać sprawę z włodarstwa swego. Śp. biskup miał w sobie pewną twardość, można by mówić o kujawskim uporze, może nawet nie bez słuszności szeptało się w dobrym znaczeniu o bezwzględności „władyki". Historyk z lat późniejszych policzy jego wiekopomne dzieła, zważy intencje — o ile to możliwe — ustali sukcesy i stwierdzi sprawiedliwie, że takim musiał być, jakim był, inaczej puste zostałyby po nim brogi.

Są ludzie, którzy rodzą się do władzy i czynu. Nawet bez złocistej mitry i korony hrabstwa rzymskiego byłby śp. Zmarły zostawił wielkie nazwisko. Szedł bowiem od roboty do roboty, a zawsze w wielkim stylu.

Pan Bóg rzeźbił go też twardym dłutem krzyża. Pobudował wspaniałą, potężną świątynię, chlubę Inowrocławia i Kujaw. W sam Wielki Piątek pochłonęła ziemia wielką jej część. Nie załamał się robotnik boży. Na progu biskupstwa nowy krzyż niechybnie jeszcze boleśniejszy włożył mu Pan na barki. Przygarbił się na chwilę, oczy zaszły mu mgłą. Potem stanął do pracy od porannej do wieczornej zorzy. Miał w duszy coś ze średniowiecza, co to zostawiło strzeliste, niespożyte katedry, a słodką pobożność wdzięcznych kantylen miękkim czasom potomnych.

Pochłaniała go chwała boża. Dbał o nią całą duszą, rozumem, wolą nieugiętą, a także sercem, na oko ukrytym niby w stalowym schronie.

Gdyby niewdzięczność ludzka chciała wymazać jego pamięć, podniósłby sprzeciw Wojciechdzwon, przez niego osadzony na podniebnym tronie wieży bazyliki.

Sama macierz polskich kościołów stanęłaby w monarszej krasie, głosząc czyny jego wśród wtóru miasta stołecznego prymasów, które w nowe przyodział blaski.

Mądry był, odważny w sprawach Kościoła i narodu, dla biednych hojny, gospodarny i gościnny wzorem Piasta.

Żałoba o niego podszyta jest cichą dumą, że męża-kapłana takiej miary wydała Polska. Z jego trumną nie harmonizują jakoś łzy i szlochy, raczej wydaje się na miejscu potrzaskiwanie tarczami, zbroi chrzęst i mieczów pobrzęk, niby na pochowie żołnierza wielkiej szarży i sławy na miarę Chrobrego, w którego pomniku najlepiej ksiądz biskup Laubitz wypowiedział swoje aspiracje.

Była mowa o krzyżach, nie wolno więc przemilczeć powodzenia i uznania, które mu towarzyszyło wiernie. Miał także, co się w świecie nazywa szczęściem.

Opatrzność oddała go w ręce Zwierzchnika, który nie krępował rozmachu, pochwałą zachęcał, medal wybił na cześć jego, rozszerzał hojnie kompetencje, darzył zaufaniem. A to znaczy bardzo dużo, gotowość bowiem do czynu tłumioną, podcinana, zamykana grozi kwasem i fermentem.

Śp. ksiądz biskup Antoni Laubitz przeszedł już ostatni egzamin.

Wielkim był — ale tylko człowiekiem. Niewątpliwie też wygląda subsydiów ofiary najśw. i modlitwy. Więcej mu one teraz znaczą, aniżeli hołdy i wspomnienia. Nie poskąpią mu chyba serca i błagalnej pamięci wszyscy, co chylą czoło przed jego pamięcią.

X. Józef Prądzyński.

Ks. Jan Rostworowski T. J. — Warszawa.

K A P Ł A N „Ś W I E C K I".

Habent sua fata... non solum libelli! Zdarza się nieraz, że miewają ciekawą i skomplikowaną historię pewne wyrazy. Interesujący bywa i sam grunt psychologiczny lub historyczny, na którym one przyjmują się i w używanie wchodzą, a pouczające bywają i dalsze ich dzieje. Tak się ma rzecz i ze słowem, które dziś każdy nieomal bez żadnego zastanowienia wymawia, choć mogłoby ono słusznie uderzać: sacerdos saecularis, kapłan świecki.

Że wyraz saecularis, jak zresztą źródło jego, wyraz saeculum, nie ma w Piśmie świętym i w terminologii kościelnej dodatniego znaczenia to powszechnie wiadomo. Przeciwstawiają się te słowa temu, co religijne, co święte, co do Boga i Jego kultu skierowane. Przeciwieństwo to nie jest wprawdzie tak silne, jak między wyrazami sacer i sanctus a profanus, ale brzmi czymś podobnym. To bowiem jest saeculare, co należy do tej ziemi, do tego doczesnego świata i jego spraw, do sfery zabiegów i interesów czysto ludzkich, nie do spraw związanych ze zbawieniem i Królestwem Bożym. Dlatego to Pan Jezus przeciwstawia filios huius saeculi filiis lucis (Łk. 16, 8) i gdzie indziej powiada, że sollicitudo istius saeculi suffocat verbum, czyli tłumi i gubi naukę ewangeliczną (Mt. 13, 22), a św. Paweł ogólnie powiada, że Chrystus dedit semetipsum ut eriperet nos de praesenti saeculo nequam. (Gal. 1, 4) Saeculum to jest prawie tyle, co mundus w swym negatywnym znaczeniu i dlatego, jak mówi św. Jan: Qui diligit mundum non est caritas Patris in eo (I. 2, 15), tak powiada św. Jakub: Quicumque voluerit amicus esse saeculi huius, inimicus Dei constituitur (4, 4). I słowo mundus i słowo saeculum oddaje Wujek zupełnie słusznie jednym i tym samym słowem: świat.

Wobec tego jest rzeczą jasną, że musi mieć sens w ogóle negatywny i wyraz saecularis. To też saecula-

ria negotia, w które nie powinien się wdawać sługa boży (2. Tym. 2, 4) to są rzeczy dotyczące dóbr i interesów czysto ziemskich, podobnie jak 1. Kor. 6, 3. 4., i dlatego nakazuje Apostoł wszystkim wyznawcom nauki Chrystusowej, ut abnegantes saecularia desideria, sobrie et iuste et pie vivant in hoc saeculo. (Tyt. 2, 12.)

Mówi wprawdzie na jednym miejscu św. Paweł i o sanctum saeculare (Żyd. 9, 1), ale używa tego słowa w sensie wyraźnie pejoratywnym, bo przeciwstawia nowej świątyni i nowym obrzędom chrześcijańskim infirma et egena elementa tj. grubo materialne ceremonie dawnego kultu, które nie zdolne były własnym działaniem uświęcić duszy, ale trzymały cały stary zakon jakby w służbie żywiołów tej ziemi. (Gal. 4, 3. 9. Żyd. 9). Stąd też w całej bez wyjątku terminologii kościelnej, na Piśmie świętym urobionej, gdzie tylko zachodzą wyrazy saecularis i saeculare, znaczenie ich jest zupełnie niewątpliwe: chodzi tu zawsze o ludzi, o rzeczy, o sprawy, o siły dziedziny czysto doczesnej i ziemskiej, zazwyczaj nawet z przeciwstawieniem do dziedziny religijnej i świętej.

Wobec tego zachodzi pytanie, jak mogło dojść do zestawienia tych dwóch wyrazów: sacerdos... saecularis? Zdawałoby się bowiem, że jeśli kto na świecie nie jest i nie może być saecularis, to kapłan, bo i on sam ex hominibus assumptus, pro hominibus constituitur in iis quae sunt ad Deum (Żyd. 5, 1) i cała sfera jego działalności jest najwybitniej religijna. Jeżeli już w starym zakonie na niezliczonych miejscach nazywa Bóg kapłanów „świętymi", jeśli w nowym zakonie nawet ogólnie kapłaństwo wiernych zasługuje sobie na pochwałę: regale sacerdotium, gens sancta, jakże nie ma być świętym rzeczywiste kapłaństwo Chrystusowe? A jeżeli jest z natury swojej świętym, jak może zarazem być saeculare, to znaczy właśnie nie świętym, ludzkim i ziemskim?

Na połączenie tych dwóch wyrazów, zawierających nieomal contradictionem in adiecto trzeba było czekać długo. Nietylko przez pierwsze tysiąclecie chrześcijaństwa, ale jeszcze głęboko w wieki średnie ciągnął się zwyczaj mówienia o kapłanach sine addito. Jakkolwiek istnieli już od dawna kapłani zakonnicy, aż do początków XIII wieku nosili oni tylko nazwę mnichów, monachi, podczas gdy nazwy: sacerdotes, presbyteri, clerici rezerwowane były jedynie tym, których później nazwano duchowieństwem świeckim. Św. Tomasz, choć często i obszernie rozbiera zagadnienia dotyczące hierarchii i kapłaństwa,

w ogóle trzyma się tego samego sposobu mówienia. Raz tylko, gdy zadaje sobie pytanie czy presbyteri curati et archidiaconi — rozumie przez to kler świecki — sint maioris perfectionis quam religiosi, obok rozmaitych innych rozróżnień podaje i to, że quoad statum, religiosi sunt perfectiores presbyteris et archidiaconis, quia hi sunt saeculares. (II. II. q. 184. a. 8. c.) Nie widać jednak, żeby ten epitet utarł się od razu. Chociaż w XIII i XIV wieku mogła zachodzić dużo częstsza potrzeba rozgraniczania świeckiego i zakonnego duchowieństwa, bo niezmiernie rozpowszechnione zakony dominikański i franciszkański daleko bardziej niż dawne zgromadzenia zajmowały się pracą apostolską, owszem, choć częste powstawały na tym tle, bądź herezje, bądź zatargi, w ogóle nie spotykamy jeszcze sposobu mówienia: sacerdotes saeculares, ale jużto sacerdotes parochiales (np. w Konst. Aleksandra IV z r. 1256. Denz. 381) jużto presbyteri, sacerdotes, ecclesiastici itp. Ten stan rzeczy trwa jeszcze w XV wieku za czasów Konstancjańskiego i Florenckiego soboru, mimo iż błędy Wikleffa i Husa były okazją do częstych rozpraw nad stanem duchownym w ogóle i nad wzajemnym stosunkiem świeckiego i zakonnego kleru.

Pod koniec wieku XV i z początkiem XVI ten stan rzeczy widocznie się zmienia, bo sobór Trydencki w dekretach de reformatione już często i bez żadnego, czyto wahania czy objaśnienia, używa wyrażeń presbyteri saeculares, clerici saeculares itp. (np. ss. 5 cp. 2. ss. 6. cp. 3. ss. 14. cp. 4 itp.).

Po soborze Trydenckim ten sposób mówienia uciera się już zupełnie i przyjmuje się tak powszechnie, że jeszcze w nowym kodeksie prawa kanonicznego — lubo nie zbyt często — znajduje zastosowanie (np. kn. 126. 131 § 3 itp.).

Co mogło terminologię kościelną na te drogi skierować?

Złożyło się na to zapewne kilka przyczyn.

Najpierw ten odłam duchowieństwa, od którego trzeba było coraz częściej odróżniać kler świecki, tj. kler zakonny, coraz bardziej zmieniał swą postać i charakter i coraz bardziej wychodził z form dawnego monachizmu. Nietylko bowiem, że wielu zakonników rozwijało bardzo żywą działalność in cura animarum, ale zaczęły się mnożyć zgromadzenia tzw. clerici regulares, którzy już z dawnym mnichowskim typem nie mieli nic wspólnego. Nie dało się już więc utrzymać rozróżnienie: monachi et

sacerdotes, tylko trzeba było koniecznie coś dodać do słowa sacerdotes, aby uniknąć nieporozumień.

Czemuż dodano niezręczne i w pewnej mierze uwłaczające słowo: saeculares?

Przede wszystkim pewnie dlatego, że bez głębszej analizy i bez pracowitego szukania odpowiedniego wyrazu, wzięto pierwszy z brzegu, który sam się nawinął, a mógł oddać jakie takie usługi.

Poza tym jednak niezawodnie wpłynęły na ten wybór choć może nie całkiem świadomie, dwie rzeczy.

I tak najpierw, jak poucza historia i jak na to wskazują chociażby reformacyjne dekrety soboru Trydenckiego, bardzo znaczna część diecezjalnego kleru żyła wówczas naprawdę po świecku. Od kilku wieków powoli rozluźniała się karność, przyjmowano często beneficja, nie troszcząc się o uzyskanie odpowiednich święceń, celibat był mało przestrzegany, zbytek, światowe rozrywki, niewstrzemięźliwość, od wyższego kleru przechodziły złym przykładem na niższy, z dodatkiem jeszcze dużej ciemnoty w sprawach wiary. Nic więc dziwnego, że w odniesieniu do takich sług ołtarza już mniej raził ucho dodatek: Si quis in ecclesia sua sub episcopo populum retinet et saeculariter vivit, si afflatus Spiritu Sancto in aliquo monasterio salvare se voluerit ...non impediatur. (19, qu. 2. cp. Duae).

A wreszcie i to trzeba brać w rachubę, że, jak cała prawie wiedza teologiczna i prawnicza była wówczas w ręku zakonników, tak od nich też głównie zależało urabianie takiej lub innej terminologii. Otóż jakkolwiek i w klasztorach dyscyplina pozostawiała niemało do życzenia, łatwo zrozumieć, że zakonnicy, spoglądając na kler świecki z pewnym odczuciem wyższości, chętnie darzyli go epitetem, w którym ta „wyższość" zakonna znajdowała wyraz. Owa skłonność zakonników do wynoszenia się ponad kler świecki, nie była zresztą niczym nowym, skoro gani ją św. Augustyn: Nimis dolendum est, si ad tam ruinosam superbiam monachos surrigamus et tam gravi contumelia clericos dignos putemus ut scil. dicatur, quod malus monachus bonus clericus est, cum aliquando etiam bonus monachus vix bonum clericum faciat. (p. 76 ad Aurel.)

Na takich mniej więcej drogach zrodziła się ta, bądź co bądź anomalia terminologiczna, że oficjalni reprezentanci i siewcy świętości, którzy przede wszystkim mieli pełnić zalecenie apostolskie, ut immaculatos se custodi-

rent ab hoc saeculo (Jak. 1, 27) od owego saeculum zapożyczyli techniczne swoje miano.

Z biegiem czasu stało się jednak gorzej, jakby na potwierdzenie znanego adagium, że parvus error in principio fit magnus error in fine. Zaczęto mianowicie niejednokrotnie owej uznanej „świeckości" diecezjalnego kleru używać za punkt wyjścia do zupełnie niezdrowych i fatalnych w rezultacie, rozumowań. „Przecież kapłan świecki nie jest zakonnikiem, a więc mu i to wolno w trybie życia i ubraniu i zachowaniu i w różnych innych rzeczach, aż do tańca włącznie lub do uczestnictwa w publicznych widowiskach". Niejedne z tych i podobnych rozumowań dawały się słyszeć w powyższej grubej formie; inne zatruwały umysły w formie subtelniejszej, ale zaledwie mniej zgubnej. Owocem zaś, przynajmniej częściowym, była ta nowa fala zeświecczenia, która ogarnęła kler pod koniec XVIII wieku i długo jeszcze potem dawała się odczuć w Kościele.

Przyszła jednak, bo nie mogła nie przyjść tam, gdzie ustawicznie działa Duch prawdy, zbawienna reakcja. Pojawiła się ona tak w odniesieniu do terminologii, jak przede wszystkim w samej rzeczy. Są widoki na to, że upokarzająca nazwa „świeckiego" duchowieństwa, albo całkiem z użytku wyjdzie, albo zostanie zneutralizowana takim zupełnym zatarciem pierwotnego znaczenia, jakiego przykłady spotykamy w niejednym i pospolitym i naukowym wyrazie.

Zaczęła się ta reakcja z tym potężnym ruchem religijnego odrodzenia, który datuje się głównie od Watykańskiego soboru. Pod wpływem tego soboru i za sprawą całego szeregu opatrznościowych Papieży, jak całe życie katolickie, tak zaczęło się też dźwigać i kapłaństwo, odchodząc daleko od tego poziomu, do którego jeszcze jakkolwiek przystawać mogła nazwa kapłanów „świeckich".

Byłoby za długo wymieniać wszystko, co w tym czasie postanowiono w Kościele dla wychowania i wykształcenia kleru, dla utrzymania go w duchu gorliwości kapłańskiej, dla ustrzeżenia od niebezpieczeństw, dla ujęcia w silniejsze węzły hierarchicznego podporządkowania, dla ugruntowania w życiu i w zachowaniu godnym prawdziwych sług ołtarza. Wystarczy przejrzeć dokładnie całą pierwszą część drugiej księgi nowego Kodeksu prawa kanonicznego, zwłaszcza kanony 124 do 144, aby się przekonać, ile drogi zrobiono, nietylko już od istniejącego w połowie jeszcze XIX wieku stanu rzeczy, ale od daw-

niej przejętych przepisów. Jakkolwiek bowiem Kodeks powołuje się zawsze na poprzednio już wydane ustawy, można śmiało powiedzieć, że tak zupełnego, tak wysokiego i doskonałego obrazu duchowieństwa, jak ten, który znajdujemy na kartach Kodeksu, dotąd niebyło w oficjalnych Kościoła dokumentach. Jest zaś ta rzecz tem cenniejsza, że, jak zwykle bywa, po linii przez Kodeks wytkniętej poszły synody diecezjalne i prowincjonalne uzupełniając jeszcze ten obraz kapłaństwa katolickiego i wprowadzając go bezpośrednio w praktykę życia.

Że między innymi zrobił to bardzo pięknie pierwszy plenarny Synod odrodzonej Polski, to powszechnie wiadomo i to było już nieraz przedmiotem gruntownych opracowań. My chcielibyśmy zwrócić tu uwagę na jeden szczegół, a mianowicie, jak dalece uchwały Synodu ścierają z naszego kapłaństwa reszty tej jakiejkolwiek „świeckości", która w myśl dawnych pojęć, mogła jeszcze na nim pozostać. Kapłan, któryby w pełni dostosował się do przepisów Synodu, to już naprawdę człowiek, w którym niema nic „świeckiego", ale owszem sługa Jezusa Chrystusa, „przez którego mu świat ukrzyżowany jest a on światu". (Gal. 6, 14).

I tak, zaczynając od rzeczy zewnętrznych, przypomina Synod obowiązek stosowania się pod względem ubioru do norm dla osób duchownych ustanowionych, a unikania, tak w domu jak poza domem, świeckiego stroju, nie licującego z obowiązującą wszystkich, tonzurą. (U. 11).

Bez pardonu wyklucza też Synod z życia kapłanów świeckie rozrywki. W Uchw. 10. zabrania duchownym tak wystawnych przyjęć, jak korzystania z kąpieli i plaży dla obojga płci wspólnej, jak wreszcie uczęszczania do lokalów rozrywkowych, gdzie ich obecność mogłaby wywołać zgorszenie. W Uchw. zaś 15. bliżej określa owe rozrywki im nieprzystojne, jako widowiska, tańce, zabawy a zwłaszcza bywanie w teatrach publicznych. Nie inaczej zapatruje się Synod na świeckie zajęcia, czyli na owe apostolskie negotia saecularia, zabraniając kapłanom, w pośredniej czy bezpośredniej formie handlu i kupiectwa (U. 15) oraz związanych z nimi lub pokrewnych czynności, jak wystawianie lub żyrowanie weksli, przyjmowanie depozytów, zarządzanie jakimikolwiek kasami, uczestniczenie w zarządzie, banków, spółek handlowych itp. bez zgody własnego Ordynariusza. (U. 18). Bez tej samej zgody a nadto bez zezwolenia Biskupa w którego

diecezji miałaby się ta praca rozwijać, nie wolno kapłanom przyjmować urzędów czy obowiązków związanych z jakąś działalnością publiczną. (U. 17).

Odsunąwszy w ten sposób od kapłanów życie świeckie, dąży do tego Synod, by i mieszkania kapłańskie nacechowane były powagą domów kościelnych, wolnych od świeckiego trybu i gwaru. W tym celu nietylko najsurowiej zabrania trzymania u siebie kobiet, których obecność mogłaby na jakiekolwiek podejrzenia narażać (U. 12), ale nie pozwala, bez zgody Biskupa, przyjmować na stałe mieszkanie na plebanii lub w domach dla duchowieństwa przeznaczonych, ani krewnych ani innych osób świeckich. Natomiast wyraża życzenie, aby wszyscy kapłani w danej miejscowości przebywający, mieszkali razem czy to na plebanii czy w innym odpowiednim domu i prowadzili życie wspólne. (U. 13). Specjalnie jest to zalecone proboszczom i ich współpracownikom wikariuszom. (U. 43). Nawet na starość i przy niezdolności do pracy, mają być zapewnione dla kapłanów odpowiednie ich stanowi pomieszczenia. (U. 20).

A co w myśl Synodu, ma pozytywnie wypełniać kapłańskie życie i domy?

Żywy stosunek z Bogiem, praktyka cnót nadprzyrodzonych: czystości, posłuszeństwa władzy, duchowego ubóstwa, gorliwość o dusz zbawienie a nade wszystko wytężona praca.

O stosunku kapłanów do Boga, odsyłając po bliższe określenia do Kodeksu prawa kanonicznego (knn.124—126) mówią Uchwały 5 i 6, dodając zalecenie rekolekcyj corocznych i tak bardzo pożytecznej praktyki miesięcznego skupienia, oraz pilną lekturę książek i pism treści ascetycznej i należących do zakresu nauk kościelnych.

W przedmiocie czystości Synod nie mówi wiele, ale, prócz wymienionych wyżej ostrożności, odwołując się do tak surowych słów Kodeksu, jakie zawiera Kn. 133 § 4., dostatecznie zaznacza, jak ogromną wagę do tej cnoty przykłada, żądając największej czujności we wszelkich stosunkach z płcią drugą, nietylko co do jej przyjmowania u siebie, ale co do odwiedzania po domach.

Wszelkie odmiany chciwości, przeciwnej duchowemu ubóstwu, energicznie potępiają uchwały 40—42, zawierające zapowiedź surowych sankcyj na nieposłusznych. Z całą stanowczością nałożony obowiązek świadczenia ubogim posług duchownych bez żadnego wynagrodzenia zmusza kapłanów do częstej bardzo ofiary i do ćwiczenia

się w bezinteresowności, tak bardzo zdobiącej cały ich stan.

O ścisłych stosunkach zależności od wszelkiej duchownej władzy mówi Synod na bardzo wielu miejscach, tak w odniesieniu do Głowy chrześcijaństwa, jak do Rządców diecezyj, do dziekanów i proboszczów. Cały stan duchowny występuje w Synodzie, jako acies bene ordinata, w której każdy człon związany jest z wyższymi przez rozmaite a bardzo silne węzły. (Por. UU. 7. 8. 16. 22. 24. 25. 26. § 3. 27. 29. 30. 42. 43. 44. itd).

Co dotyczy wreszcie gorliwości o dusz zbawienie i wymaganej w tym kierunku pracy, doprawdy pyta się człowiek, jak starczy czasu i sił żeby wszystko, co polecone, wypełnić. Prócz działalności zamykającej się w samym kościele, prowadzenie Akcji Katolickiej i katolickiego domu, kierownictwo stowarzyszeniami, osobiste stosunki z parafianami przez odwiedzanie i przyjmowanie ich u siebie, opieka nad chorymi, organizacja Papieskich Dzieł Misyjnych i dzieł miłosierdzia, prowadzenie ksiąg i archiwów, zajmowanie się szkołami itd. itd. to wszystko ma wypełniać onus diei każdego kapłana.

Jeżeli zaś do tego dodamy zalecenia, żeby wszyscy kapłani zapisywali się do stowarzyszeń skierowanych do świętości kapłańskiej, między którymi taka np. Unia Apostolska kleru jest, bez przesady jakby rodzajem rozsypanego zakonnego zgromadzenia, (U. 5) oraz żeby duchowieństwo, przez bliskie wzajemne stosunki, starało się tworzyć jedną solidarną całość (U. 9), jeżeli zwrócimy uwagę, że nawet w testamentarnych rozporządzeniach, na pierwszym miejscu mają być uzwględnione cele dobroczynne i kościelne (U. 19. § 2) — pytam się co jeszcze zostaje w kapłańskim życiu z owej „świeckości“, która mogłaby odpowiedzieć nazwie: sacerdos saecularis? Ś. p. Kardynał Mercier, który tak się oburzał na miano „świeckich“ księży i zamiast tego epitetu żądał wprowadzenia nazwy księży „diecezjalnych“, mógłby ze zadowoleniem stwierdzić, że po Kodeksie i po takich synodach, jak plenarny polski, o kapłanach „świeckich“ chyba tylko kat antiphrasin mówić można. W rzeczywistości bowiem są oni na swój sposób regulares et valde regulares, to znaczy, że są ujęci w karby bardzo ścisłej dyscypliny, tem trudniejszej i uciążliwszej, że pozbawionej tych pomocy jakie daje życie w jednym zakonnym zgromadzeniu i domu. Św. Augustyn pisze do Waleriana o klerze świeckim: Cogitet religiosa prudentia tua nihil esse in hac vita, et

maxime hoc tempore, difficilius, laboriosius, periculosius, episcopi, aut presbyteri aut diaconi officio ...si eo modo militetur, quo Imperator noster iubet" (Ep. 148). Jeżeli więc tę trudność obowiązków, która od czasu św. Biskupa Hippony pomnożyła się pewnie dziesięciokrotnie, dodamy do ścisłości przepisów jakimi Kościół swych kapłanów otacza, przyjdzie nam stwierdzić, że owa dawna, jakakolwiek „świeckość" ustąpiła już miejsca jakiejś sui generis „zakonności", nie formy lecz ducha.

I owszem, można powiedzieć coś więcej.

O jednym ze starych papieży czytamy: Eosdem voluit esse clericos quos monachos, ut esset in viris et contemptus rerum et accuratio levitarum. Pominąwszy ideę monachizmu, można powiedzieć że w tym kierunku poszła i idzie jeszcze ewolucja kościelnego życia, żeby z kapłanów, zwanych niegdyś „świeckimi" zrobić jak gdyby członków luźnego zgromadzenia zakonnego, pod najwyższym przełożonym, Biskupem diecezjalnym. Do tego zmierza coraz to ściślejsze wychowanie duchowne po seminariach, do tego zmierzają wspomniane wyżej, zdumiewające nieraz swą zwartością, stowarzyszenia kapłańskie, do tego potęgująca się coraz bardziej sieć związków łączących kapłanów czyto z Władzą czy pomiędzy sobą, do tego zakładanie domów kapłańskich, czy po miejscach klimatycznych, czy wogóle po miastach gdzie większa ilość duchownych przebywa, do tego jeszcze cały szereg drobnych przepisów czy praktyk, które nieznacznie lecz stale popychają stan kapłański w jednym i tym samym kierunku.

I powiedzmy wreszcie jasno, że inaczej być nie może. Różne bowiem powody składają się na to, żeby z kapłanów zrobić rodzaj zakonników w duchu, pracujących wśród świata, ale tak usposobionych wewnętrznie, żeby można o nich powiedzieć, co mówił Zbawiciel o pierwszej gromadce kapłańskiej: Nie są ze świata, jako i ja nie jestem ze świata, a nie proszę, abyś ich wziął ze świata, ale żebyś ich zachował od złego. (Jan 18, 14 n).

I tak przede wszystkim — życie kapłańskie robi się zbyt trudne wśród pokus, trudności i ogromnej liczby obowiązków, żeby można mu było sprostać jak należy, w tej izolacji od drugich, jaką miewał zostawiony sobie kapłan samotnik. Vae soli, quia cum ceciderit, non habet sublevantem se. (Eccl. 4, 10). Każdy pojmuje, jak bardzo i często w dzisiejszych trudnych czasach i skomplikowanych zagadnieniach, jakie one ze sobą niosą, po-

trzeba kapłanowi, zwłaszcza młodemu, pouczenia, porady, duchowego lekarstwa, słowa otuchy, podpory dobrego przykładu, obrony, towarzystwa, i tych niezliczonych pomocy, jakie daje oparcie o współbraci w kapłaństwie, a prawdziwie życzliwych i bliskich. Rozumie się, że nie może się tu w pełni ziścić piękne słowo Psalmu (132, 1) de fratribus habitantibus in unum, ale można dużo zbliżyć się do tego ideału, właśnie przez środki, jakie, na podstawie Synodu wymieniliśmy wyżej. Jeżeli między kapłanami pozawiązują się ścisłe węzły stowarzyszeń religijnych, zwłaszcza prześlicznej Unii Apostolskiej kleru, jeżeli po miastach, a może i po większych wioskach rozpowszechni się, tyle zalecone księżom, wspólne mieszkanie i życie, jeżeli będą miały miejsce tak czesto, jak są przepisane, zjazdy, konferencje, porozumienia, jeżeli będzie mieć miejsce, zwłaszcza u starszych wobec młodszych, życzliwa czujność i solidarna obrona, jeżeli wreszcie jednych z drugimi połączy prawdziwie duchowne życie modlitwy i pobożnych praktyk, to nawet bez murów i krat zakonnych będą mogli kapłani cieszyć się wszystkim prawie, co daje zakon dla duchownej pociechy i wzmocnienia.

Ale ta potrzeba łączenia się wzajemnego, jeszcze z innej strony się narzuca. Oto mianowicie sam świat, o którym Pan Jezus mówi: Si de mundo fuissetis, mundus, quod suum erat diligeret, quia vero de mundo non estis, propterea odit vos mundus (Jan 15, 19) sam ten świat, z którym walczyć musimy, łączy nas i wbrew naszej woli, do jednego mianownika nas kapłanów sprowadza. Zawsze bowiem, co jednemu kapłanowi, słusznie czy niesłusznie się zarzuca, tem obarcza się wogóle „księży“; zawsze prawie kieruje się front walki przeciw klerowi jako takiemu, nie przeciw tej lub owej duchownej osobie; mimo wszystkich indywidualnych wyjątków, aż nazbyt często sprawdza się w wielkich liniach to stare przysłowie: Jak długo świat światem, nie będzie świecki duchownemu bratem. I owszem przekonywamy się nieraz, że nawet rodziny kapłańskie skłonniejsze są czy za życia czy przy śmierci, do wyzyskiwania krewnego księdza, niż do prawdziwej jego pomocy. Czyż więc wobec tego nie powinna zbliżać i łączyć kapłanów, jakby w jedną korporację duchowną, wspólna potrzeba oparcia i obrony?

A wreszcie, gdy jednoczą się coraz bardziej całe społeczeństwa, gdy zwierają w Kościele i poza Kościołem

całe stany i zawody, czy ze wszech miar nie wypada, by coraz ściślej, duchownymi oczywiście węzłami, jednoczył się stan kapłański? Z pewnością odpowiedziałoby to modlitwie Zbawiciela: Ut omnes unum sint, sicut Tu Pater in me et ego in Te, ego in eis et Tu in me, ut sint consummati in unum. (Jan 17, 21 nn). Im więcej zaś będzie tej duchownej jedności, tem mniej będzie owej rozsypki świata tego, ubi inconstantia concupiscentiae obscurat bona et transvertit sensum sine malitia (Sap. 14, 12) i tym bardziej wyrażenie kapłan „świecki“ będzie już należało do takich słów, które związek ze swą etymologią straciły już zupełnie.

„Kiedy Jezus miał wnieść się ponownie do niebios i chwały, Bóg w porywie Swojej miłości stworzył kapłana dla dusz, by zawsze był z nimi, by jako „alter Chrystus“, jak sam Pan Jezus, pouczał je, pocieszał, rozgrzeszał i kochał. Oto, dlaczego tak wzniosłym zadaniem kapłana jest otaczać dusze szczególnie gorącą miłością, albowiem dla nich jedynie i z ich przyczyny jest tym, czym jest, to jest wybrańcem upyrzywilejowanym przez Boga, „drugim Chrystusem“.

K a p ł a n j e s t d a r e m S e r c a J e z u s o w e g o d l a d u s z, d u s z e z a ś s ą p o w i e r z o n y m k a p ł a n o w i d z i e d z i c t w e m J e z u s a; wynikiem zaś tego ich wzajemnego oddania się ma być w sercu kapłana gotowość na wszelkie dla tychże dusz poświęcenie się, gorliwość o ich zbawienie i miłość serdeczna a bezgraniczna. Kapłan ma dusze ukochać jako Boże stworzenia, jako przedmiot żarliwej miłości swego Mistrza Boskiego, jako szczególny dar upodobania Bożego. Wszak dusze są przyczyną łask i przywilejów, których mu Bóg udzielił. One to spowodowały jego wyniesienie i dostojeństwo.“

Najświętsze Serce Jezusa a Kapłaństwo — Jasna Góra (1939) 191—192.

Ks. Antoni Słomkowski – Lublin.

Z PRZESZŁOŚCI CZŁOWIEKA. PEWNIKI I DOWOLNE PRZYPUSZCZENIA.

I. Uwagi wstępne.

Wiadomości o pierwszym człowieku i pradziejach ludzkich czerpimy z objawienia. Opis ten dobrze jest nam znany z pierwszych rozdziałów księgi Genesis. Naukę o pierwotnym stanie człowieka lub raczej o pierwotnej sprawiedliwości przedstawił w tym czasopiśmie jasno i zwięźle ks. prof. Dr A. Żychliński. Nie będę do tego wracał.

Kwestia ta jednak interesuje nie tylko teologa. Również inne nauki, a zwłaszcza paleontologia starają się rzucić snop światła na pradzieje człowieka, ustalić czas i sposób jego pojawienia się, jego wygląd zewnętrzny, kolebkę rodzaju ludzkiego; chcą również rozwiązać pytanie, czy mogą względnie muszą wszyscy ludzie pochodzić od jednej pary ludzkiej itp.

Wiadomo, że w końcu 19 w. i jeszcze w 20 wieku istniały a nawet istnieją nieraz rozdźwięki pomiędzy nauką objawioną względnie twierdzeniami poszczególnych autorów katolickich a twierdzeniami uczonych, hołdujących zasadom ewolucjonizmu w różnych jego formach. Ci ostatni zwalczali często dogmat w imię swych niby to niezbicie pewnych wyników naukowych, choć fakty naukowo stwierdzone, do tego ich bynajmniej nie zmuszały a nawet nie upoważniały.

Dzisiaj kwestia ta omawiana jest znacznie spokojniej; można nawet powiedzieć, że nastąpiło z obu stron znaczne zbliżenie. Wybitni przyrodnicy czy paleontologowie, przyjmujący nawet teorię ewolucjonistyczną, nie widzą w niej bynajmniej czegoś, co by miało interwencję Bożą uczynić zbędną, a z drugiej strony wybitni uczeni duchowni — tak księża świeccy jak i zakonnicy — wypowiadają się nieraz za teorią ewolucjonistyczną, czasem

nawet bardzo daleko posuniętą. Starczy tu wymienić nazwiska: Theilhard de Chardin, de Sinety, Buiissonie, Wasmann, Dorlodot, Rüschkamp, Périer. W polskiej literaturze opracował bardzo gruntownie i wyczerpująco problem pradziejów ludzkości E. Loth, prof. Uniw. J. P. w Warszawie w dziele „Człowiek przeszłości", Lwów—Warszawa, 1939, str. 346.

Charakter swego dzieła przedstawia autor w przedmowie (str. 7): „Zajmuję się człowiekiem już od 30 lat. Podchodzę do tego zagadnienia jako przyrodnik-antropolog i lekarz-anatom. Niektóre z moich prac zyskały już uznanie i cieszą się rozgłosem. Stanowią one jednak tylko fragment całości, którą wielokrotnie przemyślałem i rozważyłem w skupieniu."

„Rezultatem tych myśli jest pewne uporządkowanie i usystematyzowanie roli, jaką człowiek odgrywa w przyrodzie."

„Materiał jest tak duży i trudny, że niełatwo go ująć zwięźle. Starałem się nadać mej pracy formę popularno naukową czyniąc ją dostępną nie tylko dla specjalistów. Jednakowoż nie brak w niej nowych poglądów oraz wyników własnych badań, tak że nie jest to tylko praca kompilacyjna, ale pod wieloma względami dzieło całkowicie oryginalne."

Praca prof. Lotha jest więc przeznaczona dla szerszych warstw a nie tylko dla specjalistów, stąd też inteligencja, wśród której pracujemy, będzie sobie na niej urabiała swój pogląd na pradzieje ludzkości i nie zawsze będzie w stanie rozróżnić to, co jest pewnym wynikiem badań naukowych, od dowolnych hipotez stawianych przez autora.

Ciasne ramy artykułu pozwalają nam tylko na omówienie tych twierdzeń autora, które dla kapłana-duszpasterza czy katechety uważamy za pożyteczne.

II. Najstarsze szczątki ludzkie.

1. Pithecanthropos.

W r. 1892 lekarz kolonialny holenderski Dubois odkrył na Jawie szczątki istoty, która wykazywała pewne cechy zbliżające je do człowieka, inne znów do małp człekokształtnych. Znaleziono mianowicie z szczątków kompletnie skamieniałą kalotę czaszki, lewą kość udową i trzy zęby... oraz ułamek szczęki dolnej (Loth, dz. cyt.

str. 114). Nie jest pewne, czy wszystkie szczątki te należą do tego samego osobnika.

Odnaleziona kalota „z ogólnego kształtu przypomina nadzwyczajnie kalotę gibbona, jakby dwa razy powiększoną. Dlatego też przez niektórych badaczy była określana jako forma gibbona-olbrzyma“ (Loth, dz. cyt. str. 115). Dubois nazwał istotę tę Pithecanthroposem.

„Na zasadzie obliczeń ustalono pojemność czaszki Pithecanthropusa na 855 cm^3: zważywszy że największa pojemność małp człekokształtnych (goryl) wynosi 450—600 cm^3, stwierdzamy tu znacznie większy rozwój mózgoczaszki; daleko jednak do ludzi współczesnych, choćby najprymitywniejszych, u których pojemność ta wynosi około 1300—1550 cm^3 (od 1200—2000 cm^3). Pithecantropus zajmuje więc stanowisko pośrednie.“ (Loth, dz. cyt. str. 115.) Cośkolwiek dalej pisze prof. Loth (str. 118): „Stoimy tu więc przed najbardziej prymitywną formą pośrednią. A dla jej naukowej oceny jest zupełnie obojętne, czy mamy do czynienia z najwięcej człekopodobną małpą, czy też z najbardziej małpopodobnym człowiekiem. Nie chcąc się wdawać w rozstrzyganie tego jałowego sporu sądzę, że wprowadzenie pojęcia człowiekowatych (Hominidae) i zaliczenie Pithecantropusa do tej właśnie grupy zadowoli obie strony roznamiętnionych przeciwników.“

Z budowy odnalezionej kości udowej wynika, że należała do istoty chodzącej prosto. Podobnie jak prof. Loth, również znany geolog francuski Boule uważa Pithecantroposa za formę pośrednią pomiędzy małpami człekokształtnymi a człowiekowatymi. Dubois, który Pithecantroposa odnalazł, podtrzymuje jednak swe zdanie, że chodzi tu o olbrzymiego gibbona. Odkrycie Sinanthroposa rozstrzygnęło zdaniem niektórych uczonych spór na korzyść teorii widzącej w Pithecanthroposie człowieka. Według nich Sinanthropos i Pithecanthropos tworzą jedną rasę. Kwestia nie jest jednak ostatecznie rozstrzygnięta[1]).

2. S i n a n t h r o p o s. Od r. 1924—1937 w okolicach Pekinu znaleziono pewne szczątki o budowie morfologicznej, zbliżonej do Pithecanthroposa. Jest ona więc bardzo prymitywna. Black, który je opisał, nadał im nazwę Sinanthropus Pekinensis.

---

[1]) Por. P.-M. Périer, Le Transformisme, l'origine de l'homme et le dogme catholique, Paryż 1938, str. 267 nn.

Jak pisze prof. Loth (str. 126), „według dzisiejszych poglądów Sinanthropus przedstawia istotę człowiekowatą, zbliżoną do Pithecanthropusa. Jest on jednak późniejszy, a pitekoidalne cechy jego są złagodzone. Sklepienie i mózg są nieco większe, a zwłaszcza żuchwa nie przedstawia tak prymitywnych cech, jak oczekiwano". Podobne zdanie głosi wspomniany już Boule.

Jednak wybitny uczony paleontolog ks. Breuil i jezuita O. Theilhard de Chardin uważają go za człowieka. Uczony niemiecki Weidenreich, który się Sinanthroposem bardzo szczegółowo zajmował, stwierdza, że Sinanthropos był homo faber.

Do bardzo starych szczątków należy żuchwa z Mauer, niedaleko Heidelbergu (Homo Heidelbergensis). Prof. Loth tak ją charakteryzuje (str. 127): „Już pobieżny przegląd żuchwy heidelberskiej pozwala rozpoznać dużą odrębność od człowieka współczesnego a nawet od Sinanthropusa. Masywność całej budowy, niezwykle szerokie ramię żuchwy o bardzo słabym wcięciu, zupełny brak podbródka, brak wgłębienia wywołanego przez m. bródkowo-językowy — oto cechy, o których była mowa..., a przypominające człowiekowate. Zęby natomiast, aczkolwiek bardzo solidne i duże, wykazują cechy bezspornie ludzkie."

Pomijam tu kwestię tzw. Eoanthropus Dawsoni z Piltdown, niedawnych wykopalisk z Swanscombe i tzw. Javaanthropus Soloensis, odnalezionego 1931—1932 przez Oppenootha nad brzegiem rzeki Solo.

3. Człowiek neandertalski.

Nazwę tę nadano temu człowiekowi, a raczej tej rasie od szczątków, znalezionych w dolinie rzeki Neander, niedaleko Düsseldorfu. Obecnie już szczątków, które uczeni zaliczają do tej samej rasy, jest dość dużo i to w różnych krajach Europy, jak w Hiszpanii, Włoszech, na Malcie, we Francji, w Niemczech, na Morawach, na Węgrzech, w Chorwacji, w Rumunii; poza Europą: w Palestynie, w Rodezji oraz na wyspie Jawie. Prof. Loth (dz. cyt. str. 162) podaje takie cechy charakterystyczne człowieka neandertalskiego :„Wypada zaznaczyć, że można ustalić pewien zespół cech, które pozwalają wyodrębnić człowieka neandertalskiego zarówno od wcześniejszych człowiekowatych, jak i od późniejszego człowieka rozumnego. Najwyraźniej te cechy występują na czaszce.

Sklepienie czaszki jest wyższe od człowiekowatych, lecz znacznie niższe od człowieka paleolitu młodszego i współczesnego.

W związku z tym zaznacza się pochyłe czoło i wydatna potylica. Guzy ponadoczodołowe nieco słabsze niż u człowiekowatych są jednak wydatne i ciągną się nieprzerwanie ponad oczodołami. Człowiek późniejszy nigdy tego rodzaju guzów już nie posiada. Wcięcie pozaoczodołowe, silnie zaznaczone, jest słabsze niż u człowiekowatych, ale o wiele wyraźniejsze niż u ludzi późniejszych.

Czaszkę twarzową cechuje poza tym silny prognatyzm. Żuchwa jest wprawdzie mniejsza niż na przykład heidelberska..., lecz na ogół większa niż u ludzi współczesnych; cechuje ją brak podbródka i szereg innych cech prymitywnych.

Również i na szkielecie istnieje cały szereg prymitywnych cech, które pozwalają odróżnić Neandertalczyka od człowieka późniejszej epoki."

Człowiek neandertalski należy do okresu paleolitu starszego. Z okresu paleolitu młodszego znamy już kilka ras, których tutaj wymieniać nie będę, gdyż jest to już poza naszym tematem. Warto jednak podkreślić, że prof. Loth dopiero te grupy określa mianem: „człowiek rozumny, pierwotny (homo sapiens primigenius vel fossilis."

III. Wnioski.

Niezależnie od tego, czy Pithecanthroposa z Jawy będziemy uważali już za człowieka czy też nie, faktem jest że w ciele człowieka dokonywuje się w ciągu wieków pewna ewolucja od form pierwotnych bardziej zwierzęcych do form doskonalszych.

Stąd też wśród uczonych, znawców tego przedmiotu, powszechnie przyjęte jest zdanie, że człowieka łączy z światem zwierzęcym pewien związek. Z uczonych katolickich wypowiadają się w tym duchu jezuita o. Theilhard de Chardin, jezuita niedawno zmarły de Sinety. Jezuita F. Rüschkamp, który szczególnie podkreśla jedność rasy Pithecanthroposa i Sinanthroposa, ostatnio wypowiada się zdecydowanie w tym kierunku w artykule, Der Mensch als Glied der Schöpfung, Stimmen der Zeit" tom 135 (1939) str. 367—385. To samo głoszą także ks. Dorlodot, ks. ks. Buyssonie, ks. Breuil, ks. Schmidt i zmarły niedawno ks. Périer, który problem ten omówił

obszernie w szeregu artykułów w Revue Apologétique a ostatnio syntetycznie przedstawił go w pracy: Le Transformisme, l'origine de l'homme et le dogme catholique, Paryż, 1938, str. 327. Praca ta wprowadza wyśmienicie w przedmiot i omawia wyczerpująco i jasno stanowisko katolika wobec transformizmu oraz słabe strony i niekonsekwencje transformizmu materialistycznego. Dobrze orientują w tej kwestii również dłuższe artykuły: Transformisme i Homme, zamieszczone w Dictionnaire Apologétique de la foi catholique.

Możemy więc przyjąć zależność fizyczną człowieka od niższych organizmów, co nie znaczy, że ją musimy przyjąć. Dla teologa-apologety czy dogmatyka — ta kwestia nie ma większego znaczenia. Nie wolno jednak z faktów pewnych wysnuwać wniosków niepewnych i nieuzasadnionych, a takimi wydają nam się być niektóre twierdzenia prof. Lotha.

IV. Uwagi krytyczne.

Pewnego wyjaśnienia wymagają nazwy, użyte przez prof. Lotha. Można bezsprzecznie ze względów metodycznych nazwę homo sapiens stosować tylko do człowieka współczesnego, chcąc przez to podkreślić, że człowiek ten, o ile paleontologia może stwierdzić, stoi umysłowo wyżej od Sinanthroposa i człowieka neandertalskiego. Nie można jednak tej nazwy tak rozumieć, jakoby dopiero człowiek poneandertalski, z okresu paleolitu młodszego, należący do rasy Cro-Magnon, Grimaldi itd., miał rozum, a człowiek neandertalski był istotą nierozumną. Tymczasem prof. Loth wyraża się niejednokrotnie tak, jakoby rzeczywiście dopiero człowiekowi z okresu paleolitu młodszego przyznawał rozum.

Mówiąc o naczelnych (Primates) pisze bowiem prof. Loth: „Dla lepszego zorientowania się co do stanowiska człowieka w przyrodzie, potrzeba bezwzględnie znać całe jego drzewo genealogiczne oraz te najbardziej zasadnicze cechy fizyczne, które stawiają ludzi w szeregu prymatów, a jednocześnie ponad nimi wszystkimi" (str. 88). Wyliczywszy następnie główne cechy fizyczne naczelnych daje krótkie ich zestawienie. Podział naczelnych ujmuje następująco:

„małpozwierze (Lemuridae)";
„małpy szerokonose (Platyrrhina)";
„małpy wąskonose (Catarrhina)";

„człekokształtne (Anthropomorphae) — małpy bezogonowe, mózg silnie rozwinięty, postawa tułowia mniej lub więcej pochyła“;

„człowiekowate (Hominidae) — istoty bezogonowe o przednich kończynach krótszych od tylnych, o silnie rozwiniętym mózgu i pionowej postawie ciała“.

Na dalszych stronicach pisze prof. Loth (str. 112): „O tych wątpliwych postaciach prototypów ludzkich mówi się coraz częściej, jako o istotach człowiekowatych (Hominidae). Można zatem, ale nie musi się ich uważać za ludzi. I w tym zrozumieniu Hominidae obejmowałyby człowieka właściwego od środkowego czwartorzędu (pleistocenu) począwszy oraz istoty niższe człowiekowate, ludzi czy jeszcze nie ludzi, wywodzących się aż od trzeciorzędu późnego“.

Prof. Loth Pithecanthroposa i Sinanthroposa zalicza w tabelce na str. 112 do człowiekowatych, które nie koniecznie musiały być ludźmi; nawet człowieka neandertalskiego, choć zalicza go już do ludzi, nie uważa za człowieka rozumnego, a przynajmniej z tej kategorii go wyodrębnia. Jest to jednak zdanie nieuzasadnione i sprzeczne zresztą z twierdzeniami samego autora.

Autor bowiem na str. 112 zdaje się przypisywać człowiekowatym stworzenie kultury okresu preszelskiego i szelskiego, a na str. 290 stwierdza, że Sinanthropos używał ognia celowo. „Wystarczy powiedzieć, pisze prof. Loth, że już w jaskiniach Chou — Kou — Tien, zamieszkiwanych przez Sinanthropusa, istotę, jak wiadomo człowiekowatą, z początkowego okresu czwartorzędu, stwierdzono ślady szeregu ognisk oraz prehistorycznych odpadków kuchennych w postaci nadpalonych i potłuczonych kości. Więc ogniska już wtedy były używane celowo“. I na str. 57 również podkreśla, że narzędzia krzemienne „są dziełem ręki ludzkiej, obrabiającej je celowo“.

Wynika więc z twierdzeń prof. Lotha, że tak zwane „człowiekowate“ (Pithecanthropos a zwłaszcza Sinanthropos) „c e l o w o“ obrabiały kamień i „c e l o w o“ używały ognia. Jaki z tego wypływa wniosek?

By odpowiedzieć na to pytanie trzeba oczywiście sięgnąć do podstawowych zasad zdrowej filozofii. Chodzi tu bowiem już nie o sam opis znalezionych szczątków ludzkich czy o rekonstrukcję człowieka pierwotnego na podstawie tych szczątków, lecz o ich interpretację, tzn. o wysnucie pewnych wniosków z poszczególnych zjawisk i faktów. Z faktów tych prof. Loth właściwych wniosków nie wysnuwa.

Skoro bowiem ówczesny człowiek celowo używał ognia i celowo obrabiał kamienie, to oczywiście znał zasadę stosunku środka do celu, przyczyny i skutku. A uchwycenie tego stosunku nie jest możliwe, o ile się nie ma pojęć ogólnych, do których człowiek dochodzi przy pomocy abstrakcji.

Tworzenie zaś pojęć ogólnych, przez abstrakcję od cech indywidualnych poszczególnych bytów, wskazuje, że dana istota ma w sobie coś niezależnego wewnętrznie od materii. Jaki bowiem skutek taka musi być przyczyna — operari sequitur esse. I skutek nie może być w istocie swej doskonalszy od przyczyny. Jeżeli więc Sinanthropos celowo używał ognia, miał pojęcia ogólne, miał możność tworzenia ich, znał stosunek przyczyny do skutku, środka do celu, a to było możliwe dlatego, że posiadał władzę duchową czyli rozum. Był więc człowiekiem rozumnym. Zdanie prof. Lotha jest więc tylko opinią jego i pewnej grupy uczonych, a nie jest pewnikiem naukowym.

Pozbawione zupełnie podstaw jest również to, co prof. Loth mówi o mowie człowieka pierwotnego (dz. cyt.). Czytamy tam: „Niewątpliwie postęp kultury ludzkiej był zależny przede wszystkim od mowy, początkowo prostej i tylko dźwiękowej, a później dopiero artykułowanej. Od kiedy człowiek mówił w naszym pojęciu tego słowa, trudno ustalić. Jednakowoż wiemy, że mowa jest związana z lewostronnym rozwojem ośrodka Broca w korze mózgowej. Na tej zasadzie jesteśmy uprawnieni przypuszczać, że te formy, których odlewy wewnątrz czaszkowe pozwalają wnioskować o pewnym już wystarczającym rozwoju ośrodka Broca, posługiwały się taką czy inną mową. Z pewnym zdziwieniem ustalono, że odnosiło się to do tak dawnych okazów, jak Sinanthropus. Pierwotna mowa nieartykułowana musiała się z czasem udoskonalić“[1]).

Skąd prof. Loth wie, że „mowa początkowo była prosta i tylko dźwiękowa, a później dopiero artykułowana“? Przecież szczątki ludzkie, przez niego poprzednio opisane, nie dały do takiego wniosku żadnej podstawy. Jest to więc twierdzenie, na żadnej obserwacji nie oparte. A nawet czyć fakt, podany zresztą przez samego prof. Lotha, nie przemawia raczej przeciwko jego zdaniu? Podaje przecież, iż ze zdziwieniem ustalono, że już Sinan-

---

[1]) Edward Loth, Człowiek przeszłości, Lwów - Warszawa, 1939, str. 299.

thropos miał tak rozwinięty ośrodek Broca, że mógł się posługiwać mową. Czyż mowa ta musiała być nieartykułowana, jak twierdzi autor? Skąd to prof. Loth wie? Zdanie takie nie jest przecież na niczym oparte; jest to zupełnie dowolna hipoteza.

Jeżeli ówczesny człowiek posługiwał się mową, jak zdaniem samego autora wskazuje ośrodek Broca, to czyż nie jest z punktu widzenia ściśle naukowego najbardziej uzasadnione twierdzenie, że była to mowa artykułowana, ludzka?

By była bowiem mową, potrzeba dwóch rzeczy: możności tworzenia dźwięków i możności tworzenia pojęć, które się dźwiękami komunikuje. Dźwięki tworzą również zwierzęta, a papugi, jak dobrze wiadomo, są zdolne powtarzać za człowiekiem pewną ilość słów. Nie można jednak mówić u nich o mowie we właściwym tego słowa znaczeniu. Do tego konieczne jest tworzenie pojęć, by to nie tylko było mechaniczne powtarzanie pewnych słów. Ażeby zaś utworzyć pojęcia i logicznie je wiązać w pewną całość, konieczny jest rozum, tzn. władza duchowa. Bez tego nie ma mowy, jak to zresztą wyraźnie potwierdza codzienne doświadczenie. Jeżeli więc Sinanthropos posługiwał się mową, wynika z tego, że był istotą rozumną i pojęcia swe wyrażał w mowie artykułowanej.

Zresztą jak zaznaczyliśmy, używał ognia celowo, z czego wynika, że miał rozum. Dla czego wobec tego nie miałby posiadać mowy artykułowanej, w której przejawia i wypowiada się myśl? A nic z tego, co o Sinanthroposie jako fakt stwierdzony podaje prof. Loth, temu nie przeczy[1]).

---

[1]) Dowodem tego, jak w tej kwestii wśród szerokich warstw szerzy się błędne poglądy, jest notatka zamieszczona w Kurierze Warszawskim z dnia 12 maja 1939 r. pod tytułem: „**Szympansy mogą mówić**". Czytamy tam: „P. Hachet - Souplet, dyrektor honorowy Instytutu psychologii zoologicznej w Paryżu, umieścił w „Paris-Soir" ciekawy artykuł o kształceniu szympansów. Pół tuzina tych małp przywiózł z Kamerunu prof. Urbain i poddaje je doświadczeniom wychowawczym. Małpki — trzy samce i trzy samice — są bardzo młode: mają od dwóch do czterech lat. Szympansy dojrzewają w ósmym roku życia, a żyją do lat czterdziestu. Te, które przywiózł prof. Urbain, mają śliczne ciemne futro, żółte oczy i zachowują się niezmiernie grzecznie. Prawda, że i z nimi obchodzi się ich wychowawca, jak z dziećmi ludzkimi".

„Pr. Hachet - Souplet zaznacza, że są dwie metody wychowawcze: łagodność i perswazja. Metodą pierwszą działał sir J. Lubbock. Polega ona na nie interweniowaniu w stosunku do zwierzęcia, ale na stawianiu go wobec przedmiotów, z którymi ma mieć do czynienia. Metodę drugą można by nazwać „małpim paktem Kelloga", bo jest systemem profe-

V.

Stanowisko duszpasterza wobec problemu początków ludzkości.

W tej kwestii warto sobie przypomnieć zasadę daną już przez św. Augustyna (De Gen. ad litt. I, 19, 39; P. L. 34, 261): „Plerumque enim accidit ut aliquid de terra de coelo, de caeteris mundi huius elementis... de naturis animalium... atque huius modi caeteris, etiam non christianus ita noverit, ut certissima ratione vel experientia teneat. Turpe est autem et perniciosum ac maxime cavendum, ut christianum de his rebus quasi secundum christianas Litteras loquentem, ita delirare quilibet infidelis audiat, ut quemadmodum dicitur, toto coelo errare conspiciens, risum tenere vix possit. Et non tam molestum est, quod errans homo deridetur, sed quod auctores nostri ab eis qui foris sunt, talia sensisse creduntur, et cum magno eorum exitio, de quorum salute satagimus, tanquam indocti reprehenduntur atque respuuntur. Cum enim quemquam de numero Christianorum in ea re quam optime norunt, errare deprehenderint, et vanam doctrinam suam de nostris Libris asserere, quo pacto illis Libris credituri sunt, de resurrectione mortuorum, de spe vitae aeternae, regnoque coelorum, quando de his rebus quas iam experiri, vel indubitatis numeris percipere potuerunt, fallaciter putaverint esse conscriptos? Quid enim

---

sora tego nazwiska z Indiany. Jest to tresura metodyczna, w dzień i w nocy, bez stosowania przymusu, ale z mimicznym objaśnieniem zwierzęciu, czego się odeń chce. Trzeba, aby zwierzę pojęło cel czynności, którą ma wykonać. Ta druga metoda wymaga zdecydowanej inteligencji, możliwa jest więc tylko wobec gatunków wyższych".

„Prof. Kellog poddał próbie wychowawczej swego 10½ miesięcznego synka Donalda oraz 7½ miesięczną szympansicę Guę. Gdy Gua miała 10 miesięcy, a Donald 13, zaczęto ich uczyć jeść łyżką. Po trzech miesiącach Gua sama jadła doskonale; Donald był spóźniony z nią przeszło o miesiąc. Gua nauczyła się znacznie prędzej otwierać i zamykać drzwi... Rzecz jasna, że to nie dowodzi wyższości intelektualnej szympansa nad człowiekiem... Ale dowodzi to prawie jednakowych zdolności."

„To samo daje się zauważyć w rodzaju mowy, którym szympansy się porozumiewają... Należy przypuszczać, że stosując metodę perswazji, możnaby dojść do porozumiewania się z szympansami w niewoli. Przecież dochodzi się do doskonałych wyników z papugami przez stosowanie fonografu... Można by stworzyć dla szympansa rodzaj słowniczka z 50—60 dźwięków, obejmującego dobrze mu znane i w codziennym użytku będące przedmioty. Czyż trzeba więcej, aby móc rozmawiać? I czy nie wolno uczynić przypuszczenia, że słowniczek taki mógł by stać się dziedziczny, przynosząc małpim pokoleniom zdolność mowy?"

molestiae tristitiaeque ingerant prudentibus fratribus temerarii praesumptores, satis dici non potest.“

Jak wspamniałem poprzednio szereg księży katolickich, znawców przedmiotu wypowiada się za ewolucjonizmem, rozciągniętym również na człowieka. Pisze np. wspomniany już ks. Périer (dz. cyt. str. 209): „Biorąc pod uwagę tylko ciało człowieka, nie można zaprzeczyć, że pomiędzy nim a pewnymi zwierzętami jest tylko słaba różnica w budowie ciała. Uważnie rozpatrzymy rację, dla których, z punktu widzenia anatomicznego, wydaje się niemożliwe oddzielić go całkowicie od świata zwierzęcego, z którym łączą go szczegóły w budowie ciała, trudne do wytłumaczenia w innej hipotezie.“ O. Rüschkamp T. J. (art. cyt. str. 384—385): „Człowiek jest nie tylko pojęciowo lecz również genetycznie ze względu na swój organizm członkiem stworzenia. Nie przez swe ciało, lecz tylko przez swą duszę różni się człowiek od zwierzęcia... Pismo św., w którym głównie mowa jest o planie zbawienia, i księga natury pochodzą od Boga i nie mogą zawierać sprzeczności. Usunąć trzeba sprzeczności w tłumaczeniu obu ksiąg (tj. Pisma św. i księgi natury). Badacze - księża, jak Birkner, H. Muckermann, Obermaier, Teilhard de Chardin, Wasmann i inni również teologowie katoliccy i protestanccy sądzą tak samo.“

Jakie stanowisko zajmie wobec tego duszpasterz względnie prefekt w tej kwestii? Czy ma tą kwestię w ogóle poruszyć zwłaszcza w liceum, wykładając dogmatykę?

Sądzę, że choć kilka słów tej kwestii należałoby poświęcić, by w przyszłości nie stwarzać sztucznych konfliktów sumienia. Faktem bowiem jest, że wielu z naszych uczniów spotka się z tym problemem w czasie dalszych studiów (na wydziale medycznym i przyrodniczym), niektórzy poznają stanowisko uczonych przez publikacje, przeznaczone dla szerszej publiczności jak np. książka prof. Lotha, są nawet wypadki, że w samym gimnazjum nauczyciel przyrody wchodzi w te kwestie. Ksiądz musi tu mieć jasny pogląd na sprawę, znać stanowisko Kościoła w tej kwestii tzn. prawdę, ale uczyć też tylko tego, czego uczy kościół, i własną ignorancją nie szkodzić duszom i Kościołowi.

Nie znaczy to bynajmniej, by miał koniecznie przyjmować ewolucjonizm i go uczyć. Musi jednak zdać sobie sprawę, że ewolucjonizm, zastosowany do ciała ludzkiego, da się pogodzić z nauką Kościoła, że więc nie ma

w tym nic, co by musiał zwalczać. Innymi słowy podkreślić trzeba, że jest to kwestia dla wiary obojętna, tak samo jak dla wiary obojętne jest, czy słońce obraca się w koło ziemi, jak dawniej przyjmowano, czy też że ziemia obraca się w około słońca, jak obecnie nauka głosi.

Istotne jest, by ksiądz umiał zwalczać ewolucjonizm mechanistyczny, według którego ewolucja czyni zbędnym Boga. Ewolucja tymczasem, nawet w granicach, w jakich jest stwierdzona, nie da się absolutnie wytłumaczyć bez Boga. Starczy choć trochę wejść w szczegóły, by zdać sobie sprawę z celowości, panującej zwłaszcza w świecie organicznym; a tej celowości bez Boga wytłumaczyć nie można.

Następnie podkreślać trzeba, że gdyby się nawet przyjmowało ewolucję, nie może ona doprowadzić do powstania człowieka, jako człowieka. Człowiek bowiem to nie tylko ciało; człowiek to ciało i dusza, złączone substancjalnie. Cały nacisk położyć tu trzeba na podstawowe prawdy filozoficzne o różnicy pomiędzy poznaniem zmysłowym a umysłowym, wykazać, że dzieli je różnica istotna, że poznanie umysłowe, właściwe człowiekowi, jest duchowe. A duch z materii powstać nie może.

Zresztą gdyby się nawet przyjęło, że Bóg wlał na początku duszę w ciało jakieś organiczne a nie anorganiczne, to równocześnie stwierdzić trzeba, że byt tak powstały nie jest tylko antropoidem udoskonalonym, jak to słusznie podkreśla o. Sertillanges z. kazn. a za nim ks. Périer, lecz że jest to byt zupełnie nowy, w którym zrealizowana jest nowa idea Boża i który nie mógłby powstać bez specjalnej interwencji Bożej.

Trzeba więc jasno rozgraniczyć fakty, jakie ustala paleontologia i których podawać w wątpliwość nie można i nie ma potrzeby, i ich interpretację; chodzi o to, by wnioski wysnute z obserwacji, były naprawdę uzasadnione a nie dowolne, zależne od nastawienia autora.

„In hujusmodi quaestionibus duo sunt observanda. Primum quidem, ut veritas Scripturae inconcusse teneatur. Secundum, cum Scriptura divina multipliciter exponi possit quod nulli expositioni aliquis ita praecise inhaereat, ut si certa ratione constiterit hoc esse falsum quod aliquis sensum Scripturae esse credebat, id nihilominus asserere praesumat; ne Scriptura ex hoc ab infidelibus derideatur, et ne eis via credendi praecludatur.“

Św. Tomasz, Sum. Theol. I qu 68 art. 1 c.

Ks. Józef Nowacki — Poznań.

Z AKTUALNYCH SPRAW PATRONACKICH

Patronat personalny czy realny? a jeżeli realny, na których spoczywa majątkach? Oto zagadnienia przysparzające od lat kilku sporo kłopotu rządcom kościołów obu naszych archidiecezyj. Weszliśmy w fazę rewizji wielu z istniejących patronatów, podobnie jak dawne generacje kleru w początkach zeszłego stulecia, po okupacji ziem polskich przez państwo pruskie.

Postulat uzasadnienia stosunku patronackiego i wyjaśnienia na podstawie dokumentów kompleksu związanych z tym zagadnień natury prawnej jest w pewnej mierze następstwem zakrojonej od niedawna na szeroką skalę parcelacji majątków ziemskich. Lecz w wielu razach wyrasta on z tła zgoła innego; pozostaje w związku z odzyskaniem naszej niepodległości i sprawą automatycznego — zdawałoby — przejścia patronatu licznych kościołów z państwa pruskiego na Rzeczpospolitą Polskę. Dotyczy to głównie kościołów i beneficjów, położonych w obrębie dawnych polskich dóbr koronnych oraz poduchownych, skonfiskowanych przez króla pruskiego w r. 1796 (majątków obu naszych Stolic Arcybiskupich, kapituł katedralnych, klasztorów...).

Dobro Kościoła z jednej strony, z drugiej sprawiedliwość względem zainteresowanych patronów, ponoszących zazwyczaj znaczniejsze ciężary, uzasadniają dostatecznie konieczność sumiennego i ścisłego wykazania i wyświetlenia obustronnych praw i obowiązków.

Rządcy kościołów patronatu rządowego zwykli wobec podnoszonych przez władze państwowe wątpliwości powoływać się na znany układ Arcybiskupa Leona Przyłuskiego z państwem pruskim z 16. IX. 1854 r.[1]), za-

[1]) Do tekstu układu por. Trzciński T. ks., Zbiór ustaw archidiecezyj gnieźnieńskiej i poznańskiej, Poznań 1906, s. 43—58.

twierdzony następnie przez Stolicę Apostolską, oraz na stan rzeczy z okresu przed wojną światową i wnioskować konsekwentnie, że z rokiem 1919 patronat ich przeszedł z fiskusa pruskiego na Rzeczpospolitą jako prawnego jego sukcesora.

Lecz odwołanie się do układu powyższego jest dziś już niewystarczające z powodu niejednych zmian, zaszłych po r. 1854.

Zawarto go po przewlekłych sporach na tle sprawy obsadzania beneficjów patronatu niegdyś królów polskich oraz różnych prawnych osób kościelnych. Reskryptem kamery z 24. 2. 1798 uznał rząd pruski patronat tych kościołów za realny, przywiązany do zabranych przez siebie dawnych dóbr koronnych i duchownych. Uznając spoczywający na tych majątkach ciężar patronacki, pozostawił zarazem zainteresowanym osobom kościelnym ius liberae collationis względnie prawo prezenty, o ile od dawna z niego korzystały[1]). Pomimo to wysunął on z czasem roszczenia do udzielania prezenty na wszystkie beneficja, których patronat przysługiwał za czasów niepodległej Rzeczypospolitej osobom kościelnym z racji posiadanych majątków; zarządził także skrzętne badania co do charakteru patronatów swych i zakresu przypadłych mu ciężarów. Z drugiej strony Arcybiskupi windykowali dla siebie w oparciu o prawo i praktykę Kościoła ius liberae collationis wszystkich beneficjów patronatu niegdyś swego i prawnych osób kościelnych tymczasem wygasłych. Z rozmysłem zdaje się zaniechali szerszych badań archiwalnych, które w wyniku mogły były tylko wykazać istnienie patronatu realnego i tym samym poprzeć niesłuszne roszczenia rządu pruskiego[2]). Długoletni zatarg zlikwidowano kompromisowo wspomnianym układem z r. 1854. Dotyczył on przede wszystkim sprawy o b s a d z a n i a beneficjów, które były poprzednio patronatu królewskiego lub osób kościelnych. Zagadnienia c i ę ż a r ó w patronackich dotknięto tylko ogólnie w § 8 umowy (status quo); lecz rząd uznał przypadający mu ciężar względem wszystkich w układzie wymienionych kościołów i beneficjów czy to z tytułu

---

[1]) Por. T r z c i ń s k i T. ks., Patronat kościelny i powinność budowlana rządu w diecezjach gniezn. i pozn., Przegl. Kośc. r. 3 (1904), s. 121; tenże, Zbiór ustaw, s. 468.

[2]) Ścisłe badania przeprowadziła kapituła metropolitalna gnieźnieńska; dzięki temu zdołała ostatecznie utrzymać się przy prawie prezenty na kilkanaście beneficjów (Zbiór ustaw s. 55 n.).

patronatu czy konfiskaty dóbr kościelnych (powiedzmy dziś: również z tytułu patronatu). I ponosił je istotnie. Regencje wypłacały kościołom i beneficjatom należności z patronackiego funduszu budowlanego, nieraz gładko, nieraz po uciążliwych przeprawach i procesach. W oparciu o układ z r. 1854 duchowieństwo nasze nie dbało już o to, czy fiskus pozostawał nadal właścicielem obciążonych patronatem majątków lub może wyzbywał się ich na rzecz osób prywatnych i jednostronnie, bez zgody Kościoła, zamieniał dotychczasowy podmiot patronatu tj. ziemię na kanon roczny z sprzedanych (w całości lub rozparcelowanych) dóbr — w myśl reskryptu gabinetowego z 9. 1. 1812[1]). Kanonu tego nie można było abluować[2]). Jedynie przy rozdrabnianiu majątów prywatnych pilnowali rządcy parafij interesu swych kościołów i beneficjów, żądając proporcjonalnego rozłożenia patronatu na poszczególne parcele.

Po odzyskaniu niepodległości naszej duchowieństwo upatrywało w Rzeczypospolitej jako faktycznym i prawnym sukcesorze Rzeszy Niemieckiej na obszarach obu archidiecezyj patrona wszystkich kościołów, względem których fiskus pruski zobowiązany był do świadczeń z tytułu patronatu lub zaboru majątków duchownych. Stanowisko to podzielały przez dłuższe lata również władze państwowe.

Tymczasem w toczącym się długoletnim procesie przemęckim[3]) wydał Sąd Najwyższy dn. 15. 11. wzgl. 13. 12. 1935 orzeczenie niezwykłej wagi, w którym czytamy m. i.:

„Sąd Najwyższy w stałym orzecznictwie stoi na stanowisku, że dla braku odpowiednich postanowień w Traktacie Wersalskim Państwo Polskie nie jest ani w całości ani w częściach uniwersalnym następcą państw zabor-

---

[1]) G. S. s 3: „...dass künftig bei Veräusserungen der Domainen und eingezogenen geistlichen Güter die Patronatrechte nicht mitverkauft, sondern dem Staate vorbehalten, die Patronatslasten der zu veräussernden Güter aber, nach ihrem jährlichen Durchschnitte veranschlaget, als Canon auf die Güter gelegt und von den Erwerbern derselben jährlich zum Kirchen- und Schul-Bau- und Unterhaltungs-Fonds an die Regierungen gezahlet werden sollen".

[2]) Por. Meissner Cz. ks., Patronat kościelny w świetle Powszechnego Pruskiego Prawa Krajowego, Przegl. Kośc. r. 3 (1904) s. 393.

[3]) W zawiłym tym procesie wysunięto pretensje Kościoła z tytułu konfiskaty dóbr klasztoru w Przemęcie, do którego inkorporowano tamtejszą parafię w XV w. Jak wykazały ostatnio badania nasze w aktach Archiwum Archidiecezjalnego w Poznaniu, patronat nie wygasł bynajmniej na skutek tej inkorporacji.

czych i że nie przejęło ich zobowiązań. Chociażby więc słuszne były zapatrywania strony powodowej, że państwo pruskie przez zabranie dóbr klasztornych stało się uniwersalnym następcą klasztorów a skutkiem tego powinno było wypełniać jego zobowiązania, to w każdym razie chodziłoby o osobiste zobowiązania skarbu państwa pruskiego, za które Skarb Państwa Polskiego nie odpowiada."

Pozostawiając prawnikom szczegółowe rozpatrzenie wszelkich konsekwencyj powyższego orzeczenia, poprzestaniemy tu na krótkim stwierdzeniu, że Państwo Polskie nie odpowiada wobec kościołów z tytułu skonfiskowanych niegdyś przez państwo pruskie dóbr kościelnych, lecz tylko z tytułu patronatu, jeżeli jest w posiadaniu jego przedmiotu.

Zgodnie z tym wysuwa się dziś w praktyce wobec księży proboszczów żądanie, by dowiedli istnienia patronatu realnego i wskazali obciążone nim majątki lub lasy państwowe; przedstawia się je częściej także z okazji parcelacji majątków prywatnych. Wspomnimy już tu, że oprócz obszarów rolnych i leśnych należy wziąć pod uwagę również kanony, spoczywające na dobrach, sprzedanych niegdyś przez państwo pruskie do rąk prywatnych[1]).

Dostarczenie wymaganych dowodów nastręcza rządcom kościołów nieraz poważnych trudności: w aktach nowszych, a nawet w wyrokach sądowych nie ma rzekomo żadnej wzmianki o charakterze patronatu i obciążonych nim majątkach, a starodawne dokumenty i księgi archiwum parafialnego uległy już zniszczeniu lub też hojną ręką poprzedników powierzone zostały mężom nauki i wsiąkły w zbiorach obcych[2]). Dodajmy ze swej strony, że nawet w urzędowej ankiecie na temat patronatów z r. 1905 nast. nie wzięto owych kryteriów zupełnie pod uwagę, poprzestając na podaniu nazwiska i miejsca zamiesz-

---

[1]) Prawników mogłaby zainteresować sprawa dawnego „Patronatsbaufonds", czy mógł być i był przedmiotem rozliczenia między Rzecząpospolitą a Rzeszą Niemiecką, nadto ewentualnych praw Kościoła do odszkodowania za straty, poniesione w następstwie Porozumienia Polsko-Niemieckiego z 31. X. 1929 art. II i dotycz. protokół końcowy pod 2.

[2]) Por. słuszne uwagi ks. Trzcińskiego, Zbiór ustaw, s 470 co do obowiązku starannego zachowania i dokładnej znajomości archiwum parafialnego, oraz can. 470 § 4, 383, 384.

kania patrona oraz zakresu przypadających mu ciężarów[1]).

Z tych względów pragnęlibyśmy podzielić się z zainteresowanymi — główny to cel niniejszego artykułu — szeregiem spostrzeżeń i wskazówek natury praktycznej.

Personalny czy realny patronat?

Słusznie zauważył już w wspomnianej pracy swej śp. ks. inf. Meissner, że w obu archidiecezjach naszych mamy „przeważnie i z reguły prawie tylko patronaty realne“[2]). W przeciwstawieniu do realnego kościołów parafialnych przeważał personalny w odniesieniu do niektórych kanonikatów fundacji prywatnej oraz altaryj. Przytłaczająca większość naszych kościołów parafialnych pochodzi z wieków średnich albo przynajmniej z czasów dawnej Rzeczypospolitej. Do wystawienia i uposażenia kościoła i beneficjum w obrębie swych obszarów uprawniony był wówczas wyłącznie ich właściciel. Z tytułu fundacji lub dotacji zyskiwał on z nadania kościelnego w myśl ówczesnego prawa kanonicznego patronat[3]). Ścisły związek patronatu z prawem własności na dotyczących majątkach, także w razach późniejszej redotacji, o ile pociągnęła za sobą nadanie go także właścicielom innych majątków, czyli realny jego charakter jest tu oczywisty. Analogicznie przedstawia się rzecz co do kościołów, położonych w dawnych dobrach duchownych. Niektóre z nich zawdzięczają swą fundację osobom prywatnym lub monarchom; wraz z pewnymi majątkami ziemskimi przeszedł ich patronat z czasem na biskupów, kapituły, klasztory. Inne założone i wyposażone zostały przez prawne osoby kościelne jako właścicieli odnośnych majątków. W obu tych razach patronat jest realny (laikalnym, nie kościelnym, zowią go niektórzy autorowie).

Realny był również patronat „królewski“ względem kościołów, położonych w obrębie dawnych dóbr koronnych (tj. państwowych, „starostw“). Królom nie przysługiwał patronat z tytułu ich władzy monarszej, lecz wyłącznie z nadania kościelnego: personalny, dzięki uzyskanemu od Stolicy Apostolskiej przywilejowi, względem niektórych prebend kapitulnych, realny w stosunku do ko-

---

[1]) Archiwum Archidiec. w Pozn.: Akta Ordynariatu Gen. 123 vol. I—V.

[2]) l. c. s. 392.

[3]) Pomijamy ważne zresztą zagadnienia pierwotnego prawa własności osób prywatnych na kościołach.

ściołów, położonych w dobrach koronnych. Zasadę tę podzielało również ustawodawstwo i praktyka dawnej Rzeczypospolitej. W statucie z 22. 2. 1510 postanowił król Zygmunt I, że tenutariuszom dóbr królewskich przysługuje prawo patronatu tylko wtenczas, jeżeli majątki te powierzono (zastawiono) im „cum omni dominio"; patronat łączono tu za tym ściśle z kompleksem praw dominikalnych względem odnośnych dóbr ziemskich[1]). W przywileju swym dla kapituły gnieźnieńskiej z r. 1511 uzasadnia król swe prawa patronackie względem kościoła parafialnego w Kcyni niedwuznacznie posiadaniem dóbr kcyńskich: „ecclesiam parochialem nostri iuris patronatus Kcynensem, in bonis scilicet nostris regiis Kczyny... sitam..."[2]). Przekazując dobra koronne osobom prywatnym na własność dziedziczną przelewano zarazem na nowych właścicieli patronat tamtejszych kościołów, np. w r. 1661 w akcie darowizny dóbr starostwa tykocińskiego na rzecz hetmana Stefana Czarnieckiego[3]).

Wykazanie patronatu realnego nie przedstawi na ogół żadnych trudności w odniesieniu do majątków ziemskich (i lasów) własności prywatnej. Wystarczy dowieść, że każdorazowy ich właściciel zeszłego i bieżącego stulecia korzystał z patronackich praw i ponosił przypadającą mu część ciężaru budowlanego. Akta archiwum parafialnego: patronackie, budowlane, etatów i rachunków, tradycyj, ubezpieczenia ogniowego, generalia nieraz i księgi metryczne, dostarczą potrzebnego materiału prawno-historycznego. Jeżeli majątki patronackie pozostają od dawna w dzierżeniu tej samej rodziny, trzeba będzie sięgnąć wstecz do relacji Liber beneficjorum Prymasa Łaskiego (Gniezno) wzgl. Biskupa Lubrańskiego (Poznań) z pocz. XVI w. oraz wizytacyj kościelnych XVII i XVIII stulecia. Inne nazwiska ówczesnych właścicieli majątków a zarazem patronów lub tego rodzaju relacje, jak „patronus ecclesiae est h e r e s bonorum NN., heres loci, heres ibidem" itp., rozproszą wszelkie wątpliwości.

Stwierdzenie realnego patronatu kościołów w dawnych dobrach koronnych oraz duchownych — w zasadzie zbędne — wymagać będzie rozległych badań, i to na przestrzeni wielu wieków, w dokumentach i Archiwum właściwej Kurii Arcybiskupiej, Archidiecezjalnym lub

---

[1]) Corpus Iuris Polonici, ed. O. Balzer, vol. III, s 117; Volumina legum I, s 169.

[2]) Dokum. org. perg. w Archiwum Kapitulnym w Gnieźnie.

[3]) Vol. leg. IV, s 328 n.

i Kapitulnym, nadto uwzględnienia licznych publikacyj źródłowych. Średniowiecznych dokumentów erekcyjnych parafii doszło nas niewiele.

Obszar, obciążony patronatem.

Tam, gdzie patronat przywiązany jest do jednego tylko majątku ziemskiego lub istnieje kompatronat właścicieli kilku majątków, stwierdzenie patronackiego obszaru jest zbyteczne. W razie potrzeby archiwum parafialne dostarczy w nadmiar dowodów. Natomiast sprawa komplikuje się, gdy patron jest właścicielem kilku majątków ziemskich lub kościół położony jest w obrębie dawnych dóbr koronnych albo duchownych. W tych razach trzeba będzie sięgnąć przede wszystkim do źródeł z czasów dawnej Rzeczypospolitej. Wytyczne dla tego rodzaju badań dają nam oprócz niektórych dawnych autorów przede wszystkim liczne procesy patronackie z XV i XVI w., zawarte w aktach konsystorskich, z czasów odległych, gdy wobec stosunkowo mniejszych świadczeń obowiązkowych, ale tym większej ofiarności właściciel nawet skromnej dziedziny bronił zapamiętale swych praw patronackich. Położenie kościoła i plebanii, rozmieszczenie ich uposażenia (rola, łąki, stawy i lasy, prawo wyrębu, rybołóstwa, pastwisk itp.), akty prezent i instytucyj na beneficjum, zatwierdzone przez Ordynariusza cesje patronatu lub recesy familijne, wyroki sądowe (oficjalskie), renowacje erekcji kościoła, akty różnego rodzaju transakcyj majątkowych itp. pozwolą wyjaśnić dostatecznie stan prawny. Majątki patronackie nie koniecznie objęte są granicami dzisiejszymi lub pierwotnymi parafii; nie zawsze tworzą zwarty kompleks. Nieraz na pewnej majętności, zwłaszcza na dawnych królewszczyznach i włościach duchownych, spoczywał patronat kilku kościołów. Z pewnością dopiero po dokładnym zbadaniu rzeczy orzekł rząd pruski reskryptem ministerialnym z 12. 5. 1837 w sprawie kościołów patronatu niegdyś klasztoru strzelińskiego słusznie, że patronat, który przysługiwał prawnym osobom kościelnym, obciąża całość jej posiadłości ziemskich. Analogicznie należy odnieść to do dawnych dóbr ziemskich Stołu Arcybiskupiego i kapituł katedralnych. Rozwikłanie tych zagadnień zazwyczaj przerastać będzie środki, jakimi dysponuje przeciętny rządca kościoła. Okaże się konieczny regres, najlepiej z pomocą fachowego historyka, do Archiwum Kurii Arcybiskupiej, Kapitulnego czy Archidiecezjalnego.

I n k o r p o r a c j a a p a t r o n a t.

Temat powyższy posiada bogatą literaturę specjalną zagranicą. Inkorporacje kościołów parafialnych wraz z beneficjami proboszczowskimi do różnych instytucyj kościelnych były u nas bardzo rozpowszechnione. Wbrew postanowieniom Soboru Trydenckiego zyskiwały je drogą indultu zwłaszcza klasztory, ad temporalia tantum, a nawet ad utrumque (pleno iure). Przesłanką było z reguły, chociaż nie zawsze (przykład: kościół św. Piotra na przedmieściu w Przemęcie), posiadanie patronatu. Klasztor wchodził mocą inkorporacji, po wydzieleniu kongrui dla proboszcza wzgl. wikariusza wieczystego, w posiadanie (użytkowe lub nawet na własność) majątku beneficjalnego. Kościół, duszpasterz (także zakonny) i parafia pozostawały nadal pod nieuszczuploną juryzdykcją Ordynariusza. Według dawnego prawa kościelnego inkorporacja pleno iure niekoniecznie pociągała za sobą wygaśnięcie patronatu, jak obecnie (can. 1470 § 5), przeciwnie, patronat mógł istnieć nadal[1]). Sprawa patronatu tej kategorii kościołów wymagać będzie w poszczególnych razach bardzo rozległych i wyjątkowo ścisłych badań, co najmniej od czasu dokonanej inkorporacji począwszy. Wśród własnych kilkuletnich poszukiwań nie spotkaliśmy się na terenie poznańskiej archidiecezji z żadnym przykładem wygaśnięcia patronatu wskutek inkorporacji kościoła do klasztoru w okresie przed ogłoszeniem nowego CJC.

Z a k r e s świadczeń patronów na rzecz kościołów i beneficjów jest naogół ustalony. Akta archiwum parafialnego wyświetlą w razie potrzeby rzecz zupełnie. Niektóre z niekorzystnych dla Kościoła wyroków sądowych zeszłego stulecia może tłumaczą się niedostatecznym wykorzystaniem źródeł przez duchowieństwo.

P o z n a ń s k i e Archiwum Archid., w którym skupiono starsze zespoły Archiwum Arcybiskupiego, Kurii i Kapitulnego, rozporządza bardzo obfitymi źródłami dla tych wszystkich kościołów, które od dawna należały do tutejszej diecezji, od XIII do XVIII i częściowo także z XIX wieku. Niestety brak tam m. i. ksiąg tak niezwykłej wagi, jak „Acta Episcopalia" (urzędowe księgi administracyjno-sądowe Ordynariuszów) z lat 1665—1791; od czasów rozbiorów dawnej Rzeczypospolitej pozostają one w Warszawie. Natomiast skąpe są źródła jego aż do

---

[1]) Por. artykuł J. L ö h r'a w Lex. f. Theol. u. Kirche V, 404.

schyłku XVIII w. w odniesieniu do tych wszystkich parafii, które w latach 1821 lub 1925 z wrocławskiej i gnieźnieńskiej archidiecezii wydzielone i do poznańskiej przyłączone zostały. Nieraz zajdzie potrzeba odwołania się do archiwów ich diecezyj pierwotnych.

W sprawie kościołów, położonych w dawnych granicach archidiecezji gnieźnieńskiej kompetentne będą przede wszystkim Archiwum Kurii Arcybiskupiej w Gnieźnie oraz Kapitulne; ostatnie zwłaszcza dla parafii patronatu niegdyś Prymasów i ich kapituły katedralnej. Z archiwum Arcybisk. gnieźnieńskich pozostała znaczna część w Łowiczu (dziś w Warszawie). Rządcy kościołów z strefy Kalisza-Pleszewa-Krotoszyna czyli dawnego archidiakonatu i oficjalatu kaliskiego, podobnie parafij kujawskich nie pominą archiwów kościelnych Włocławka.

Niedogodność, wynikającą z kilkakrotnych zmian granic diecezyj oraz pewnego rozstrzelenia dawnych zadwornych archiwów (arcy)biskupich i konsystorskich łagodzą tylko w drobnej mierze nieliczne publikacje interesujących nas w sprawach patronackich źródeł, np. Liber beneficiorum Prymasa Jana Łaskiego, wizytacyj kościołów kujawskich i z strefy nakielsko-pomorskiej XVI—XVII w. we włocławskich Monumenta historica dioeceseos Wladislaviensis czy toruńskich Fontes lub dekanatów Kępno, Ostrzeszów, Bralin w Jungnitza Visitationsberichte... (XVII w.) lub wreszcie wydane swego czasu przez Ulanowskiego: Acta capitulorum necnon iudiciorum ecclesiasticorum (XV—XVI w.) i Revisiones bonorum archiepiscopatus necnon capituli Gnesnensis saec. XVI, pomijając liczne publikacje dokumentów i regestów, głównie z wieków średnich.

Odprawiając rozmyślanie, kończymy je krótkim, praktycznym postanowieniem. Wieczorem zaś przy rachunku sumienia pytamy samych siebie, czyśmy postanowienie wykonali. Podobnie powinniśmy postępować także w życiu społecznym. Nieraz odprawiamy wspólne „rozmyślania społeczne": odbywamy zjazdy i kursy, uchwalamy rezolucję i postanowienia, ogłaszamy hasła i programy pracy — potem rozchodzimy się w poczuciu spełnionego obowiązku. Zapominamy jednak, że podobnie jak w życiu indywidualnym, tak też w życiu zbiorowym trzeba miesiąc czy rok pracy kończyć „społecznym rachunkiem sumienia".

Z. B.

Ks. Paweł Kirstein — Pelplin.

ASYSTENT KOŚCIELNY WOBEC SWYCH NAJBLIŻSZYCH WSPÓŁPRACOWNIKÓW AKCJI KATOLICKIEJ.

Stosunek Asystenta Kościelnego do członków A. K., zwłaszcza do współpracowników jego, nie zawsze i nie tak łatwo układa się tak, jak tego wymaga rozwój i owocna działalność tej wielkiej sprawy bożej. Jeśli chodzi o zasadnicze nastawienie X. Asystenta do jego współpracowników, to tu z góry zaraz wysuwają się pewne trudności. Trzeba bowiem sprawę postawić tak, by było odpowiednie podporządkowanie się jemu jako przedstawicielowi władzy kościelnej, a z drugiej strony, by respektowana była całkowicie pełnoletność duchowa i osobista samodzielność wiernych. Struktura człowieka jest, niestety, taka, że poczucie pełnoletności i samodzielności łatwo wyrabia w nim dążenie do niezależności i autonomii, a ściślejsze podporządkowanie go władzy zbyt często niweluje jego osobowość, zacieśnia jego indywidualne zdolności i inicjatywę i siłę jego peryferyczną. Stąd ten nieszczęsny antagonizm między władzą a indywidualizmem człowieka. Tego w A. K. być nie może.

Chodzi teraz o to, by biegunowych tych napięć w człowieku nie niszczyć, ale unormować je, użyźnić i wykorzystać. One przecież nie na próżno przez Stwórcę włożone zostały w człowieka. One mogą i mają być zużyte dla dobra jednostki i ogółu. I to właśnie jest podstawowym warunkiem owocnego i sprawnego działania A. K. te sprzeczne niby dążności w człowieku ku sobie skierować, zrównoważyć, rozwinąć w kierunku dobrym i wprzęgnąć w rydwan sprawy bożej i Kościoła. Samodzielność osobowa ma być jak najstaranniej zachowana i pod autorytetem i rzeczowym kierownictwem hierarchii kościelnej rozwinięta w całej swej pełni, by każdy dla społeczności i całości z siebie wydawać mógł, co wie i ma najlepszego i najpiękniejszego.

W A. K. jest autorytet najwyższy, bo autorytet hierarchii boskiej. Ale autorytatywne to kierownictwo od każdego członka wymaga głęboko rozwiniętego poczucia osobowości i własnej wolności, dba o to, by bogactwa i różnorodności łaski życia u żadnego nie zostały przytłumione, ale rozwijały się na korzyść i radość wszystkich. U nas nie istnieje kwestia, czy autorytet czy wolność, u nas jest i autorytet i wolność. Oba stoją obok siebie, nie w gnuśnej tolerancji, ale w zdrowym antagoniźmie, jako biegunowe przeciwności, które się złączyły do możliwie żyznego bytu, do możliwie wydajnej pracy.

Zrozumienie tego zasadniczego problematu A. K., głębsze wniknięcie w jego istotę będzie najlepszym podłożem dobrego stosunku między władzą a podwładnymi, między hierarchią i wiernymi, między Asystentem a jego współpracownikami.

A jednak pełne zrozumienie i zrealizowanie tych prawd na początku nie było tak łatwe. Trzeba było przełamać zanadto głęboko zakorzenione poglądy i praktyki odmienne. A mieli tu swoje zastrzeżenia i kapłani i laicy. Tamci uważali własne swe autorytatywne kierownictwo we wszelkich dziedzinach kościelnych czy religijnych za nieodzowne i niezastąpione. Poza tym obawiali się zbytniej samodzielności laików i przerostu indywidualizmu. A i laicy mieli swe wątpliwości. Nauczeni doświadczeniem, nie wierzyli w prawdę słów o pełnoletności duchowej, o zobopólnej współpracy, o ogólnym kapłaństwie. Byli zdania, że to tylko piękne słowa, które jednak nie zostaną zrealizowane, i że tu chodzi o nowe, rozszerzone opiekuństwo nad sobą.

Bogu dzięki, zastrzeżenia te jednych i drugich z biegiem czasu u wielu, wielu znikły albo przynajmniej zredukowane zostały do minimum. A jednak, o ile chodzi o nas kapłanów, niestety, zawsze jeszcze czyta się i słyszy o różnych niedociągnięciach. Są w A. K. tu i ówdzie jeszcze Asystenci kościelni, którzy w ręku swym trzymają możliwie wszystko, którzy sami decydują o wszystkim. I do najbliższych swych współpracowników nie umieją zbliżyć się w tonie więcej zażyłym, przyjacielskim, z sercem otwartym jak człowiek do człowieka, ale traktują ich zawsze z wysokości swego urzędu, otoczeni nimbem powagi i wszechstronnej rewerencji.

Tacy Asystenci nie uświadomili sobie jeszcze, że żyjemy w czasach nowych, w czasach wielkich przeobrażeń

we wszystkich dziedzinach, że do nowoczesnego człowieka trzeba podchodzić metodami innymi, niż kiedyś. Tacy Asystenci przede wszystkim nie zrozumieli jeszcze pierwszych, fundamentalnych podstaw A. K. Tacy Asystenci i przy największych zabiegach i wytężeniach właściwej A. K. w swych parafiach nie zbudują. Tacy Asystenci w ogóle nie mają żadnych współpracowników, li tylko posłusznych wykonawców swych zleceń czy rozkazów. Tacy Asystenci u członków swej A. K. nie wywołują żadnej inicjatywy, żednego zapału, żadnego poczucia odpowiedzialności, przeciwnie, przytłumiają i zabijają wszystko, co jest celem i istotą tego wielkiego ruchu w Kościele bożym.

A stosunek między takim Asystentem a współpracownikami pozbawiony będzie wszelkich tych cech, które łączyć ich winny. Nie będzie ni szczerości, ni otwartej wymiany zdań, ni wzajemnego zaufania. Za to będzie dużo nieszczerości i obłudy ze strony współpracowników, będzie krytyczne nastawienie wobec poszczególnych pociągnięć Ks. Asystenta, często skryty upór i ledwo zatajone zadowolenie, kiedy jakieś sprawy się nie udadzą.

Piękną ilustrację na ten temat mogę podać z pewnego zajścia w samym Poznaniu. Otóż odbył się zjazd delegowanych Kat. Stowarzyszeń Kobiet z całej Polski. Byłem na nim także obecny jako diecezjalny Asystent K. S. K. Przy dyskusji nad programem i sposobami pracy delegatki wysuwały różne trudności i bolączki, ale z ostrożnym niby pominięciem czy zakrywaniem właściwych przyczyn tych trudności i bolączek. Dyskusja toczy się bez żadnych namacalnych sukcesów. Wreszcie zgłaszam się sam i pozwalam sobie powiedzieć jasno i wyraźnie, o co właściwie delegatkom chodzi: że chodzi im o trudności ze strony X. Proboszcza wzgl. X. Asystenta, że chciałyby się wyżalić na zbyt autorytatywne, wprost apodyktyczne jego postępowanie, na brak swobody działania itp. Starałem się XX. Asystentów usprawiedliwić, jak mogłem, ale z drugiej strony poprosiłem o cierpliwość i niezrażanie się tym do A. K. Bo stanowisko A. K. w tej sprawie jest inne, mianowicie że obok rzeczowego nadzoru ze strony Kościoła laicy mają tu mieć samodzielność działania, wolność inicjatywy i swobodę decyzji i udział w odpowiedzialności. Sam się przeląkłem, z jaką burzą oklasków cała sala zareagowała na te moje krótkie wywody, na to, że trafiłem, jak mówiono, w samo sedno sprawy. A po zebraniu winszowanie i podziękowania z różnych

stron a nawet piśmienne, później jeszcze, dzięki na ręce p. Prezeski czy Gen. Sekretarki. To wszystko dla mnie było rewelacją, ale rewelacją smutną. Mimo woli, jakby odruchowo tu na jaw wyszło, jakie nastawienie jest w licznych organizacjach wobec XX. Asystentów, jakie niezadowolenia zachodzą względem nich właśnie ze strony najbliższych ich współpracowników, jakie ci mają do nich żale, i to z powodu ich autorytatywnego albo apodyktycznego postępowania.

Czy przy takim nastawieniu laików do swego kapłana, współpracowników Akcji do swego Asystenta wyjść może coś dobrego? Czyż nie wiedzą o tym, że z najróżniejszych stron i sfer katolickich dochodzą wieści o coraz bardziej zmagającej się reakcji przeciw takim metodom wodzów kapłanów?

Owe zdarzenie miało miejsce ca. 5 lat temu. Od onego czasu zmieniło się dużo na lepsze. Ale czy wszędzie i na całej linii?

Powiedzieliśmy wyżej, że w A. K. łączyć się mają do harmonijnej całości i współpracy wolność osobowa i kierownictwo kościelne. A uskutecznienie i dopilnowanie złączenia tych dwóch niby biegunowych sprzeczności to zadanie przede wszystkim Asystentów kościelnych.

Wolność osobowa nadaje członkowi godność wielką, godność wyłącznie jemu właściwą. Ona zarazem jest najlepszym źródłem jego duchowych i moralnych sił. A ponieważ w A. K. chodzi o zmobilizowanie i uaktywnienie wszelkich w człowieku drzemiących sił pozytywnych i twórczych, respektowanie i podniesienie wewnętrznej osobowości każdego pracownika jest tu warunkiem podstawowym. Bo inaczej nie rozbudzi się żaden zapał, żadna inicjatywa, żadne poczucie odpowiedzialności. Na nic nam w A. K. marionetki, które ładnie i posłusznie poruszają się i posuwają na wskazane im miejsce. To zresztą ludzie zwykle dobrzy i uczciwi. I tacy ludzie mogą się przydać i mogą mieć swoje znaczenie w różnorodności organizmu kościelnego. To czynniki narzędne wykonawcze. Ale to nie są twórcze wykładniki jakiejś idei. W tym wielkim budującym się dziele A. K. oni mogą być tylko kamieniami budowlanymi, nigdy budowniczymi. A o tych ostatnich tu właśnie nam chodzi, tych my na gwałt potrzebujemy. I nimi być mogą tylko ludzie o rozbudzonej własnej umysłowości i odpowiedniej tężyźnie woli, ludzie, którzy mogą nam coś powiedzieć i do sprawy coś wprowadzić.

Ale tych ludzi do pracy pod komendą wodza kapłana zwykle nie dostaniemy. A jeśli dla dobra sprawy się zjawią, to w atmosferze, jaką naokoło siebie wytwarza samowładny Asystent, swobodni czuć się nie będą i nie mogą. Tu żaden zapał i żadna radosna twórczość się nie ostoją, a już najmniej u mężczyzn. Tu za mało albo wcale nie mają możności swobodnego działania, za mało możności rozwinięcia swych zdolności, swych dobrych chęci i pomysłów. Dla wyładowania tychże szukają sobie pola inne. Oto jedna z głębszych przyczyn tego, dlaczego wielu szczerze wierzących i praktykujących mężczyzn, a przede wszystkim z pośród naszych inteligentów, trzyma się z dala od ściślejszego współżycia parafialnego i od udziału w A. K. To „chodzenie na pasku" X. proboszcza czy Asystenta zupełnie nie odpowiada ich poczuciu męskiemu. Tu zanadto widzą się ograniczeni w swej osobistej wolności i godności. Na takie ograniczenia oni godzą się, często godzić się muszą w sprawach politycznych i gospodarczych; ale w kwestiach życia i apostolstwa religijnego tymbardziej chcą widzieć respektowaną swą osobowość i samodzielność.

Chcąc zatem do współpracy w A. K. wciągnąć i przy niej utrzymać ludzi o radosnej twórczości, ludzi dla pracy katolickiej wartościowych, prawdziwych współbudowniczych sprawy bożej, porzućmy wreszcie dawniejsze metody autokratycznego kierownictwa. Prowadźmy wreszcie A. K. tak, jak życzy sobie tego Stolica Apostolska i Najdostojniejszy nasz Episkopat. Chcą oni zupełnie jasno i wyraźnie, by laicy czynny i żywy udział brali w hierarchicznym apostolstwie Kościoła w samodzielnej pracy i na własną odpowiedzialność. A to naturalnie w szczególniejszy sposób odnosi się do najbliższych współpracowników naszych, do tych, którzy jako członkowie zarządu, czy jako kierownicy poszczególnych sekcji, czy jako przedstawiciele pomocniczych Stowarzyszeń A. K. stoją na czele całej tej pracy.

Ich winniśmy darzyć pełnym naszym zaufaniem. Cała A. K. zbudowana jest na wzajemnym zaufaniu. Kapłan i laicy stoją tu obok siebie i za siebie. I to zaufanie okażmy im przy każdej nadarzającej się sposobności, zwłaszcza przez to, że powierzamy im chętnie i zadania nęcące, tu i owdzie i zaszczytne, że przede wszystkim nakładamy na nich odpowiedzialność za ich pracę, za ich odcinek pracy. To będzie dla nich najlepszym uznaniem ich samodzielności osobowej. I jest pewnikiem psycho-

logicznym, że człowiek daleko chętniej i lepiej pracuje, jeśli za pracę swą sam odpowiada, niż wtedy, kiedy działa pod odpowiedzialnością innego.

Przy wykonywaniu poszczególnych zadań zostawiajmy im także możliwie daleko idącą swobodę. Ten tylko jest dobrym nauczycielem, dobrym oficerem, który stawia zadania możliwie jasno określone, ale przy wykonywaniu tych zadań podwładnym zostawia możliwie dużo wolności tak, żeby mogli rozwijać własną inicjatywę. Tak powinno być i w A. K. To jest i zupełnie w myśl Instrukcji, przez Najdost. Episkopat nasz dla Asystentów kościelnych wydany. Według niej Asystent nie jest kierownikiem pracy, ani patronem, ani dyrektorem, lecz doradcą, przyjacielem i „duszą". Tam jest mowa tylko o tym, że będzie służył organizacji radą, że będzie budził ducha jedności, gorliwości i wytrwałości, i że będzie współdziałał z władzami organizacyjnymi. W całej Instrukcji nie ma ani słowa, któreby uprawniało Asystenta do narzucania swej woli. W tym duchu ujęte są i Statuty poszczególnych Stowarzyszeń A. K. One zarządom czy kierownictwom powierzają prawie całą pracę, a w jej wykonywaniu zostawiają im wielką swobodę i samodzielność w spełnianiu wszystkich zadań im przypadających.

Wytycznych tych Asystenci przestrzegać winni jak najskrupulatniej. Niebezpieczeństwa przerostu indywidualizmu laickiego nie będzie, jeśli Asystent stosować się będzie do dalszych przepisów wzgl. wskazówek onej Instrukcji, według której on zatwierdza program pracy, według której on stale się informuje o stanie i działalności organizacji i możliwie uczestniczy we wszystkich zebraniach. Tu zawsze może i powinien zabierać głos. W sprawach wiary i moralności ma nawet prawo zawieszającego sprzeciwu, aczkolwiek Instrukcja tu dodaje, że „Asystent działalność swą będzie rozwijał tak umiejętnie i roztropnie, by nie potrzebował korzystać ze statutowego uprawnienia sprzeciwu".

Asystent, który wszystkie te uprawnienia roztropnie wykorzysta, będzie miał w życiu i pracy swej organizacji zawsze wielkie znaczenie. Wszyscy będą się liczyli z jego zdaniami i życzeniami, zwłaszcza że wiedzą, iż on wśród nich jest jako przedstawiciel i wyraziciel ducha Kościoła. Już to samo daje mu u aktywnych katolików ogromną powagę. I nie trudno będzie mu stać się rzeczywiście du-

szą swej organizacji, duszą, która wszystko i wszystkich ożywia i zapala, oświeca i wzmacnia, pociesza i prowadzi.

To ostatnie, to prowadzenie jest ciekawe, oryginalne, bo zarazem jest i delikatne i mocne, zupełnie niewidoczne, ukryte, a jednak wszystkim wiadome, zostawia wszystkim wolność i samodzielność, a jednak jest duszą i sprężynę wszystkiego. Oto mamy tak piękne skoordynowanie i zharmonizowanie owego pradualizmu w człowieku: wolność, idącą ręka w rękę z autorytetem, postępowanie samodzielne, a kierownictwo o wielkiej powadze. W roztropnym uregulowaniu tych dwóch przeciwieństw, w dobrym zrównoważeniu zasadniczych tych napięć między kierownikiem i kierowanymi leży rozwiązanie całej problematyki kierownictwa, leży i najlepsze kryterium duszpasterskich uzdolnień nowoczesnego kapłana.

Jednym z najważniejszych czynników rozbudzenia i rozbudowania takiej pięknej, skoordynowanej współpracy Asystenta z swym sztabem to miłość. Miłość daje dziwne, światu nieznane panowanie nad duszami. Ona posiada tę cudowną właściwość, tak uderzającą u Świętych, pozyskania i związania ze sobą wszystkich. Jeśli ona będzie przepajała i ożywiała A. K., a przede wszystkim stosunek Asystenta do współpracowników jego, to mimo woli dominującym tonem między nimi będzie szczera życzliwość i serdeczność. I ten ton całej ich pracy nada ogromną siłę promieniowania. Gorliwych zachęci jeszcze więcej do pracy, początkujących jeszcze więcej zainteresuje, a u przeciwników wzbudzi szacunek i przygotuje drogi do porozumień.

Mówiąc o przeciwnikach, mam tu na myśli ludzi, na poszczególne kwestie zapatrujących się inaczej od nas. Mogą to być ludzie o dziwnych nieraz i trudnych charakterach. Ale tacy często mają za to nieoszacowane zalety pod innym względem. Umiejmy tedy zawsze odnaleźć w nich to, co nas łączy, co mamy wspólnego, co możemy w nich uznać, pochwalić i za wspólną platformę wzajemnej naszej pracy obrać. Nikt nie ma zresztą monopolu nieomylności, a i my kapłani nie zawsze mamy prawa przy różnych ścierających się poglądów głosić: „Kto nie jest z nami, przeciwko nam jest“.

Wśród współpracowników swych Asystent może mieć i ludzi mniej zdolnych, albo niezręcznych w swej pracy. I względem nich niech odnosi się zawsze z iście ojcowską miłością. Kiedy mają dobrą i najlepszą wolę, kiedy czas swój wolny, tak szczuple im nieraz wymierzo-

ny, chcą poświęcić dla sprawy bożej, niech ich nie odpycha. Teren pracy jest tak wielki, że dla każdego chętnego i ofiarnego pracownika znajdzie się jakiś odpowiedni zakres działania. Ale jak mroźny szron podziałałoby na wrażliwą ich duszę, gdyby Asystent jakimś lekceważącym słowem, jakimś pogardliwym uśmiechem odpowiedział na ich dobrą wolę. Niejeden z konfratrów nie uświadamia sobie wcale, jaką gorycz, jaką nawet wewnętrzną zatwardziałość może wywołać takie odnoszenie się do tych ludzi.

Z miłości bezpośrednio wypływa radość i pogoda umysłu, ten piękny nastrój duszy, który tak mile działa na otoczenie i przyciąga ogromnie. Kapłan, który chce władać ludźmi i kierować ich życiem, musi stanowczo zbliżać się do nich w tonie radości i pogody. To będzie zarazem i najlepszą propagandą idei, którą on reprezentuje, idei bożej. Z kapłana zawsze i wszędzie promieniować winien zdrowy optymizm, który nie tyle liczy na ludzkie siły, ile na potęgę ramienia bożego. Zły humor, narzekanie, zniechęcenie, pesymizm ze strony Asystenta działałyby na A. K., a zwłaszcza na współpracowników jego wprost fatalnie. Mimo woli takie usposobienie podcięłoby twórcze czynniki ich ducha i sprawiłoby, że tam, gdzie najenergiczniej należałoby zabrać się do czynu, małodusznie opuściliby ręce. Zatem wszystkie nasze przedsięwzięcia pod znakiem katolickim bezwzględnie muszą mieć tę cechę pogodnej ufności w moc i skuteczność zasad, na których się opierają. I dlatego usuwajmy od kierowniczej pracy w A. K. wszystkich ludzi złego humoru, wszystkich zrzędu pesymistów, narzekających na wszystko i na wszystkich. A. K. z powodzeniem przeprowadzona może być tylko w tonie pogody i ufności. To daje jej moc promieniowania i dodatniego oddziaływania na wszystkich, którzy z nią się stykają. Natomiast na wóz skrzypiący nikt rad nie siada.

Chciałbym tu wspomnieć jeszcze o jednym obowiązku, jaki Asystent ma względem swych współpracowników, mianowicie o tym, że ich jako najbliższych pomocników w winnicy Pańskiej do tej pracy winien specjalnie przygotować.

Statuty wykreślają Akcji Katolickiej zadania wielkie. Ma ona wyrabiać światłych i czynnych członków Kościoła, przygotowywać do apostolstwa Chrystusowego, szerzyć zasady katolickie poprzez wszystkie dziedziny życia i kultury. To są zadania wielkie, zadania postawione lai-

kom. Ale oni sami tu nie ruszą z miejsca. A kapłan znowu nie może na wszystkich frontach im przewodniczyć, ich prowadzić. To zresztą nie byłoby w myśl A. K. Do tej pracy ma on mieć swoich ludzi. A mieć ich będzie tylko wtedy, kiedy ich sobie wychowa, wyrobi. Tymi sztabowcami w A. K. musi on się specjalnie zaopiekować, by życie ich duchowe i umysłowe doprowadzone zostało do możliwie wielkiego rozwoju.

Będzie pilnie baczył na to, by środki zalecane, wzgl. przepisane dla wszystkich członków, jak sakramenta św., egzorty, rekolekcje, konferencje, zjazdy, kursy były używane przez nich szczególnie gorliwie. W nich przede wszystkim Ewangelia ma przyjąć realne kształty, by za ich pośrednictwem żyjący w Kościele Chrystus zwolna został wprowadzony w życie codzienne. Oni jako kierujący Akcją Katolicką czy jakimś jej dziełem czy jakąś sekcją mają być w parafii jakby tymi akumulatorami, dostarczającymi siły życia i ruchu innym. Ale to jest tylko wtedy możliwe, jeśli wprzód sami zostaną naładowani, czyli napełnieni tą siłą bożą, tym życiem bożym.

Z tych samych przyczyn w nich więcej, niż u innych rozpalona musi być i światłość boża. Oni szerzej i głębiej wniknąć winni w tajemnice wiary, muszą chociaż stopniowo być wprowadzeni w światopogląd nadprzyrodzony, by nauczyli się patrzeć po katolicku na świat i jego sprawy, na problematykę spraw ziemskich, na Opatrzność bożą względem jednostek i narodów. Oni do głębi przekonać się muszą o potędze wiary, o jej pięknościach, o błogich i cudownych jej skutkach w sercu człowieka i w ludzkości całej, by wyrobiło się u nich to gaudium fidei. A radość wiary daje im do ręki broń mocną, niezwyciężoną, nie tylko do walki obronnej, ale i do walki zaczepnej, w której zdolni będą głęboko wcisnąć się w oszańcowane pozycje wroga.

Do takiego wyrobienia duszy i ducha nie wystarczą zwykłe zebrania, choćby z najpiękniejszymi referatami. Tu konieczny będzie możliwie *ścisły kontakt tych czołowych pracowników ze swym Asystentem*, który w swobodnych pogadankach, w małym i najmniejszym gronie będzie ich wprowadzał w poszczególne kwestie wiary i życia. A dziś, w czasach naszej cywilizacji nieosobowej, bezdusznej, w której symbolami stały się nasze „Société Anonyme“ i „Monsieur le bureau“, człowiek tym wdzięczniej reaguje na osobiste stykanie się i osobiste starania. A zwłaszcza w kwestiach religijnych czuje on wprost po-

trzebę się rozmówić i wypowiedzieć, poradzić się i dokształcić. On to czuje, że jego dążenie wzwyż potrzebuje wskazówek, wyświetleń, pomocy. On sam tylko z trudem odnajduje drogę do żywego zżycia się z Bogiem. Nie zna i środków, jakich mu użyć trzeba, by dźwigać się w górę. Nie zapominajmy o tym, że laicy — nie wykluczając zupełnie i inteligencji i akademików — w tej dziedzinie mają zwykle wiedomości bardzo szczupłe. Do tego dołącza się i ta trudność, że obecne kwestie życiowe bardzo są różnorodne i skomplikowane, tak że i inteligentniejszym katolikom często jest trudno rozpoznać, jakie w danym wypadku są postulaty Ewangelii. Żyją w świecie, w otoczeniu, w którym pełne, całkowite życie chrześcijańskie stało się rzadkością, tak że w konkretnych wypadkach nie łatwo im uzgodnić postępowania swojego z wymogami wiary.

Z wszystkiego tego wynika u nich szczere pragnienie osobistej rozmowy religijnej i wymiany zdań. Dla tej, i u aktywnych katolików rzeczywiście odczuwanej, potrzeby zrozumiałym się staje, że taki ruch Oxfordski w Anglii obecnie znowu takie ma powodzenie. Nie będziemy ruchu tego kopiowali, bo system jego ma i swoje niebezpieczeństwa. Nie możemy go i wprowadzić w tej rozciągłości, w której jest tam praktykowany. Ale u tych, którzy wśród laików mają nam być najbliższymi pomocnikami w zdobywaniu świata dla Chrystusa, takie indywidualne osobiste przeszkolenia i wyrabianie będą nieodzowne.

Nie mówmy, że to wymaga dużo czasu i pracy. Owszem, to racja. Ale wiemy przecież, że żyjemy w czasach, które od kapłana Chrystusowego wymagają dużo poświęcenia, w czasach, które na niego kładą coraz to nowe obowiązki, od których uchylić mu się nie wolno. A taką konieczną potrzebą czasu stało się dziś także *owo indywidualne, osobiste duszpasterzowanie*, którego potrzeba staje się coraz gwałtowniejsza z roku na rok. Bez niego nie obędzie się i żadna głębiej sięgająca A. K.

Wzorem niech nam tu będzie Sam nasz Mistrz Boski. Z jaką to miłością, z jakim poświęceniem On osobiście szkolił Swych Apostołów. Na ich urobienie poświęcił poważną część Swej trzyletniej działalności. Postępujmy podobnie. Przykładem tu nam być mogą nawet nasi wrogowie, którzy często niezmordowanie w osobistym kontakcie kształcą agitatorów i pionierów swej idei. Nie szczędźmy i my ni trudów ni zachodów, by mieć w swej parafii także taki zastęp ludzi, którzy będą dobrymi, wy-

trawnymi pionierami naszej idei, która zarazem jest ideą bożą, a będziemy mieli do dyspozycji naszej, dla spraw naszych, ludzi, na których liczyć możemy, ludzi, których śmiało wysyłać możemy na każdy posterunek, ludzi, którym zlecić możemy każde zadanie. Włożone w nich nasze trudy i mozoły wydadzą Kościołowi owoc stokrotny.

Słowa Ojca św., śp. Piusa XI: „Taką będzie A. K., jaką ją uczynią jej XX. Asystenci", tu rozszerzyć możemy w tym sensie, że powiemy: „Taką będzie A. K., jakich XX. Asystenci będą mieli współpracowników, a będą mieli takich, jakich sobie wyrobią".

W współczesnej powodzi pism i tygodników dla inteligencji, z których niejedne dość chałaśliwie nawet na swoją „katolickość" się powołują, kunsztem publicystycznym zgrabnie zakrywając luki doktrynalne i teologiczne swego katolicyzmu, czas jest postawić kropkę nad i — wskazać czytelnikom Teologii Praktycznej jaki mamy dziennik katolicki i tygodnik literacki dla inteligencji. Zastrzegamy się, że nie zamierzamy bynajmniej sprawić tym ujmy szeregowi pism„ bądź to fachowym, bądź też periodykim na wysokim poziomie stojącym, podkreślamy, że chodzi nam tu wyłącznie o dziennik dla inteligencji (a więc oprócz „Małego Dziennika") i o tygodnik literacki, na których znaczenie i potrzebę nacisk kładzie Synod.

Obecnie na pełne zaufanie i poparcie zasługuje z tego punktu widzenia dziennik „Głos Narodu" — wychodzący w Krakowie, redagowany przez ks. dr. J. Piwowarczyka — i tygodnik „Kultura" wydawany przez Naczelny Instytut Akcji Katolickiej w Poznaniu. „Głos Narodu" — jest jedynym w Polsce dziennikiem, który z pełną świadomością stara się dawać jak najbardziej zgodne z duchem nauki katolickiej oświetlenia przejawów życia politycznego i społecznego.

Tygodnik „Kultura" służy idei społecznej i kulturalnej katolickiej, nie szuka oparcia w żadnym z prądów laickich, nie nawiązuje do żadnego kierunku politycznego, ale pragnie urabiać w świadomości społeczeństwa polskiego właściwy pogląd na wartości kultury, sztuki i literatury, pragnie wykrzesać iskry duchowych sił, jakie drzemią w psychice inteligencji polskiej. Wychodząc jako organ Nacz. Instytutu Akcji Katolickiej w Poznaniu pod auspicjami Episkopatu — daje „Kultura" gwarancję czujności i poczucia odpowiedzialności katolickiej we wszystkich odcinkach swej pracy.

Ks. Edmund Nowicki — Poznań.

UBEZPIECZENIE BUDYNKÓW OD OGNIA.

Podstawowego znaczenia budynków w dziedzinie majątkowej Kościoła i dla całokształtu służby bożej tłomaczyć nie trzeba. Wiemy też dobrze, ile wysiłku i poważnych ofiar wymaga postawienie potrzebnych budowli.

Wielką jest przeto odpowiedzialność zarządców mienia kościelnego za utrzymanie istniejących już budynków w prawidłowym porządku i dobrym stanie budowlanym oraz za należyte ubezpieczenie ich na wypadek pożaru.

Zwłaszcza ostatnia ta sprawa wydaje się na pozór może rzeczą prostą. W rzeczywistości jednak należyte jej postawienie w praktyce wymaga znacznej uwagi i wielu rządcom kościołów nastręcza trudności, gdyż suponuje wiadomości bodaj fachowe z dziedziny specjalnej. Pobieżne zaś lub nie umiejętne ujmowanie pomienionego ubezpieczenia narazi Kościół zawsze na poważne straty bądź przez nadmierne opłacanie składek ubezpieczeniowych bądź też przez nie osiągnięcie należytego odszkodowania w razie pożaru.

Obowiązujące na terenie archidiecezyj gnieźnieńskiej i poznańskiej rozporządzenie J. Em. Ks. Kardynała Prymasa o zarządzie majątkiem kościelnym z dnia 24 września 1935[1]) normuje to zagadnienie w art. 7 następująco:

„Wszelkie budynki należy w pełnej wartości ubezpieczyć od ognia w instytucjach ubezpieczeniowych, zasługujących na zaufanie".

Postanowienie krótkie, ale w treść bogate. Pierwszym więc i zasadniczym warunkiem racjonalnego ubezpieczenia jest, by podstawą jego była „pełna wartość" budynku. Otóż wartość tę stanowi tu koszt nowej budowy (fachowo: wartość techniczna budynku), ujęty na podstawie

[1]) Miesięcznik Kościelny r. 1935, str. 337 nn.

pojemności budynku po odliczeniu procentualności zużycia budynku (tzw. czasowa wartość techniczna).

Dla praktycznego wyjaśnienia tych pojęć i w ogóle całokształtu sprawy ubezpieczenia przytaczamy tu następującą cenną instrukcję Kurii Arcybiskupiej w Poznaniu z dnia 20 czerwca 1936[2]):

„Towarzystwa ubezpieczeniowe realizują odszkodowania za pożary w tak zwanej czasowej technicznej wartości budynków, odciągając przy tym zdatne do dalszego użytku pozostałości. Sumy ubezpieczeniowe poszczególnych obiektów nie powinny więc przekraczać czasowej technicznej wartości, aby nie płacono niepotrzebnie za wysokiej składki od ubezpieczenia. Jednakże sumy ubezpieczeniowe nie powinny być też niższe od czasowej technicznej wartości budynków, ponieważ wpływa to w razie pożaru ujemnie na wysokość odszkodowania.

Ustalenie sumy ubezpieczeniowej powinno się wyliczyć na podstawie wartości technicznej budynku i procentualności zużycia, czyli na podstawie tzw. czasowej wartości technicznej budynku. W tym względzie stosuje się następujące zasady:

a) Ustalenie wartości technicznej.

Wartość techniczna obejmuje koszt budowy nowej, ujęty na podstawie pojemności budynku. Pojemność budynku uzyska się, mnożąc szerokość, długość i wysokość budynku. Jeśli więc długość budynku wynosi 20 m, szerokość 12 m, wysokość od posadzki suterenu do głównego gzymsu lub posadzki poddasza 9 m, natenczas pojemność budynku wynosi $20 \times 12 \times 9 = 2160$ m^3.

Na podstawie konjunktury w przemyśle budowlanym przeprowadzają poszczególne towarzystwa, urzędy i biegli sądowi statystyki kosztów, uwzględniając przy tym przeznaczenie budynku i jego sposób wykonania. Dla domu mieszkalnego o skromnym wykonaniu oblicza się obecnie koszt budowy za 1 m^3 na 22 zł. Mnożąc więc pojemność 2160×22, otrzyma się wartość techniczną = 47.520 zł.

Ideałem ubezpieczenia byłby dla ubezpieczającego stan taki, że towarzystwo na przypadek spalenia się domu mieszkalnego wypłaci sumę 47.520 zł. Tak jednak w praktyce nie jest. Od sumy 47.520 zł odciąga się tak zwaną procentualność zużycia.

---

[2]) Nie drukowana.

b) *Procentualność zużycia* ustala się na podstawie wieku budowy, starości, nadwyrężenia poszczególnych części budynku, stropów, okapów, dachu, wilgoci w ścianach, złego wykonania, braku remontu itp.

Do ustalenia procentualności zużycia służą dokładne tabele[3]) wykazujące na każdy sposób wykonania i rodzaj budowy oraz czas trwania budowy wzmagającą się z wiekiem progresywnie rosnącą procentualność zużycia. Dom mieszkalny o dobrym wykonaniu postać może 150—200 lat. Wybudowany w roku 1860 wykazuje w roku 1936-tym przy normalnym remoncie procentualność zużycia ca. 30%. Suma odszkodowania na przypadek zniszczenia wynosić będzie przy technicznej wartości 47.520 zł powyżej podanego domu mieszkalnego po potrąceniu 30% = 47.520 — 14.256 = 33.264 zł i tworzy tak zwaną:

c) *Czasową wartość techniczną budowy.* Otóż wartość ta ustalona na podstawie kosztów budowy nowej przez potrącenie od sumy kosztorysowej procentualności zużycia tworzy główną podstawę odszkodowania.

Jeśli tylko w tej a nie innej wysokości ustala się odszkodowanie w razie pożaru, nie ma powodu opłacania składki wyższej ani niższej od wspomnianej, jak wyżej ustalonej, czasowej technicznej wartości. Czasowa wartość techniczna domu mieszkalnego wynosiła j. w. podano 33.264 zł. Suma ubezpieczeniowa wynosić winna również 33.264 zł.

Z powyższego wynika, że ubezpieczony znajdzie się mimo wszystko w położeniu niekorzystnym.

Najpierw bowiem obniża się co roku czasowa wartość techniczna budynku — a tym samym również suma odszkodowania w razie pożaru — a składki ubezpieczeniowe płaci się mimo to zawsze od pełnej sumy ubezpieczeniowej. Podobnie w razie zmiany konjunktury może się obniżyć wartość techniczna budynku a tym samym i suma odszkodowania w razie pożaru, a mimo to składki ubezpieczeniowe pozostaną w dawnej wysokości.

Powstaje przeto pytanie, czy ubezpieczony może przynajmniej w części ustrzec się od wspomnianych strat?

Otóż można to osięgnąć i to w ten sposób, że częściej (np. co 10 lat)[4]), przeprowadza się nowe oszacowanie

---

[3]) Ross, Leitfaden für die Ermittelung des Bauwertes von Gebäuden, Hannover, wyd. 13, str. 92.

[4]) Krótki ten okres nie odnosi się do gmachów monumentalnych, (jak np. kościołów), budowanych na setki lat.

z uwzględnieniem wszystkich dodatnich i ujemnych momentów wpływających na wysokość opłacanych składek.

Poza tym procentualność zużycia można wydatnie zniżyć, jeśli się, nie ograniczając kosztów utrzymania budynków do tak zwanego remontu normalnego, przeprowadza co lat 10 łub 20 remont kapitalny większym nakładem, ulepszając doraźnie stan budynków[5]).

O tak przeprowadzonym remoncie należy uwiadomić towarzystwo ubezpieczeniowe i równocześnie wnieść o ponowne oszacowanie budynków z dokładnym ustaleniem procentualności zużycia.

Biorąc pod uwagę podany powyżej przykład domu mieszkalnego, można, zależnie od poczynionego na remont nakładu, procentualność zużycia obniżyć z 30% do 15% i 10% i tym samym zapewnić sobie w razie pożaru wyższe odszkodowanie, zbliżające się cyfrowo do właściwych kosztów odbudowy budynku.

W praktyce należy jeszcze zważyć, co następuje:

1. Rzeczą znaną jest, że niesamowite różnice wykazuje sposób ustalenia przez towarzystwa ubezpieczeniowe sumy ubezpieczeniowej i sumy odszkodowania.

Ubezpieczenie załatwia w przewadze agent ubezpieczeniowy. Opisze budynki, wymierze je, ustali pojemność i wartość budynku, w najlepszym razie doda procentualność zużycia. Natomiast szkodę pożaru ustala się inaczej i zupełnie bez względu na wynik ujęcia sumy ubezpieczeniowej. Szkodę pożaru obliczają siły techniczne. Technicy przystępują z całą precyzją do wyrysowania rzutu, przekroju, czasem i widoków budynku, sygnują wszystkie pomiary, grubości drzewa, ścian, wysokości poszczególnych kondygnacyj, sporządzają dokładny kosztorys nowej budowy na podstawie powziętych ponownie pomiarów na miejscu i na podstawie cen konjunktury budowlanej, obowiązującej lub istniejącej w dniu pożaru w przemyśle budowlanym i w robociźnie poszczególnych prac rzemieślniczych, złączonych z budową.

Od sumy kosztorysowej nowej budowy odlicza się procentualność zużycia na podstawie badań poczynionych na miejscu. Przeważnie przyjmuje się jako podstawę procentualność zużycia podaną w akcie ubezpieczeniowym. Stąd ustalenie tego czynnika w każdej polisie przed po-

---

[5]) Składka obniży się również, jeśli budynki pokryto dachem twardym, jeśli przedłoży się poświadczenie o prawidłowym założeniu gromochronu itp.

żarem jest rzeczą nadzwyczajnej wagi. Po potrąceniu procentualności zużycia od sumy kosztorysowej otrzyma się na tej, bardzo dokładnie technicznie ujętej drodze, czasową techniczną wartość budowy. Może ona być wyższą, może być też niższą od sumy ubezpieczeniowej.

O ile jest wyższą, natenczas wyjaśnia się, że ubezpieczający był „za nisko“ ubezpieczony i towarzystwo ubezpieczeniowe odciąga mu w razie pożaru procentualne manko od szkody rzeczywistej na jego niekorzyść.

O ile zaś ustalona czasowa techniczna wartość budynku jest niższą od sumy ubezpieczeniowej, natenczas w razie pożaru żadne dla ubezpieczającego nie powstają korzyści. Sprawdza się tylko, że był „za wysoko“ ubezpieczony i że płacił przez szereg lat „za wiele“. W najlepszym razie wraca mu się, o ile zgłosi odpowiedni wniosek, za pewien okres czasu nadmiar opłacanych za wysoko składek.

2. Po pożarze odciąga się od ustalonej czasowej technicznej wartości budynku pozostałości. Ich obliczenia wywołują częstokroć różnicę zdań i przyczyniają się do konfliktów.

Przy poważnych obiektach zaleca się przeto przywołać natychmiast, jeszcze przed obliczeniem szkody przez towarzystwo ubezpieczeniowe, rzeczoznawcę, który ustali zdatność pozostałości do dalszego użytku i ich rzeczywistą wartość. Wskazana jest w danym wypadku współpraca rzeczoznawcy przy przeprowadzeniu obliczeń przez przedstawiciela towarzystwa ubezpieczeniowego. Rzeczoznawcą tym nie może być jednak technik, choćby najlepszy a nie obeznany ze sposobem obliczenia szkody przez towarzystwo ubezpieczeniowe. Obok technicznych wiadomości konieczny jest wielki zasób wiedzy, obejmującej niesamowite tajniki kunsztu ubezpieczeniowego, w które wniknąć i wżyć się trzeba, aby doraźną przeprowadzić obronę interesów ubezpieczającego.

3. Polisa winna w rezultacie obejmować:

a) szkicowo ujęty rysunek każdego budynku w rzucie i przekroju,

b) dokładne pomiary skreślone w rzutach każdej kondygnacji, w szerokości i długości każdej ubikacji, w szerokości i długości całego budynku z wkreśleniem kominów, okien, drzwi,

c) dokładne pomiary wysokości skreślone w przekroju budynku z podaniem grubości murów, dimensjonowaniem drewna i konstrukcję dachu,

d) użytkowe przeznaczenie każdej ubikacji,

e) opis konstrukcyjny budynku, podający struktury murów zewnętrznych, murów wewnętrznych, fundamentów, tynków ościenia, wykonania stropów, posadzek, okien (pojedyńcze czy pudłowe), ogrzewania (piece kaflowe z podaniem wielkości i koloru kafli), kominów, pokrycia dachu, instalacji wody, odpływu, gazu, elektrycznego oświetlenia, łazienek, kotliny itp.,

f) opis użytkowy każdego piętra i każdej ubikacji,

g) rok wykonania budowy i techniczną wartość nowej budowy z podaniem sposobu obliczenia,

h) procentualność zużycia i ustalenie czasowej technicznej wartości.

Tylko tak ujęta polisa może tworzyć dla ubezpieczającego gwarancję rzetelnej i obiektywnej oceny rzeczywistej szkody przy ustaleniu przez towarzystwo ubezpieczeniowe sumy odszkodowania. Tylko tak ujęta polisa w razie różnicy zdań przyczynić się może do obiektywnego przeprowadzenia ponownego postępowania znawczego przez arbitrów stron i ułatwić może pracę superarbitra w postępowaniu rozjemczym, rozstrzygającym ostatecznie wysokość odszkodowania.

Powyższe zasady i wskazówki, byle dobrze przemyślane i umiejętnie stosowane, umożliwią świadome i odpowiedzialne kierowanie doniosłą tą sprawą z korzyścią Kościoła.

Kwestia wyboru ubezpieczalni „zaufania godnej", tj. opartej na zasadach etyki chrześcijańskiej i finansowo silnej, nie nastręczy trudności. Ubezpieczalni bowiem takich obecnie nie brak.

Polski kodeks postępowania karnego zwalnia duchownych od składania przysięgi, stanowiąc w art. 110 § 2: „Duchowni uznanych prawnie wyznań nie składają przysięgi". — Natomiast w sprawach cywilnych duchowni byli zobowiązani składać przysięgę, albowiem polski kodeks postępowania cywilnego nie zwalniał ich z tego obowiązku. Ukazała się wszakże nowela do tegoż kodeksu (dekret Prez. Rzpl. z 21 listopada 1938 o usprawnieniu postępowania sądowego — Dz. U. R. P. nr. 89, poz. 609) wprowadzająca do art. 294 jako § 2 następujące postanowienie: „Duchowni uznanych prawnie wyznań nie składają przysięgi". Obecnie więc duchowni uznanych prawnie wyznań nie składają wobec polskich sądów państwowych przysięgi ani w sprawach karnych ani też w sprawach cywilnych.

Ks. Henryk N. Lewandowski — Poznań.

O WIĘKSZĄ KULTURĘ W CMENTARNICTWIE.

(Z rozważań i doświadczeń przy zakładaniu cmentarza.)

Niebywały wyścig postępu w wszystkich dziedzinach życia zbiorowego jak i jednostki jest charakterystyczną cechą naszych czasów. Jeśli chodzi o wprzągnięcie zdobyczy współczesnych, zwłaszcza cywilizacyjnych, do prac i nadprzyrodzonych działań swoich, Kościół odznacza się zadziwiającą umiejętnością, podziwianą przez stojących na uboczu. Pragnę rzucić pytanie, jak my w Polsce w zagadnieniu cmentarnictwa, mającego tyle związków z działaniem duszpasterstwa, wyglądamy wobec Zachodu.

Wyznać trzeba, że cmentarnictwo nasze woła na wielu odcinkach o prawdziwą reformę. Widzi się tu sporadyczne wysiłki, by rozwiązać zagadnienia jego w duchu potrzeb i pojęć nowoczesnego życia, podchodzące do nowelizowania porządków cmentarnych, ograniczania swobody prywatnej na cmentarzu, do sprawy nagrobkarstwa, opłat i taryf, sprawy pracowników cmentarnych itp. Każdy duszpasterz wobec nowych wymogów życia rozwiązuje rzeczy na swój sposób, każdy ma doświadczenia swoje, trzebaby je zebrać i zestawić i w postaci gotowej podać do wiadomości, by zaoszczędzić zawodów już i tak tyle dziedzin muszącemu opanować duszpasterzowi.

Czujemy, że rozumne zdobycze postępu należałoby tu wprząc, odrzucając zaś to, co przeholowane, co nienaturalne i nieszczere a zwłaszcza to, co niezgodne z przepisami kościelnymi i zasadami wiary naszej. Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że w Polsce obowiązuje Ustawa państwowa z dnia 17. III. 1932 „o chowaniu zmarłych i stwierdzaniu przyczyny zgonu“, uzupełniona wszechstronnie Rozp. Ministra Opieki Społecznej z d. 30. XI. 1933, a nakładająca na gminy obowiązek zakładania gminnych cmentarzy, i, jak słychać, gminy miejskie w rzeczywistości w planach rozbudowy i zabudowy wydzieliły na

ten cel większe areały a nawet obliczają już koszta urządzenia własnych cmentarzy. Miasta, mające pod dostatkiem architektów-urbanistów i artystycznych ogrodników, stworzą cmentarze, wobec których wątpliwe, czy wiele cmentarzy naszych wytrzyma konkurencję. Nie będą się na tych laickich cmentarzach niewątpliwie chować tylko jacyś bezbożnicy, lub tacy, którzy na mocy kan. 1240 skazani są na pochowanie na miejscu nieświęconym, a więc pogardzanym, „pod płotem", lub w ogóle ludzie, do których się żadne wyznanie religijne nie chce przyznać, lecz może pójdą tam i nasi parafianie nieposzlakowani, ale wiedzący, że estetyczna szata tych cmentarzy, porządki i opieka nad nimi są w zbyt wielkiej dysproporcji do tych, które panują na cmentarzach parafialnych. Żadna siła chyba nie będzie w stanie nakazywać tym ludziom unikania cmentarzy symultannych, tym bardziej, że święcić by można — jak to bywa zagranicą — każdy poszczególny grób (cf. can. 1206).

Podchodzę do omówienia zagadnienia, stawiając się w położeniu duszpasterza parafii, który zakładać musi cmentarz nowy. Z natury rzeczy pociągnięcia jego przy wyszukiwaniu odpowiedniego terenu, przy opracowywaniu szczegółowego planu cmentarza, mogą być najbardziej postępowe, gdyż, trzymając się zasad i tradycyj katolickich o cmentarzu i grobie, ma zresztą wszelką swobodę w tworzeniu dzieła. To co się będzie mówiło, może mieć jednak mutatis mutandis zastosowanie i wtedy, kiedy rządcę parafii czeka zadanie przekopywania starych kwater lub poszerzanie cmentarza, gdyż dać może wskazówki, w jakim duchu usuwać zbyt rażące niewłaściwości itp.

Pomijam tu zagadnienie, jak i kiedy należałoby założyć cmentarz leśny, kiedy zaś krajobrazowy, architektoniczno-parkowy czy też zwykły ogrodniczy (prostokątny). Prawie zawsze jest on u nas — dla celów parafialnych — ostatniego typu, gdyż przedstawia rozwiązanie najtańsze, bo o największej ekonomii terenu, arteryj, zieleni, opłocenia etc.

Zieleń cmentarna.

Pierwszym, najważniejszym postulatem to uestetycznienie całości cmentarza, związanie lepsze alei i dróg oraz grup i skupień zieleni z czynnikami architektonicznymi, jak kaplica, krzyż, brama wchodowa, kolumbaria, skulptury religijne, studnie itp., przejrzystość w orientowaniu się wśród sieci dróg i arteryj, a przede wszystkim harmo-

nijny wygląd poszczególnych pól (kwater)! Pod tymi względami widzi się dziś rzeczy, których trudno nie określić jako prawdziwy chaos. Ambicją twórców cmentarzy minionej epoki było wprowadzanie alejek i dróżek kolistych lub wijących się niekiedy w splotach prawdziwego labiryntu, kwatery zaś są dowolnie obsadzone przez posiadaczy grobów drzewami bez jakichś wytycznych, krzewami, które wrastają w sąsiednie groby, niszcząc je oraz zamykając dróżki, nagrobki oglądamy w jednym polu obok siebie wysokie, niskie, ustawione przodem, tyłem, bokiem a, jeśli wśród nich są nawet wysoce artystyczne, giną w tej mieszaninie i cierpią na wyglądzie w otoczeniu innych o złym smaku. Drzewa, o których wspomniałem, posadziła prywatna inicjatywa na grobach, rosną one sobie swobodnie i osięgają rozmiary, właściwe ich rozwojowi, nikt bowiem nie ograniczał jakimś przepisem, żeby np. sadzono tylko niskopienne o zwartej koronie liści lub igieł. W rzeczywistości też drzewa te łączą się swymi konarami i tworzą prawdziwy baldachim, zazwyczaj szczelny, nieprzepuszczający upragnionych dla roślin na grobach promieni słonecznych ani odżywczego deszczu. Cała kwatera ma stąd wygląd nieco mroczny, a drzewa, które miały swoją zielonością zdobić, przedstawiają się patrzącym na nie z najnieciekawszej strony, bo od dołu. Cały wysiłek zabiegliwych wiernych, pielęgnujących swoje groby i pragnących zazwyczaj najpiękniej, stosownie do pór wegetacji, obsadzać je kwiatami wiosennymi, letnimi, w ogóle jednorocznymi a także bylinami, roślinami kobiercowymi i mchami, idzie w wielkiej mierze na marne, gdyż rośliny te z niedostatku deszczu a zwłaszcza światła i ciepła słonecznego nie rozwijają się a nierzadko tylko wegetują wzgl. dziczeją. Jeśli wierni mają mieć możność przez utrzymywanie życia roślinnego na grobach, przejawiającego stałe odmiany, rozrost, rozkwit, przekwitanie, podtrzymywać symbol życia wiecznego u zmarłych, musimy ten baldachim drzew usunąć. Będziemy mieć wówczas pole otwarte, naświetlone i przestronne a przy tym zwarte w swej przestrzeni, bo otoczone rzędami drzew, którymi obsadzone są okalające dane pole aleje i alejki.

Dochodzimy do zagadnienia bardzo ważnego. Smak nowoczesny nakazuje, jeśli cmentarz w całości i swoich fragmentach ma prezentować się pięknie i pociągająco przykuwać oko, by rzędy grobów z nagrobkami miały jakieś tło. Gdy kalkulacja kosztów utrzymania na to pozwala, należałoby stworzyć w klasach wszystkich takie

tło, najlepiej z ciętych krzewów ozdobnych (żywopłotów). Przy okazji słowo o klasach; można być przeciwnikiem tej „klasyfikacji“ po śmierci, jednak sami wierni ją uznawają, mówią o niej ustawy cmentarne świeckie za granicą a także nasze ustawodawstwo (Instr. Min. Opieki Społ. z d. 31. 7. 35 pkt. 44). Wierni zresztą sami mają różne wymagania odnośnie do bogactwa zieleni, do wielkości obszaru ziemi na grób, do szerszych czy węższych dróg. — Otóż przypuśćmy, że parafia może stworzyć takie żywopłoty (zawsze co dwa rzędy grobów jeden!) w kosztowniejszych klasach, wtedy groby wraz z nagrobkami będą tutaj przedstawiały widok harmonii, spokoju. umiaru, słowem piękna. W dalszych zaś, gdzieby już żywopłotów nie było, winna być linia szczytowa nagrobków niższa, aniżeli poziom oka człowieka dorosłego, np. 1.40 lub 1.50 m. Wzgląd ten, że pole takie grobów nie powinno być rozbite dla oka przez sporadycznie luźno sterczące wyższe nagrobki. Ażeby jednak wygląd takiej kwatery nie był nużący i jednostajny, dopuszcza się sadzenie krzewów i drzewek i to, jeśli jako zasada w chowaniu zmarłych przyjęte jest chowanie „głowa do głowy“ i „noga do nogi“, wolno posadzić zawsze pomiędzy głowami dwuch grobów krzewy, tak liściaste jak iglaste, wszakże wyłącznie takie, które mają z natury swej niski wzrost, albo też rosną wolno i znoszą doskonale cięcie i formowanie. Należą do nich spośród koniferów najróżniejsze odmiany cyprysików, np. Chamaecyparis Lawsoniana Alumii, Ch. pisifera (groszkowy), Ch. nutkaensis i inne, żywotniki: Thuja occidentalis, orientalis (ostatnia przepiękna, choć w młodości wrażliwa na mrozy); dalej jałowiec zagraniczny (chinensis, japonica), cis (taxus baccata fastigiata) oraz najuboższym nawet łatwo dostępny w zdobyciu jałowiec leśny, tworzący piękną kolumnę (juniperus communis). Z liściastych: tzw. drzewo migdałowe (prunus triloba), złotokap (laburnum vulgare Vossii), kalina pienna, krategus, róże pnące (wsparte na postumencie z prętów żelaznych, 1.50 m. wysokim, róże pienne-płaczące, polianty (karłowe wielokwiatowe — wprost na grobie). — Nawiasem tu dodam, że skasować trzeba oraz niedopuszczać do ich sadzenia wszelkie bzy (syringa), jaśminy i podobne; zbyt wielką są one pokusą dla złodzieji, głównie jednak ze względów estetyki, bo porastają i krzewią się zbyt szybko, wrastają w sąsiednie groby (stąd spory sąsiedzkie), zamykają ścieżki i przejścia. Na kwatery grobów rzędowych nie należą też wszelkie „płaczące“ wiązy, lipy, wierzby itp.

a zupełnie już nie drzewa o rozgałęzionych konarach. Uznajemy i propagujemy tylko do sadzenia jako solitery, porozrzucane między grobami uboższych kwater, krzewy i niskopienne (jak wyżej) drzewka, które czy to tworzą koronę zwartą (stożkowatą, kulistą, kolumnową), czy też jako wolnorosnące łatwo dają się przez cięcie formować a nie doznają przy tym uszczerbku na swym rozroście ani wyglądzie. Bryły te zieleni stają się równocześnie doskonałym tłem dla nagrobków, które ewentualnie rodziny zechcą stawiać w głowach obu grobów.

Drugą formą ożywienia i rozbicia monotonii pola grobów, to stworzenie pasów zieleni przez posadzenie żywopłotów pomiędzy rzędami grobów (między głowami jednego i głowami drugiego), utrzymywanych przez stałe cięcie w kształcie muru zielonego. Powstają w ten sposób długie kwatery altankowe o dwuch zawsze rzędach grobów z odrzynającymi się kolorystycznie na tle żywopłotów dwoma rzędami nagrobków. Żywopłoty te zależnie od tego, ile zwyczaje miejscowe przewidują klas chowania, mogą mieć wysokości różne, np. 1.80 m, 2.00 m, i 2.20 m, a także składać się z gatunków krzewów tańszych aż do kosztowniejszych (najlepiej z tuji i ligustru). Nie wolno zapominać o ważnej zasadzie, że wszystkie nagrobki w danej klasie i kwaterze muszą być równej wysokości a ich linia szczytowa winna być zawsze 15 do 30 cm niższa od linii górnego krańca ciętego żywopłotu. Widok kwatery takiej jest nadzwyczaj harmonijny i poważny, gdyż nie dostrzega się z powodu zapory zieleni wszelkich tyłów nagrobków lub ich boków. Znowuż mamy piękno, które już na tym się zasadza, że jest jednolitość; oglądamy jakby długie galerie o pewnej rozmaitości w ramach jednolitości.

Z powyższego wynika, że granica rozdziału praw i obowiązków odnośnie do sadzenia na cmentarzu drzew i krzewów przesuwa się mocno od zarządu cmentarza ku wiernym, posiadającym groby. Obserwacja uczy, że w generacji naszej poczucie piękna jest zawstydzająco niskie i dlatego nie można zostawiać wolnej ręki ogółowi, gdyż powstaje niekorzystny melanż rzeczy pięknych i odstraszających brzydotą. Zarząd cmentarza musi mieć sam jasny plan wykonania zadrzewienia i ozdobienia całości zielenią oraz winien być wychowawcą i czynnikiem, dającym wyraźne dyrektywy osobom korzystającym z cmentarza. Określi on więc ściśle, co w zakresie obsadzania, podlewania, mierzwienia i cięcia należy do niego,

a gdzie użytkownicy mają wolną rękę w sadzeniu drzewek, krzewów i kwiatów, przyczyniając się cząstką swą do godnego widoku tego „ogrodu umarłych". — Niemało kosztuje oczywiście perswazji i nieraz bezwzględności, by zachcianki i dziwactwa jednostek ujarzmić i do zastosowania się do porządku zmusić.

Arterie i kwatery.

Główne arterie na cmentarzu, ukształtowane jako aleje, są obsadzane drzewami, rozumie się nie z gatunków tak pospolitych jak klon czy kasztan, ale z pięknych brzózek, lip, dębów czerwonych amerykańskich (quercus rubra), jodeł niebieskich-kalifornijskich (abies concolor) itp. a dla kontrastu przeplatanych ciemnymi kępami cisów, jałowców lub bukszpanów. Są one zasadniczo arteriami komunikacyjnymi, trasami konduktów i dlatego nie uważa się obecnie za właściwe lokowanie przy nich grobów najokazalszych (tz. I klasy), raz dlatego, że cień drzew aleii odbija się niekorzystnie na rozwoju roślin ozdobnych na tych grobach, a następnie, że stale przelewająca się tędy fala ludzi odwraca uwagę i uniemożliwia modlitwę i skupienie członkom rodziny, którzy chcieliby, nie będąc na widoku ciekawych przechodniów, w cichości się wyżalić i pomodlić za dusze swych zmarłych. A w dodatku, niechże te nagrobki, nieraz pękające z pychy, nie rzucają się wszystkim w oczy, że tu leżą ludzie najbogatsi a więc uprzywilejowani — nawet po śmierci! Mówiąc już o grobach I klasy dodaję, że należy dla nich przewidzieć czy to blisko krzyża czy też w jakimś uroczym zakątku cmentarza miejsce, wyposażone w dobór cennych lub rzadkich egzemplarzy flory a ukryte za żywopłotami; stwarzają się wtedy prawdziwie czarujące ustronia, gdzie tym chętniej się przebywa a modląc się w skupieniu za zmarłych, wybiega myślą ku własnej przyszłości w zaświatach.

Ponieważ prakomórka cmentarza jest grób-jednostka, suma ich zaś składa się na pole a pola na cmentarz, winny aleje jak i alejki i dróżki układać się do siebie pod kątem prostym (pomnożony prostokąt grobu!); inaczej bowiem przy wygięciach dróg tworzą się między nimi a grobami sektory i wycinki niepotrzebne i zwykle zaniedbane.

Rzecz całkiem inna przy cmentarzu krajobrazowym, gdyż tu w ogóle większość areału to trawniki, kwietniki, stawki, tarasy, pergole, skupiny drzew a dopiero wpośród

niego na niektórych punktach znajdują się oddzielne cmentarzyki, już konstrukcyjnie zbudowane.

Dróżki wśród pola grobów nawet w najuboższych kwaterach winny być szersze, np. po 1 metrze, zwłaszcza kiedy co druga dróżka jest zamknięta w głowach krzewami ozdobnymi. Pożyteczną jest rzeczą określać poszczególne kwatery imionami świętych, np. św. Józefa, św. Barbary, św. Michała, św. Łazarza, unikając przez to określania ich mianem odnośnej klasy. Podobnie otrzymują arterie na cmentarzu nazwy, które są pełne wyrazu i znaczenia a widnieją, umieszczone na tabliczkach na skrzyżowaniach, np. Al. Św. Trójcy, Zbawienia, Sądu Ostatecznego, Zmartwychwstania, Wiecznego Odpoczynku, Al. Anielska (u dzieci).

Ubieranie grobów.

Słowo też o samym grobie i jego ubieraniu. — Rośliny ozdobne a szczególnie kwiaty, oczywiście żywe, są z natury rzeczy wyobrażeniem życia a, przynoszone na grób przez kochających bliskich, bywają wyrazem ich przywiązania i pamięci. Na mogiłach grobowych, mających u nas kształt podobny do trumny, są warunki rozwoju kwiatów bardzo niekorzystne; silna operacja słoneczna, działająca nie tylko na płaszczyznę górną poziomą, ale jeszcze i na cztery boczne, pozbawia korzenie roślin wilgotności, choćby nawet często były zlewane. Z tego głównie powodu też skasowano gdzieniegdzie (zwłaszcza w Niemczech) owe mogiły nadziemne, a miejsce pochowania zwłok zaznacza się tylko lekkim wyniesieniem, 8, 15 lub najwyżej 25 centymetrowym. Na takiej rabatce udawać się mogą kwiaty rzeczywiście pięknie. U nas walka z zwyczajem wysokich grobów wydaje się beznadziejną. Pragniemy zato tym bardziej polecać obsadzanie grobów roślinami, znoszącymi dobrze suszę a także lżejszą glebę, a w dodatku obecnie modnymi. Mam na myśli wszelkie gatunki i odmiany rozchodników (Sedum), — roślin meszkowatych, rojników (Sempervivum) — rozetkowych skalnic (Saxifraga) — tworzących skupiny zimotrwałe, już na stanowisko wilgotniejsze, oraz nieocenione byliny, ale tylko z odmian najniższych wzrostem, tworzące przepiękne barwne kobierce, np. żagwin (Aubrietia) w odmianach, ubiorek (Iberis sempervirens), płomyk dywanowy (Phlox setacea), wrzosy (Erica carnea), barwinek (Vinca minor), gęsiówka (Arabis), kosaciec karłowy (Iris pumila), tymianek (Thymus), smagliczka (Alyssum), dąbrówka (Ajuga

reptans), karmnik (Sagina subulata), przetacznik (Veronica saxatilis) i in. Z tych i wielu innych gatunków można stwarzać na grobie wzory rysunkowe i barwne o nieprzeliczonych kombinacjach.

Nagrobki.

Dziedzina, która wymaga specjalnego omówienia a kulejąca wszechstronnie, to nagrobkarstwo. Wielkie tu pole działania dla duszpasterza i rządcy cmentarza. Chodzi o stronę estetyczną, techniczną oraz religijną (symbole, napisy). — Co i gdzie można stawiać, to pierwsza kwestia. Są bowiem rozmaite typy nagrobków: o kształcie ścianki, stawianej w głowach grobów, kolumny, kubusa, graniastosłupa, wolnostojącego wokoło opracowanego pomnika, poziomej płyty nagrobnej lub sarkofagu. Musi być zgóry plan ustalony, jakiego typu nagrobki, w jakich rozmiarach i materiale w poszczególnych kwaterach wzgl. punktach można stawiać. I tu znów musi się koniecznie dowolności i zachciankom osobistym, często wypływającym z próżności lub pychy, podciąć skrzydeł. Nagrobek bowiem stoi długie lata a nieraz przeżywa generacje, winien więc być godnym wyrazicielem myśli o życiu poza grobowym. W każdej z odnośnych kwater można stawiać nagrobki tylko ściśle określonej wysokości — rozmiary minimalne do maksymalnych możliwych — szerokości i długości (głębokości). Wyjątki za żadną ceną nie są dopuszczalne. U nas jest najczęściej w zwyczaju kładzenie płyty na grobie lub ustawianie pionowego nagrobka lub krzyża. Nagrobki te zdradzają często zły smak, wykonane są bowiem zwykle bez projektu fachowca, natomiast według wzoru, nieudolnie skopiowanego z jakiegoś podręcznika. Za mało są zazwyczaj bryłowate, za bardzo robią wrażenie cienkich kulis. Pół biedy, jeśli opierają się optycznie o mur lub żywopłot z zieleni. Z drugiej strony roi się u nas od owych nagrobków rozdętych w patosie, który na cmentarzu wobec majestatu śmierci zupełnie nie jest na miejscu, owych pomników, przy tym z lichego materiału i bezmyślnych w kompozycji.

Należy doradzać rodzinom, zwłaszcza kiedy dysponują małą kwotą pieniędzy, by zamiast takich sprawiały prosty krzyż, oczywiście zawsze z wyobrażeniem Chrystusa, będący najpiękniejszym symbolem religijnym, z drzewa dębowego lub modrzewiowego, wzgl. nagrobek o skromnych rozmiarach, prosty ale zato smaczny w formie. Zamiast efekciarstwa zaś, lubującego się w kształ-

tach „bogatych“, pełnych ozdób, profilowań i wybrzuszeń (owego pseudo-baroku, do dziś pokutującego), osięgać należy wyraz artystyczny przez zaprojektowanie pięknego w bryle nagrobka, zrównoważonego w proporcjach i w rozczłonkowaniu oraz solidnego w obróbce kamieniarskiej, wzgl. odlanego w śpiżu. — Dziś wszędzie już chyba rządca parafii żąda wpierw przedłożenia projektu na nagrobek i to w skali 1 : 10, w dwuch wykonaniach (z widokiem elewacji, rzutu poziomego i przekroju podłużnego), po czym się go zatwierdza lub odrzuca. Dobrze mieć zaufanego architekta, który winien doradzać, jeśli swoim wiadomościom nie ufamy.

Kolorystyka nagrobków odgrywa też ważną rolę, winna się ona wiązać z żywą zielenią. Wykluczać trzeba przeto i walczyć z kamieniem czarnym (jak smoła), polerowanym na połysk (granit szwedzki i podobne) i z białym jak papier marmurem, za bardzo odrzynającymi się od tła i niechcącymi się z nim wiązać. Pierwszy zwłaszcza jest jakiś wiecznie nowy, bezczasowy, nie wietrzejący, jakoby ciało obce w zmieniającej się przyrodzie a przypominający do złudzenia pospolite czarne szkło. Popierać należy kamienie o odcieniach rozmaitych, możliwie ciepłych, brązowe, szare, kremowe, wpadające w czerwień, zieleń lub w niebieskie. Za granicą widać pod tym względem wiele pięknych zastosowań, ale nie brak ich sporadycznie i u nas (szczególnie w Warszawie na Powązkach). W Niemczech istnieją cmentarze wysoce kulturalne, gdzie wyżej podane zalecenia są nakazem a wskutek tego z całym rygorem przeprowadzane.

Najbardziej odpowiednim na pomniki nagrobne materiałem budulcowym tak ze względu na odporność na wietrzenie jak i dla walorów estetycznych to granit, następnie dopiero gnejs, syjenit, labrador i kwarzec, z kamieni miększych zaś diabaz, piaskowiec, wapień muszlowy, trawertyn i marmur. Piękne są polskie marmury: Zelejowa, Zygmuntówka, Bolechowice, Ołowianka (kieleckie) oraz Dębniki pod Krakowem. Kraj nasz niestety nie jest specjalnie bogaty w kamienie do celów architektonicznych, te zaś, które mamy, są zresztą drogie z powodu kosztów transportu; trzeba więc z konieczności iść na ustępstwa, zezwalając na wznoszenie nagrobków w tzw. sztucznym kamieniu czyli z betonu o warstwie wierzchniej z domieszką grysiku wapiennego (kamyczków marmuru o różnych odcieniach). Rzeczą zarządu cmentarza jest wymagać, by jakość sztucznego kamienia (proporcja

zestawienia) była najlepsza jak i obróbka jego kamieniarska, ażeby pomnik nie pękał, nie kruszał, nie wykazywał plam barwnych itd., aby nie mieć na cmentarzu pełno ruin. Okropne są owe skrzynie cementowe, naśladujące mogiłę grobową, z wystrojem skrzyżowanych palm; niedopuszczalne są w ogóle wszystkie wyroby z cementu jak i gipsu.

Winniśmy rozpocząć walkę ze szkłem; nie wolno przy nagrobkach stosować płyt ze szkła, zwłaszcza czarnego (nietrawionego), żadnych żużli, kamienia naciekowego, żadnego naśladownictwa pnia drzewa, kory ani w ogóle wszelkich imitacyj. Niedozwolone jest umieszczanie fotografij zmarłych, skrzynek drewnianych z poduszkami, z wieńcami i kwiatami sztucznymi, książek otwartych z porcelany, stojaków na wieńce.

A teraz ostatnie: napisy na nagrobkach winny wyrażać zawsze głęboką myśl religijną, zaczerpniętą z Pisma św. lub liturgii; niechaj one mówią o zbawieniu duszy, o sądzie bożym, o dobrych uczynkach, które prowadzą do Królestwa Niebieskiego, o dziecięctwie bożym. Wiernych trzeba wobec tendencyj laickich i w tym względzie o tym pouczać; wskazanym jest mieć w tece spis odpowiednich cytatów, by im myśli podsuwać. Wśród symboli najstosowniejszym jest wyobrażenie Chrystusa na krzyżu lub Zmartwychwstałego z chorągwią w ręku albo jako dobrego Pasterza z owieczką na ramieniu. Cmentarz ma wtedy wartość i dla żyjących; jest żywym kazaniem i napomnieniem dla zwiedzających.

Cmentarzyk dziecięcy.

W całokształcie obrazu cmentarza rzuca się w oczy zwykle pewna dysharmonia pomiędzy kwaterami dla dorosłych a dla dzieci. Ostatnie, składające się z grobów wielkości połowy dorosłych a nawet mniejszych (niemowląt do roku), są też rozwiązane w skali mniejszej oraz o gęstszej sieci węższych dróg. Nagłe więc przejście z kwater dorosłych do dziecięcych jest czymś nieskoordynowanym. Wskazanym przeto jest odgraniczenie kwater dziecięcych i ujęcie ich w ramy oddzielnego cmentarzyka — wpośród całości cmentarza. To oddzielenie da się najlepiej uskutecznić przez żywopłoty iglaste, tak cięte jak i wolnorosnące, a zamknięcie wylotów dojść przez poprzeczne żywopłociki. Cmentarzyk staje się w ten sposób zamkniętą w sobie optycznie całością. Można tam jeszcze ustawić w poczesnym miejscu figurę Matki Bożej

lub Anioła Stróża, pewne pasy ziemi obsadzić kwiatami oraz krzewami kwitnącymi, mniejszych rozmiarów; a istnieją takie o lilipucim wzroście (Berberis Thunbergi, B. B. atropurpurea Wilsonae, Cotoneaster acutifolia (irga), Deutzia gracilis (żyliszek) i wiele innych).

Ogrodnik cmentarny.

Nowoczesna praktyka cmentarnictwa idzie — jak już mówiliśmy — coraz bardziej i to stanowczo w tym kierunku, żeby, wyjąwszy drobne zabiegi ogrodnicze, wykonywane przez rodzinę samą na grobie, oraz utrzymywanie porządku tuż przy nim, zdawać na zarząd cmentarza coraz to więcej funkcyj ogrodniczych i porządkowych dla zapewnienia jednolitości i harmonii. Administracje naszych parafialnych cmentarzy nie dysponują niestety środkami pieniężnymi, by utrzymywać, jak to się dzieje na cmentarzach gminnych zwłaszcza wielkich miast, sztabu pracowników, techników, biurowych, ale zato na każdym większym cmentarzu winien się znajdować, mieszkając na miejscu, ogrodnik-fachowiec, któryby cały swój czas poświęcał na sadzenie drzew i krzewów a na rabatach i kwiatów, na podlewanie i kompostowanie, na cięcie ich i odczyszczanie wiosną i przed zimą, na przygotowywanie ziemi i uzupełnianie egzemplarzy, które zniszczały, na walkę z robactwem i pasorzytami, utrzymywanie w porządku aleii i dróg itd. Na terenie wydzielonym może on uprawiać sobie ogrodnictwo kwiatowe i oferować interesentom kwiaty na groby, dorabiając sobie w ten sposób do pensji. Rzeczą pożyteczną, wykluczającą niewskazane na cmentarzu targi a usuwającą możliwość wyzysku tak jednej jak i drugiej strony, jest wprowadzenie cennika na prace urządzania, obsadzania oraz podlewania grobów, ogłaszanego co rok w gazetce parafialnej, w przedsionku kościoła i na tablicy ogłoszeń na cmentarzu a zatwierdzonego przez rządcę kościoła. Uważamy za niewłaściwe, ażeby ogrodnik i dozorca cmentarza zajmował się przy tym jakimś innym rzemiosłem, np. wykonywaniem nagrobków, gdyż praca utrzymywania w porządku cmentarza musi wtedy kuleć a zakradają się z natury rzeczy różne nadużycia.

Urządzenia cmentarne i przepisy porządkowe.

Sprawa budowy i wyposażenia kaplicy cmentarnej wraz z przyległościami według nowszych przepisów wymagałaby osobnego omówienia.

Dla wygody publiczności, która przybywa na nieraz odległy od centrum miasta cmentarz, konieczne są ławki, które w dostatecznej ilości umieszcza się dyskretnie w różnych punktach cmentarza tak, by nie rzucały się w oczy i nie przypominały alei parków rozrywkowych. Rzeczą zgoła niedopuszczalną to krzesła albo ławeczki przy samych grobach. Ustawiane nieraz pomiędzy grobami, są przeszkodą w ruchu i wcale nie upiększają otoczenia. Jeśli można się na nie zgodzić, to jedynie wśród grobów rodzinnych, altankowych lub w ogóle w klasie najwyższej, gdyż tam jest najwięcej powierzchni ziemi; mogą one jednak wtedy mieć tylko kształt niskiego taboretu (bez oparcia). Na różnych punktach znajdować się powinny koszyki druciane do papieru a przede wszystkim skrzynie o betonowych ścianach, ukryte dla oka za zasłoną ciętych żywopłotów zimozielonych, na składanie suchych wieńców i w ogóle wszelkich odpadków. Podobnie winny być pompy wzgl. wodociągi tak ustawione, by zdala były niewidoczne; otacza je się czworobokiem żywopłotu, co sprawia, że bryła ta zieleni staje się nawet akcentem piękna.

Wielką wartość wychowawczą ma wręczanie rodzinie z okazji pogrzebu „Ustawy cmentarnej", opracowanej na podstawie C. I. C. oraz naszych Ustaw państwowych z uwzględnieniem warunków lokalnych; poza tym musi zarząd cmentarza opracować regulamin cmentarny, podający w najdrobniejszych szczegółach całokształt zagadnień i praktyk na odnośnym cmentarzu. Króciutki wyciąg z niego i to przepisów porządkowych winien być umieszczony na tablicy ogłoszeń u wejścia na cmentarz.

W domu rekolekcyjnym OO. Jezuitów, Częstochowa, Bl. Kingi 74, odbędą się w r. 1939 jeszcze następujące serie ćwiczeń duchownych:

3 lipca kapłani (3 dni)
16 sierpnia kapłani (3 dni)
21 sierpnia do 29 kapłani (8 dni)
11 września kapłani (3 dni)
25 września kapłani (3 dni)
16 października kapłani (3 dni)
20 października kapłani (3 dni)
6 listopada kapłani (3 dni)
11 grudnia kapłani (3 dni)

Serie kapłańskie prócz 8 dniowych prowadzi O. T. Nawrocki T. J.

Początek każdej serii w dniu oznaczonym o godz. 19.

Ks. Tadeusz Gałdyński — Poznań.

W TROSCE O CZYSTOŚĆ OBYCZAJÓW.

W pewnym towarzystwie wywiązała się ciekawa dyskusja, którą spowodował lekarz. Twierdził on, iż kapłani za mało przestrzegają wiernych przed nikotynizmem, który coraz bardziej rozpowszechnia się i według opinii świata lekarskiego groźniejsze powoduje szkody zdrowotne niż np. alkoholizm. Obecni kapłani byli zrazu zaskoczeni takim twierdzeniem. Lecz niebawem „opozycja" zwyciężyła. Wskazano słusznie na odrębny charakter zadań lekarza higienisty a kapłana, stróża czystości obyczajów. Niewątpliwie sprawę palenia trzeba na ambonie uwzględnić, o ile stanowi wykroczenie przeciw piątemu przykazaniu bożemu i przyrodzonej cnocie oszczędności. Jednakże daleko poważniejsze względy skłaniają duszpasterza do poruszania przy rozlicznych sposobnościach sprawy alkoholizmu współczesnego. Stoi on bowiem w częstym i bliskim związku z czystością obyczajów i dlatego zwalczanie alkoholizmu należy do zadań nie tylko higienistów, lecz przede wszystkim duszpasterzy.

I.

Znane nam są trojakie skutki grzechu pierworodnego określone w Piśmie św. słowami: „pożądliwość ciała, pożądliwość oczu i pycha żywota". U każdego człowieka ujawnia się obok wrodzonych zalet i dążności szlachetnych pewna wada główna, której źródłem bywa jedna z tych trzech pożądliwości. Każdy człowiek więc, chociażby najtrzeźwiejszy, borykać się musi ze swą wadą i skłonnościami ujemnymi, także często z pożądliwością ciała. Podkreślając odrazu tę zasadniczą prawdę opartą na doświadczeniu, nie trudno atoli zaprzeczyć faktom wziętym z życia codziennego, iż rola alkoholu właśnie w dziedzinie seksualnej jest nader niebezpieczna i zgu-

bna. Albowiem już w stanie podchmielenia alkohol podnieca w człowieku zmysłowe pożądania, usuwa hamulce moralne, względy na własny honor i wstydliwość, zagłusza głos sumienia ostrzegający zazwyczaj trzeźwego człowieka przed grożącym mu niebezpieczeństwem; stan podchmielenia sprawia, że człowiek zapomina o najszczerszych swych postanowieniach i wszelkich ideałach życiowych. Następstwa z tej dziedziny seksualnej bywają nader upokarzające: młodzieńcy podchmieleni opanowani są żądzą do wykroczeń niemoralnych z osobami drugiej płci. Naiwne i niedoświadczone dziewczęta pozwalają się częstować od nich napojem odurzającym, nie zdają sobie sprawy, że tym samem już poniekąd rezygnują z swego dziewictwa, a conajmniej narażają na szwank swą cześć kobiecą i cnotę. U mężczyzn żonatych chociażby wzorowych i religijnych już przygodny stan podchmielenia stanowi poważne niebezpieczeństwo nieopanowania się wobec pokusy zbliżającej się natrętnie i zazwyczaj zupełnie świadomie właśnie w pobliżu lokali publicznych z wyszynkiem napojów alkoholowych.

Jakże często właśnie stan podchmielenia powoduje upadki cudzołóstwa i wiarołomstwa u jednostek, które by w stanie trzeźwości przenigdy nie zeszły na manowce grzechu. Lekarze dowiadują się o tych cichych tragediach życiowych dopiero wówczas, gdy skutkiem tych upadków jest choroba weneryczna. Na I. katolickim kongresie przeciwalkoholowym w Warszawie prof. uniwersytetu z Dortmundu dr Graf podał cyfry aż nazbyt wymowne, a zebrane w długotrwałej praktyce własnej. Mężczyzn żonatych miał 70%, rozwiedzionych 50%, młodzieńców 43% takich, którzy mu się przyznali, że chorobę nabyli w stanie podchmielenia. Wynika stąd, iż żonaci przeważnie właśnie w stanie podchmielenia dopuszczali się wiarołomstwa i dalszych wykroczeń. — Poza upadkiem jednostek spowodowanym alkoholowym odurzeniem, to zagadnienie alkoholu obchodzi duszpasterza jeszcze z innych względów. Odnowa dobrych obyczajów w życiu publicznym nie jest i nie będzie możliwa, dopóki lokale publiczne z wyszynkiem napojów alkoholowych będą doznawały takiego jak dotąd uprzywilejowania, że do późnej nocy a po większych miastach nawet do rana będą otwarte. Zło moralne płynie stąd coraz szerszym korytem zwłaszcza w latach ostatnich, często także dlatego, że zarządy tych lokali nie zapobiegają nierządowi w samych już lokalach, a nieraz przez „separatki" celowo

urządzone poza lokalem w pokojach podwórzowych lub na piętrze sami stwarzają warunki sprzyjające nierządowi. Ponadto służba damska źle opłacana jest z góry ustanawiana w tymże celu. Dzieje się tak nie tylko u przedsiębiorców żydowskich; niestety w zachodniej Polsce bywają katolicy i katoliczki, którym się wydaje, że takie właśnie mają obowiązki wobec gości, jeżeli chcą sobie zapewnić pomyślny rozwój przedsiębiorstwa.

Jeżeli dodamy, iż częste używanie napojów alkoholowych przez ojców może obarczyć bolesną krzywdą jego niewinne potomstwo, że ponadto choroby weneryczne wywołują swoiste i nader przykre następstwa u potomstwa, to stajemy tu wobec zagadnienia, które dla duszpasterza napewno ma daleko większe znaczenie aniżeli nikotynizm. To też duszpasterz współczesny także na wsi, ale jeszcze częściej po miastach mniejszych i większych tej sprawie poświęcać będzie w swej całej działalności dużo czasu i uwagi. Jeżeli X. Biskup Egger, znany bojownik trzeźwości w Szwajcarii, nie wahał się twierdzić, iż alkoholizm stanowi „piekącą ranę na mistycznym ciele Chrystusowym" i że „abstynencja jest czynem na wskroś chrześcijańskim i bardzo na czasie", to niewątpliwie miał na uwadze to „sedno rzeczy", ten ścisły i bezpośredni związek zachodzący między alkoholizmem a upadkiem obyczajów, że uważa trzeźwość za konieczny warunek odnowy obyczajów.

II.

Wyłania się teraz pytanie, jak powinien duszpasterz podchodzić do tego delikatnego zagadnienia, aby słuchaczy dla swych dążeń pozyskać i skłonić do przestrzegania zasady trzeźwości. Trzeba w każdym przemówieniu, a szczególnie na ambonie ten problem tak traktować, by zasada „ut veritas pateat, placeat, moveat" była jak najzręczniej zastosowana. Pozytywne ujęcie problemów wiążących się z alkoholizmem wywoła z reguły daleko pomyślniejszą reakcję u słuchaczy aniżeli negatywne tylko opisywanie skutków alkoholizmu i gołosłowne zachęcanie do abstynencji bez tła szerszego i pozytywnego. A zatem mając jako cel ukryty potępienie radości sztucznie wywoływanej alkoholem, warto wpierw uświadomić wiernym istotę szlachetnej radości i godziwej rozrywki oraz granice, poza które człowiekowi nie godzi się wykraczać. Innym razem można wyjść od zasady św. Tomasza, iż „stopień uspołecznienia chrześcijanina jest właści-

wą miarą jego doskonałości osobistej". Na powyższy temat stanowczo za mało się mówi, a z niej można wysnuwać liczne wnioski praktyczne i aktualne przemawiające także za trzeźwością i udziałem w akcji trzeźwościowej katolika jako ojca, obywatela, patrioty i członka Kościoła Chrystusowego.

Z uspołecznieniem wiernych łączy się sprawa kultury serca, aby ono stało się wrażliwe na niedolę współbraci, podobne do anteny łowiącej dźwięki w eterze, by je ucho ludzkie usłyszało. Dziś na nieczułość serc ludzkich narzeka się coraz powszechniej. Z obserwacji życiowej wiadomo, iż nawykowe używanie napojów alkoholowych pomnaża zastępy samolubów nieczułych na błagania i płacz własnej żony i dzieci i wywołuje załamanie się w człowieku wszelkich zasad etyki i religijności.

Wreszcie przydałyby się na ambonie jasne i częste wywody o istotnych warunkach życia chrześcijańskiego, a zwłaszcza o ascezie czyli praktyce zwyciężania siebie jako warunku przestrzegania bożych przykazań oraz dążenia do doskonałości wszystkich obowiązującego. Wówczas może łatwiej zrozumieją nasi katolicy tę przepaść, jaka ujawnia się w życiu zwolenników odurzania się alkoholowego, zgoła sprzecznego z zasadą ascezy i z dążeniem ku szczytom doskonałości. Wówczas dobrowolna abstynencja będzie miała w ich oczach wartość pozytywną i dodatnią, a nie będzie oceniana jako dziwactwo ludzi rzekomo nierealnych.

Piękno trzeźwości oraz całkowitej abstynencji, a śmieszność przestarzałych poglądów i zwyczajów towarzyskich — oto inny sposób pozytywnego podejścia do wiernych, zdolny skłonić ich do zmiany postępowania. Mówiąc zaś wobec elity katolickiej tj. wobec osób dających dowody pracy nad własnym uświęceniem, a ożywionych duchem apostolstwa, warto wskazać na potrzebę ekspiacji za zniewagi bożego majestatu wywoływane nieustannie skutkiem alkoholizmu oraz na potrzebę apostolstwa specjalnego w dziedzinie krzewienia zasad i ruchu trzeźwości poza murami kościoła, wreszcie na potrzebę roztoczenia samarytańskiej opieki nad alkoholikami.

Obok ambony może i powinien duszpasterz wykorzystać takie sposobności jak katechizacja, nauka przedślubna, konfesjonał, organizacje Akcji Katolickiej, biblioteka i tygodnik parafialny, kino i radio, aby zdrowe ziarno rzucać w odpowiedni sposób, a niewątpliwie plon będzie obfity.

III.

Nie ulega wątpliwości, iż kapłan świadomy swej odpowiedzialnej roli w parafii, przekonany o doniosłości trzeźwości w dziele odnowy obyczajów, może dużych zmian dokonać nawet bez pomocy specjalnych organizacji przeciwalkoholowych — wyłącznie sposobami wyżej podanymi przygodnie stosowanymi. Jednakże z tego bynajmniej nie wynika, jakoby organizacje specjalne w żadnej parafii nie były potrzebne. Jeżeli już dla krzewienia i obrony zasad wiary i moralności okazała się potrzeba apostolstwa świeckich z Akcji Katolickiej, to tym słuszniej trzeba się posługiwać tą metodą nowoczesnego duszpasterstwa w celu utrwalenia trzeźwości w parafii. Jest to bowiem zagadnienie dość zawiłe i trudne, oparte o zadawnioną tradycję narodu i obyczaje ludowe, traktowane na ogół z wielką pobłażliwością opinii publicznej, a podtrzymywane przez czynniki zainteresowane w przemyśle i handlu alkoholowym. Gdy w maleńkiej parafii głos duszpasterza wystarcza, by stwarzać zdrową opinię katolicką dla wszystkich parafian, a karczem w parafii nie ma, to organizacja w takich okolicznościach nie byłaby konieczna. Gdy natomiast parafia liczy ponad 1500 dusz i ma kilka karczem i jednoczy kilka wsi, to wpływ przygodny duszpasterza nie będzie już wystarczał i będzie potrzeba sztabu apostołów świeckich, którzy stale słowem i przykładem osobistym oraz zbiorowym oddziaływaniem Bractwa Wstrzemięźliwości dopomagać będą duszpasterzowi w jego zadaniach żywym słowem i kolportażem druków, krzewieniem domowego wyrobu „płynnego owocu", opieką nad alkoholikami oraz czuwaniem nad przestrzeganiem ustawy przeciwalkoholowej. Jeszcze wydatniejszą pomocą posłużą w miastach powiatowych lub gimnazjalnych Katolickie Koła Abstynentów, dostarczając fachowych prelegentów, redaktorów artykułów i współpracowników z władzami i zdolnych opiekunów nad alkoholikami. Rola duszpasterza w tych organizacjach będzie podobna do roli ukrytej w zegarze sprężyny, od której zależy aktywność całych zespołów.

W obecnej chwili przełomowej, gdy wróg zewnętrzny zagraża granicom państwa naszego, nie trudno zrozumieć, iż alkoholizm to nasz wewnętrzny wróg dlatego tak groźny, że osłabia dzielność fizyczną i moralną wielu członków narodu naszego i że tym pilniejsza stała się teraz sprawa odbudowy trzeźwości w narodzie naszym. Obok tego momentu patriotycznego dochodzi jeszcze pobudka

druga, katolicko - duszpasterska. Nie zapominajmy, iż obóz antychrysta mnoży i usprawnia wytrwale zastępy swych zwolenników w Polsce, by w odpowiedniej chwili przystąpić do ataku i walki z obozem wyznawców Chrystusowych. Może to będzie walka bezkrwawa, bez prześladowań krwawych — podobnie jak w Niemczech. W takich walkach zwycięży moralnie zdrowe wojsko Chrystusowe. Katolicy nie z ducha lecz z metryki odpadną. Na nich nie można liczyć. Zwyciężymy więc, ale wpierw usuńmy jedną z głównych przyczyn słabości i egoizmu z naszych szeregów — żądzę używania przejawiającą się najjaskrawiej we formie pijaństwa i rozpusty. Przyszłość należy do narodów trzeźwych!

„Niektórzy ludzie potrafią dużo opowiadać o bogactwach Kościoła w Hiszpanii. Faktycznie ma się sprawa inaczej: właśnie w chwili obecnej kapłani hiszpańscy zależni są od dobrowolnych ofiar wiernych. Żyją oni w tych samych prostych warunkach co ich lud. Przed wybuchem wojny żaden kapłan nie posiadał nadmiernej pensji. Podczas gdy w Anglii biskupi anglikańscy rocznie otrzymują pensję, przeciętną w wysokości 25.000 dolarów, Ksiądz Kardynał Prymas Hiszpanii odbierał rocznie nie pełne 4500, Księża Biskupi hiszpańscy 2500 a Księża Proboszczowie 150 czyli połowę dochodu nauczyciela szkół powszechnych. Znam doskonale położenie kleru w naszych krajach. W stosunku do Hiszpanii, duchowny protestancki i kler katolicki w Ameryce Północnej i w Anglii żyje w bogactwie.

Jedzenie, łóżko, biblioteka, ubranie i wygody życia kapłana hiszpańskiego stoją znacznie niżej poziomu zwykłego urzędnika naszych krajów. W całej Hiszpanii nie ma księdza, który by posiadał samochód a nawet o nim marzył...

Często czyta się o panowaniu kleru w Hiszpanii, o którym dziennikarze wyzuci z wszystkich skrupułów donoszą. Fakty są następujące: Wśród ludności liczącej 25 milionów żyło około 20 000 kapłanów świeckich. Przed rewolucją tedy jeden kapłan miał pieczę nad 1200 duszami. Stosunek powołań kapłańskich jest wiele wyższy wśród katolików Anglii, Irlandii i Stanów Zjednoczonych. I któż mógłby dzisiaj mówić o panowaniu kleru, kiedy to 11 000 kapłanów i kleryków zamordowanych zostało...“

Ks. Biskup Gannon (Erie, Pensylwania): Kościół i kler w Hiszpanii Schoenere Zukunft (XIV) 1939 (33) 14 mai (str. 875).

Ks. Czesław Garstecki — Poznań.

ROLA DUCHOWIEŃSTWA POLSKIEGO W ŻYCIU EMIGRACJI POLSKIEJ WE FRANCJI.

Zagadnienie emigracji polskiej od czasu do czasu wchodzi na łamy prasy krajowej. Nie znalazło ono jeszcze niestety swego stałego, choćby skromnego kącika. Głośniej mówiono o wychodźtwie, gdy w ubiegłym roku poważniejsza fala emigrantów wpłynęła do Polski. Przypominamy ich sobie, kiedy zasłużona instytucja jaką jest „Opieka Polska nad Rodakami na Obczyźnie“ przeprowadza kwestę na rzecz polskiego wychodźtwa lub kiedy Związek Polaków z Zagranicy organizuje doroczny zjazd wychodźtwa.

Wobec tego jednak, że liczbę rodaków, przebywających poza granicami Ojczyzny podaje się na 8 milionów, warto by częściej i głębiej szeroki ogół zainteresować sprawą polskiej emigracji, a było by mniej rozbieżności w poglądach na jej zwartość i znaczenie dla macierzy. Jedni twierdzą, że jest to element twórczy i przynoszący wielkie korzyści dla Państwa gospodarczo i politycznie. Inni znowu uważają, że większa część wychodźtwa dla kraju już przepadła, że jest bez pożytku, że się wynaradawia, że nawet nie należy życzyć sobie powrotu wychodźców, którzy wnoszą hasła wywrotowe, wrogo się ustosunkowują do Kościoła i Państwa. Obronę własną i słuszne dochodzenie swych praw ze strony reemigrantów nazywa się komunizmem i bolszewizmem. Ogół w kraju nie wie, że emigrant w większości olbrzymiej strzeże swej polskości, dumny jest ze swego pochodzenia, że jest wierny Kościołowi i religii. Jeżeli zaś wraca do swoich z żalem w sercu to dlatego, że go obcy skrzywdzili i że „swoi“ tej krzywdy zrozumieć nie chcą, albo nie potrafią, gdyż nie zasmakowali jeszcze obcego chleba.

Dowodem, że emigrant polskości się nie wstydzi, niech będzie chociażby cały szereg organizacyj i towa-

rzystw, w których się grupuje, a że pozostał wierny Kościołowi, o tym świadczą polskie nabożeństwa i uroczystości kościelne; odstępców zaś nie brak i w kraju, gdzie opieka jest stała, trudności i pokus mniej.

Jeżeli za mało zajmuje się kraj polskim wychodźtwem w ogóle, to jeszcze mniej wiadomo nam o pracy i działalności tych, których obecność jest niezbędną wśród rzesz wychodźczych, mianowicie o polskich kapłanach. Najwyżej wrogowie Kościoła podpatrzywszy jakąś słabość duszpasterza rozdmuchują ją i wyolbrzymiają, boć chodzi o to, żeby autorytet polskiego kapłana możliwie osłabić i podkopać. Dość często brukowce czerwone i sekciarskie — będące na żołdzie żydowskim — wypisują oszczerstwa, za które później sądy wymierzają kary, ale o czym ogół, poprzednio tendencyjnie źle informowany, nie dowiaduje się wcale. Najczęściej ksiądz polski nie ma ani czasu ani ochoty fałsze i oszczerstwa prostować, stąd łatwo przychodzi wrogom religii i Kościoła sutannę obrzucać błotem.

Ponieważ kapłan z urzędu swego i powołania nie szuka dla siebie reklamy ani rozgłosu, mało zdajemy sobie sprawę z tego, w jakich warunkach on na emigracji pracuje i na jakie napotyka trudności i przeszkody.

Choć w kilku szczegółach pragnę zwrócić uwagę na wybitną działalność polskiego duchowieństwa poświęcającego się pracy wśród rodaków — wychodźców na terenie francuskim.

O właściwym wychodztwie Polaków do Francji mówi się dopiero od czasów ukończenia wojny światowej. Jednak już przed wojną znajdowała się we Francji emigracja zarobkowa. Na północy w departamentach Nord i Pas de Calais pracowali polscy księża i polskie nauczycielstwo. W chwili wybuchu wojny jeden z księży polskich z diecezji lwowskiej byłby padł ofiarą ogólnego zdenerwowania, gdyż chciano go jako cudzoziemca rozstrzelać mimo, że nawet francuskie dzieci uczył katechizmu. Istniejące tu organizacje jak Sokół i towarzystwa kościelne dostarczyły pierwszych ochotników Polaków do legii cudzoziemskiej, walczącej po stronie Francji. W roku 1932 i 1933 obchodziły 25-lecie istnienia parafie zwane „polskie“ w kolonii Barlin i Lałlaing. Tu dojeżdżali księża polscy na misje i na rekolekcje.

Jeżeli wziąć jeszcze bardziej odległe czasy, to należy sięgnąć do pobytu w Paryżu wśród emigrantów księży polskich jak ks. Jełowieckiego, ks. Postawkę i wielu

innych, którzy dość wybitnie odznaczyli się na terenie paryskim, o czym ciekawe szczegóły podają zajmująco pisane wspomnienia pt. „Pamiętniki“ obejmujące okres od r. 1863 do 1908 ks. Leona Postawki (Paris — Imprimerie Lewe 1908).

Olbrzymie masy emigrantów zaczynają napływać tuż po zakończeniu wojny światowej. Rekrutowali się oni początkowo z tak zwanych „Westfalaków“, którzy pochodzili przeważnie z dawniejszego zaboru pruskiego. Wychowani w duchu katolickim, przebywając w katolickich stronach Niemiec, byli zawsze katolikami w słowie i czynie, w słowie i czynie tak dalece, że nieuczęszczających do kościoła i niepraktykujących palcem wytykano. Kiedy Francji przy zawarciu pokoju jako odszkodowanie za zatopione kopalnie szczególnie w Lens przyznano prawo okupacji zagłębia Saary i Nadrenii, polskie rodziny górnicze, które nie miały możności powrotu do kraju ojczystego z powodu braku pracy i chleba dla nich, masowo przenosiły się do Francji. Dla Francji był to element bardzo pożądany. Polacy zaś uważali zaprzyjaźniony z Polską kraj za swoją jak mówili „Małą Polskę“. Chlubnie świadczy o polskiej emigracji przybyłej z Westfalii do Francji, że jedną z pierwszych trosk jej było zaspokojenie potrzeb duchowych przez kapłana rodaka, możność korzystania z polskiego nabożeństwa z polskim śpiewem i kazaniem w języku ojczystym, czego przez lata byli pozbawieni.

Przemysł francuski i jego przedstawiciele oraz agenci, którzy werbowali Polaków z Westfalii do kopalń i fabryk we Francji, zrozumiawszy ich intencje, jako środka agitacyjnego, używali filmów, przeźroczy, które wyświetlano wśród Polonii w Nadrenii, i w których pokazywano widoki polskich kościołów, polskich szkół, jakie oczekują emigrantów polskich we Francji. Niestety nie było jeszcze księży emigrantów. Dlatego szczególnie organizacje polskie, a zwłaszcza towarzystwa kościelne apelowały do kraju o przysłanie polskich duszpasterzy. Początkowo opieką duszpasterską służyli księża, którzy przybywali na studia do Paryża, Lionu i Strassburgu. Wśród nich była spora liczba kapłanów z Wielkopolski. Księża ci choć z wielkim trudem, gdyż przebywali często przestrzeń dwustu — trzystu kilometrów od miejsca studiów do placówki swej duszpasterskiej, widząc radość rodaków z ich przybycia, z gotowością każdej soboty przestrzeń tę przebywali, nie zważając na zmęczenie po całotygodnio-

wych studiach, by po niedzieli wypełnionej nabożeństwami i zebraniami wrócić znowu do siebie.

Z czasem władze duchowne w kraju mogły dostarczyć większą ilość kapłanów, którzy w poważniejszych skupiskach tworzyli odrębną polską parafię. Skoro ksiądz polski znalazł stały pobyt wśród swoich, i, najczęściej poparty i utrzymany przez przemysł francuski, mógł założyć plebanię, postarać się o stałe polskie nabożeństwa, wówczas stawał się ksiądz dla swoich rodaków wszystkim. Nie było sprawy z jaką by się do niego nie zwracano. Polacy nie znali adresów ani ambasady, ani konsulatu polskiego, wnet jednak dowiedzieli się o miejscu pobytu polskiego księdza. Bywały wypadki,że emigranci polscy po 200 km drogi odbywali na rowerze, że o 4-tej rano wyruszali z domu częściowo pieszo, koleją, autobusami, żeby móc chociaż o 5-tej popoł. być u spowiedzi św. i u komunii św. Wylicza się często wypadki, że emigrant zaniedbuje się w obowiązkach religijnych, a nie wspomina się o częstych wypadkach prawdziwego heroizmu katolickiego. Także zasiąg kapłana polskiego wychodził prawie zawsze daleko poza granice własnej parafii, a obejmował nieraz tereny kilku departamentów (województw). Nie kto inny jak ksiądz polski był założycielem pierwszej księgarni polskiej dla wychodźtwa. Ksiądz polski pierwszy założył i przez długi czas prowadził pierwszą klinikę z polskim lekarzem, licząc się z tym, że rodacy z miejscowym lekarzem francuskim porozumieć się nie potrafią; również ksiądz polski przyczynił się do tego, że Polacy składać mogli oszczędności swe w polskim banku. Niestety nieuczciwość niektórych pomocników księdza nadszarpnęła dobre imię księdza założyciela. Bank zaś polskich emigrantów, oparty zdawało by się o zdrową i mocną instytucję jaką był Bank Przemysłowców i Bank Handlowy osłabił oszczędności wychodźtwa, wskutek upadłości tych właśnie banków. Nie zmienia to jednak faktu, że właśnie duszpasterze polscy na każdym polu stali w obronie interesów duchowych i materialnych polskiego emigranta. Ponieważ emigrant polski przybyły z Westfalii dobrze, a nawet bardzo dobrze zarabiał, przy tym frank w stosunku do marki niemieckiej w pierwszych latach był prawie bez wartości — bywało np., że młodzieńcy polscy dla przyjemności frankami papierowymi zapalali sobie papierosa — nie żałowało grosza na pokrycie kosztów związanych z niektórymi czynnościami biura parafialnego. Z tego niechętne, nieżyczliwe Kościo-

łowi jednostki ukuły broń znowu przeciwko kapłanowi zarzucając mu, że się wzbogaca kosztem emigranta. Prawdą jest jednak niezbitą, że poza posiadaniem własnego samochodu, który był niezbędny do dalekich nieraz wyjazdów tym bardziej, że każdy duszpasterz polski binował, a piszący te słowa przez blisko 10 lat co niedzielę nawet 3 msze św. odprawiał i to w odległości kościoła od kościoła sięgającej nieraz 60 km. Żaden ksiądz polski z majątkiem ani bogactwem do kraju nie wraca. Poza pracą ściśle duszpasterską i parafialną każdy ksiądz polski z konieczności brał udział w pracy społecznej. Nie ma organizacji polskiej na wychodźtwie, w której by ksiądz polski nie brał czynnego udziału. Najwięcej czasu poświęcał z konieczności towarzystwom wyraźnie katolickim, zwanym ogólnie towarzystwami kościelnymi jak np. Tow. Górników pod wezwaniem św. Barbary czy też Bractwa Różańcowe, do których przybyły z czasem Kat. Tow. Młodzieży męskiej i żeńskiej wreszcie Związek dzieci polskich we Francji.

W większych i mniejszych osiedlach polskich, które nie posiadały duszpasterza rodaka zakładano umyślnie takie towarzystwa, by tym sposobem pozyskać polskiego kapłana naprzód na założenie samej organizacji, później na każdorazową rocznicę, na poświęcenie sztandaru, a przede wszystkim do spowiedzi św. wielkanocnej a możliwie także na adwent, a jak nie było szczególnych trudności, to korzystano żeby dzieci przygotować w ojczystym języku do Pierwszej Komunii św.

Stwierdzić trzeba, że wszyscy kapłani w miarę sił i możności zobowiązaniom swoim zadosyćuczynili. Nie można jednak pominąć tego, że gdy chodzi o szczególne przywiązanie parafian do duszpasterza polskiego, to najchętniej widzieli wśród siebie kapłana pochodzącego z Wielkopolski. Tłumaczy się to tym, że założycielami całego ruchu organizacyjnego, społecznego, a także praktykującymi katolikami byli w przeważającej części emigranci przybyli z Westfalii i z Poznańskiego. Stąd łatwiej im było porozumieć się z kapłanami pochodzącymi z tych samych stron, żyjącymi pod tym samym zaborcą, z drugiej zaś strony kapłani mieli łatwiejszy przystęp do emigrantów, których zwyczaje, obyczaje a także słabości lepiej rozumieli. Z tej też przyczyny księża z Wielkopolski wybijali się na czoło w ogólnym ruchu organizacyjnym i pracy parafialnej emigracji polskiej we Francji. Wbrew zarzutom czynionym niedawno księżom z byłego

zaboru niemieckiego, właśnie ci księża czy to jako członkowie Misji polskiej we Francji, czy w centrali towarzystw kościelnych nadali ogólny kierunek życiu religijnemu i narodowemu polskiego wychodźtwa. Właśnie ksiądz z Wielkopolski uczestniczył we wszystkich niemal zjazdach katolickich we Francji gdziekolwiek się odbywały.

Gdy chodzi o pracę duszpasterską to właśnie znowu „Poznaniak" uzyskał w biskupstwie w Arras, że zwrócono się do Rzymu o prawo trinowania, z czego później korzystała cała diecezja francuska. Na polu pracy społecznej można powiedzieć, że księża diecezji poznańsko-gnieźnieńskiej byli prawie nie do zastąpienia. Dlatego jeden z nich stanął na czele akcji ufundowania własnej lecznicy pod nazwą „Polski Dom Zdrowia", w której to instytucji ksiądz był długoletnim prezesem. O trudnościach utrzymania go i zapewnienia mu pomyślnego rozwoju tylko garstka wtajemniczonych wiedziała.

Dzisiaj wychodźtwo polskie we Francji dumne jest z posiadania godziwego i pięknego pomnika na cześć poległych Bajończyków pod La Targette. Ile upokorzeń to kosztowało przed urzędnikiem francuskim, ile było przykrości ze strony, z której najmniej należało się tego spodziewać, w to także nikogo nie wtajemniczano, a sekretarzował komitetowi i akcję budowy pomnika prowadził również ksiądz z poznańskiej diecezji.

Krzywdę wielką wyrządza się duchowieństwu z Polski, jeżeli się proponuje, co stało się w „Gazecie Kościelnej" ze Lwowa, że należy ich zastąpić księżmi wychowanymi we Francji, gdyż krajowi nie nadają się do pracy wśród „geniuszów" francuskich. Z boleścią trzeba stwierdzić, że tym geniuszom właśnie brakło często prostego „sensus catholicus"; bo czymże wytłumaczyć to, że nie było wolno własnego rodaka pochować, sprawić radość nowożeńcom, by ksiądz rodak ich powiązał stułą, że dzieciom polskim klęczeć kazano w klasie za karę, bo poszły do swego księdza do spowiedzi św. lub u niego przygotowały się do Pierwszej Komunii św.

Nieprawdą jest, by który z konfratrów francuskich miał zastrzeżenie odnośnie pracy kapłana z „Polski Germańskiej", jak brzydko wyrażali się często Francuzi, dzieląc Polskę na germańską, austriacką i rosyjską. Za to odwrotnie liczne są przykłady, że mieli oni uznanie dla odwagi i śmiałości posunięć i poświęcenia tych właśnie księży.

Dla sprawiedliwości dodać należy, że nie braknie konfratrów francuskich serdecznie ustosunkowujących się do kapłanów z Polski, ba, nawet słyszało się głosy: „Pochwaliłem dzisiaj waszych kompatriotów w moich kazaniach, że są wzorem dla francuskich parafian, że stoją wiernie przy swoich duszpasterzach, że przez nich odradza się moja parafia". Odnoszenie się przedstawicieli przemysłu francuskiego do kapłanów z Polski było najczęściej życzliwe, a nawet serdeczne, nie wyłączając księży poznańskich, może nawet chętniej z nimi się komunikowali, gdyż przybywali oni na ogół z pewną znajomością języka francuskiego na wychodźtwo.

Dla uzupełnienia obrazu działalności kapłanów polskich warto jeszcze dodać, że jeden z nich, a był nim znowu Poznaniak, powołany został do Międzynarodowej Organizacji Opieki nad Emigrantami (Conférence permanente pour la protection des migrants) z siedzibą w Genewie. Występując w obronie swoich rodaków na żądanie biura przedstawiono tej Konferencji sposób repatriacji emigrantów do kraju m. i. domagał się ksiądz, by nie rozbijano rodzin zostawiając część we Francji, część odsyłając do Polski; podkreślał nieludzkość w odsyłaniu do kraju osób, które przy pracy okaleczone zostały lub nabawiły się choroby; by nie wydalano do kraju drogą administracyjną, gdyż często urzędnik nie badał sprawy, a nawet dał się przekupić, lecz by zbadano przewinienie na drodze sądowej.

Działalność duchowieństwa polskiego we Francji przedstawiona została tylko w ogólnych zarysach, gdyż rozprowadzenie jej wymagało by napisania kilku tomów.

Nie podkreśla się tutaj czynów specjalnie kapłanów z Wielkopolski, gdyż wszyscy księża, zarówno z jakiej pochodzą diecezji, są dla siebie braćmi, często bardzo serdecznymi, wszyscy pracowali z zapałem i poświęceniem; jedynie dla odparcia zarzutów uczynionych Poznaniakom uwydatniło się ich działalność, w której jednak mieli całkowite poparcie reszty duchowieństwa polskiego.

Dobro misji katolickiej we Francji wymagało, żeby jej kierownicy pochodzili z jednej diecezji i to z siedziby samego szefa polskiego wychodztwa, którym jest J. Em. Ks. Prymas Polski. Praca misji polskiej i centralnej organizacji związków katolickich wymagała pewnej ciągłości, która nie dała by się utrzymać gdyby księża z różnych diecezji w niej zasiadali.

Bardzo często zdarzało się i zdarza się, że księży się odwołuje, jednolitości jednak kierownictwa nie przerywa nawet zmiana księży, jeżeli pochodzą z jednej diecezji. Misja polska-katolicka we Francji uzależniona od Kancelarii Prymasa Polski w Poznaniu bardzo silnie zaznaczyła swój wpływ na życie emigracji polskiej, umiała przez utrzymanie solidarności wśród duchowieństwa polskiego zdobyć szacunek władz świeckich i duchownych francuskich. Prowadzona zawsze wzorowo, potrafiła wnikać w potrzeby wychodźcy polskiego, umiała najczęściej służyć mu radą i pomocą tak, że przyjęło się już zdanie wśród emigrantów polskich, że gdzie ksiądz polski jest na polskiej parafii, tam duch religijny i katolicki zawsze żywy będzie, tam też polskość nigdy nie zaginie.

„Przez Najświętsze tajemnice odkupienia ludzkiego —
Poślij, Panie, robotników do winnicy Swojej i zlituj się nad ludem Swym.
Przez zasługi i przyczynę Najświętszej Rodzicielki Twojej, Królowej Wychodźtwa Polskiego oraz wszystkich aniołów i świętych —
Poślij, Panie, robotników do winnicy Swojej i zlituj się nad ludem Swym.
Królowo Apostołów i Królowo Wychodźtwa Polskiego, wszyscy Aniołowie i Święci, proście Pana winnicy —
Aby posłał robotników do winnicy Swojej i zlitował się nad ludem Swym, abyśmy się wszyscy z Nim razem, z Bogiem Ojcem i z Duchem Świętym cieszyć i radować mogli na wieki wieków. Amen.“

(Z modlitw Towarzystwa Chrystusowego dla Wychodźców.

„Służbę Chrystusową rozumiemy jako służbę miłości i ofiary. ...Wyrzekamy się wszystkiego, co jest dostatkiem, wygodą, szczęściem ziemskim, samowolą, pychą i grzechem. Wsparci łaską bożą i opieką Matki Najświętszej chętnie idziemy na trud i poświęcenie, na posłuszeństwo radosne i zupełne, na ofiarę każdą, byle świętą wolę bożę spełnić, byle w bożym powołaniu wytrwać, byle się w życiu zakonnym uświęcić a Boskiemu Odkupicielowi jak najwięcej dusz pozyskać.“

(Z obrzędu profesji Tow. Chryst. dla Wychodźców, Potulice).

Ks. Z. B. — Poznań.

LITERATURA ODBICIEM ŻYCIA.

Chcąc pobudzić twórczość autorów rodzimych Drukarnia i Księgarnia św. Wojciecha ogłosiła konkurs na powieść, powieść nie koniecznie religijną, ale jednak zgodną z ideologią katolicką.

Księgarnia poczyniła wszystko co mogła. Przeznaczyła na ten cel mnogo tysięcy złotych. Uproszona komisja przeczytała 200 kilkadziesiąt manuskryptów. Nagrodzone powieści otrzymały hojne premie. Książki wydano okazale. Urządzono wieczór autorski z kanapkami i przemowami. Jako dwie najcelniejsze powieści uznano „Drogę do Daugiel" i „Michała".

Nie wchodzę w stronę literacką tych książek, ale w ich treść.

Nutą przewodnią pierwszej jest zawziętość chłopska głęboka, uparta, okrutna aż do brutalności. Zawziętość ta nie zostaje przezwyciężona aż do końca. Jeżeli bowiem autorka w ocenie końcowej wskazuje nam św. Jana, wydobywającego z serca bohatera kamienie złości i zemsty, jest to raczej wizja mistyczna, aniżeli zwycięstwo moralne. Piękne, acz przydługie opisy przyrody nie zdołają usunąć zgrozy zemsty ciążącej nad powieścią.

Bohaterem „Michała" jest współczesny warszawianin bogaty, kawaler. Na kobiety lubi patrzeć przez okulary zmysłów. Potrafi chłonąć alkohol przez całą noc, a rano jeszcze wstąpić do lokalu na butelkę koniaka; to już nie pijaństwo, to lekka obrzydliwość. Porządną pannę, która nie jest gotowa na grzech, potrafi uderzyć w twarz! Potem w alkoholicznym zamroczeniu rozbija się autem o drzewo, a gdy ciężko ranny leży w szpitalu, panna przebacza mu zniewagę i pewnie będzie z nich para. Opowieść gęsto przeplatana „warszawską" filozofią życiową.

Gorszymy się, że w literaturze naszej i we filmie pod widocznym wpływem porusza się z lubością tematy ponure i drastyczne: wiarołomstwa, rozwody, nielegalne dzieci, handel żywym towarem, nocne hulanki itd. A otóż tematyka naszych zwycięzców konkursowych obraca się w pewnej mierze również około przedmiotów raczej deprymujących niż krzepiących: nienawiść, zmysły, alkohol.

Mówi się, że literatura jest odbiciem życia. Czyż powyższy fakt nie świadczy o tym, że Życie polskie nie tylko na odcinku żydowskim, ale także na odcinku polskim jest chore, że brak mu czystości, tężyzny, miłości tak dalece, iż nawet autorowie dobrej woli nie zdołają wznieść się na wyżyny?

Trudno żądać od literatury krzepiącego idealizmu i słonecznej radości życia, skoro ich tak mało jest w sercach polskich. Tym sposobem konkurs literacki staje się dla nas kapłanów jakoby drogowskazem pracy duszpasterskiej.

Nagromadziło się w narodzie naszym za wiele nienawiści, zwłaszcza nienawiści politycznej, która sprawia, że przez długi szereg lat brat walczy z bratem jak z wrogiem. Zaciętość ta nie leży zgoła w charakterze polskim, z natury uczuciowym i skłonnym do przebaczenia. Czy nie są tam czynne inne, obce wpływy? Nie jest że tu mściwość i złość raczej semicka niż polska? Warto uczynić wielki wysiłek duszpasterski i nauczyć wiernych naszych zwłaszcza w obecnych czasach wzajemnego zrozumienia i wyrozumienia, aby mimo różnic partyjnych i politycznych Polak Polaka umiał szanować jako współobywatela i kochać jak brata. Nic nie pomoże zewnętrzna konsolidacja partyjna, jeżeli wpierw nie nastąpi konsolidacja serc w miłości chrześcijańskiej.

Nagromadziło się też w obyczajach polskich za wiele pierwiastków trujących i deprawujących. Szerokie sfery społeczeństwa podlegają jakimś nastrojom kabaretowo dancyngowym; łamią i depczą z śmiechem starodawne tradycje i święte śluby, kanony wstydu i najprostsze nakazy moralne. Na domiar złego zasady te wyśpiewuje się i wykrzykuje prozą i wierszą na cały naród.

Stąd staje przed nami w całej powadze obowiązek duszpasterski, abyśmy się starali wszelkimi siłami zatamować źródła trucizny moralnej — i te wielkie, płynące na całą Polskę, — i te małe sączące się w obrębie naszej parafii lub naszego miasta.

Stąd drugi obowiązek, pozytywny, abyśmy w codziennym trudzie duszpasterskim starali się przeprowadzić owieczki nasze z zadymionych dancyngów na łono przyrody; z pieśni kabaretowych ku śpiewom religijnym i narodowym; z rozpasania zmysłów ku szlachetnej miłości; z płytkiego używania życia ku zdrowemu umartwieniu i kształceniu charakteru.

Dwie powieści konkursowe św. Wojciecha stają przed nami jako wyrzut sumienia i nakaz sumienia.

„Nasuwa się ciekawe pytanie: dlaczego Francja, która wydała takich wybitnych teologów, kaznodziejów, konferencjonistów, pisarzy ascetycznych, nie potrafiła stworzyć przodującej światu katolickiej literatury pięknej, katolickiej beletrystyki? Czyżby pisarzy w tym duchu piszących w tej ojczyźnie tylu świętych wcale nie było? Ależ bez wątpienia są i byli, tylko oni w sferach duchowieństwa, a zatem i w sferach katolickich nie znaleźli ani zrozumienia, ani poparcia. Sfery duchowne i sfery katolickie znaczenia powieści nie doceniały, a nawet nią gardziły, uważając tego rodzaju lekturę w najlepszym wypadku za marnowanie czasu, nie godne katolika. Powieść pozostawiona została całkowicie ludziom tego świata, którzy bezkonkurencyjnie owładnęli tą potężną trybuną — i katolicką Francję odbrązowili. Dziś kler francuski rozumie swój błąd i stara się go wszelkimi sposobami naprawić: na powieść zapatruje się już całkiem inaczej. Ale łatwiej jest błędu uniknąć, niż go potem naprawić.“

(Ks. Ignacy Świrski, Do walki o dobrą książkę, 8—9. Wilno.)

Ks. Zbigniew Spachacz — Poznań.

DUSZPASTERZ A ZWOLNIONY WIĘZIEŃ.

Wśród licznych zagadnień, interesujących nowoczesnego duszpasterza coraz bardziej doprasza się rozwiązania sprawa przestępczości szczególnie w jej fazie końcowej. Mam tu na myśli sprawę powrotu zwolnionego więźnia do społeczeństwa. Przestępcy są równoznaczni ze zbłąkanymi owieczkami, którymi Chrystus Pan szczególnie jako dobry Pasterz zawsze się zajmował. I my duszpasterze musimy pamiętać o słowach Chrystusowych: „Nie zdrowi potrzebują lekarza, ale źle się mający". Dlatego właśnie nie wolno nam odsuwać się od zagadnienia przestępczości, które każdego duszpasterza musi zainteresować z chwilą gdy przestępca po odbyciu kary znajdzie się na wolności i wraca do jego parafii.

Zrozumiemy to lepiej, gdy wpierw zajrzymy do naszych więzień i ich mieszkańców.

Pracując od kilku lat we więzieniu poznańskim jako kapelan, zetknąłem się z całą tragedią duszy ludzkiej. Oprócz niepoprawnych przestępców mieszczą mury więzień naszych wielu takich, których smutne losy życia tam wtrąciły. Iluż tam młodocianych i młodych, którzy nigdy nie zaznali ciepła rodzinnego, ale wychowywali się od wczesnego dzieciństwa wśród obcych czy na ulicy, ile dziewcząt obałamuconych i porzuconych, ilu dziedzicznie obciążonych, ilu ojców czy matek, którzy wśród skrajnej nędzy nie mogli patrzeć na gromadę dziatek wołających o chleb, ilu opuszczonych przez wszystkich z goryczą czy rozpaczą w sercu.

Obok tego znajduje się po więzieniach wiele ofiar własnej lekkomyślności, które pierwszy raz taki czy inny czyn kolidujący z prawem popełnili. Tacy są przeważnie ludźmi pod względem moralnym wartościowymi i szczerze żałują popełnionego błędu. Jednym słowem, stwierdzić musimy, że więzienia mieszczą w sobie cały szereg różnych wielkich i małych przestępców. Twierdzę, że w każdym prawie sercu tli iskierka szlachetniejsza, boża, którą możnaby wydobyć i rozdmuchać, wracając owczarni Chrystusowej zbłąkane owieczki, a społeczeństwu pożytecznych obywateli. Nie patrzmy zatem na mieszkańców tych smutnych przybytków więziennych z całą bezwzględnością, nie bądźmy wobec nich tylko surowymi sędziami, ale chciejmy dla chorych dusz tych ludzi być lekarzami.

Chcąc lepiej zgłębić nasz temat „duszpasterz a zwolniony więzień" musimy z kolei odpowiedzieć sobie na pytanie: czy człowiek przebywający we więzieniu wyjdzie z niego przeobrażony moralnie, stając się napowrót pożyteczną jednostką społeczeństwa?

Więzienia nasze — powiedzmy sobie szczerze — do niedawna swojego celu wychowawczego nie spełniały. Skutkiem tego wzrost prze-

stępczości u nas stawał się wprost alarmujący. Chociaż zasadnicze znaczenie mają takie dziedziny polityki socjalnej jak pogłębienie religijności, walka z bezrobociem, alkoholizmem, analfabetyzmem, podniesienie kultury i dobrobytu wsi itp., których pomyślne rozwiązanie w znacznej mierze usunie źródła i powody przestępczości, to jednak nasze władze penitencjarne zrozumiały, że trzeba w Polsce sposób wykonania kary zreorganizować, aby współdziałać w skutecznej walce z przestępczością.

Niestety dotychczasowy system penitencjarny pomijał w zupełności osobę przestępcy, jego właściwości psychiczne i fizyczne. W konsekwencji tego ludzie o różnym układzie psychicznym pochodzący z różnych środowisk, popełniający przestępstwo z różnych pobudek, przebywali we więzieniach razem, wzajemnie się demoralizując. Znałem młodzieńca, który był ukarany za wykroczenie nie mające nic wspólnego z uczciwością — był zdolnym mechanikiem. Wyszedłszy z więzienia gdzie zetknął się z włamywaczami, nauczył się od nich fachu złodziejskiego i niedługo potem skazano go za kradzież.

W tych warunkach więzienia nasze po największej części były „akademiami“ zła.

Dlatego z radością możemy powitać całkowitą reorganizację dotychczasowego systemu penitencjarnego na zasadach kwalifikacji przestępców i dostosowania do niej warunków rygoru więziennego i metod postępowania.

Podwaliną na której opiera się nowy polski system penitencjarny, jest szczegółowa i ścisła segregacja oraz klasyfikacja więźniów według przestępstw i karalności tudzież stworzenie i rozbudowa różnorodnych typów zakładów karnych o odmiennej organizacji, odrębnych metodach postępowania, nauczania i pracy, dostosowanych do osobowości poszczególnych skazanych. Na pierwszy plan wysunięto osobę przestępcy dotychczas pomijaną, dominującym stało się zagadnienie wszechstronnego poznania jego właściwości psychicznych, dotychczasowego życia i motywów, które go do przestępstwa popchnęły.

Na tych podstawach przeprowadza się nowy podział więzień na więzienia zwykłe i więzienia specjalne. Zasadnicza różnica między tymi dwoma typami więzień zachodzi w organizacji życia zakładowego, przystosowanego w więzieniach specjalnych do odrębnych, specyficznych metod postępowania i oddziaływania na skazanych, metod, których stosowanie nie jest konieczne lub wskazane dla elementu osadzonego w więzieniach zwykłych.

Jeśli chodzi o więzienia specjalne, to utworzono następujące zakłady karne:

1. więzienia obserwacyjno-rozdzielcze — przeprowadza się w nich badanie osobowości skazanych na karę więzienia, celem ustalenia metod postępowania i wyboru więzienia, do którego mają być kierowani dla odbywania kary;

2. więzienia specjalne dla słabych fizycznie, dla chorych na schorzenia niebezpieczne dla otoczenia i dla niepełnowartościowych psychicznie;

3. więzienia izolacyjne dla recydiwistów, przestępców zawodowych i z nawyknienia;

4. więzienia — kolonie rolnicze dla pierwszy raz karanych w wieku od 17—30 lat, pochodzących z środowiska wiejskiego;

5. więzienia — zakłady rzemieślnicze dla takich samych ale pochodzących z miejskich środowisk robotniczych i rzemieślniczych;

6. więzienia — ruchome ośrodki pracy dla skazanych na kary krótkoterminowe.

Oto nowy podział więzień w Polsce, oto nasz nowy system penitencjarny w ogólnym zarysie nakreślony.

Na podstawie powyższych uwag stwierdzić można, że z czasem nasze więzienia przestaną być rozsadnikami zła, a staną się naprawdę zakładami karno-wychowawczymi, przerabiającymi więźniów-przestępców na ludzi pożytecznych. Ale tu dochodzę do sedna sprawy, do naszego tematu.

Trwałość wyników pracy wychowawczej w więzieniach osiągnięta będzie dopiero wówczas, gdy więźniowie po odzyskaniu wolności będą mogli liczyć w przejściowym okresie czasu na pomoc ze strony władz i społeczeństwa. Tu nie może wtedy braknąć duszpasterza.

Przypatrzmy się bliżej więźniowi, który zwolniony z zakładu karnego znajduje się nieomal nagle na wolnej stopie i wraca do społeczeństwa. Niestety rozpoczyna się tu akt drugi tragedii jego życia.

Społeczeństwo bowiem bywa niejednokrotnie surowsze niż sądy, bo ten, który karę odcierpiał pozostaje po powrocie na wolność często pozbawiony wszelkiej możliwości do życia. Zamknięte są przed nim wszelkie warsztaty pracy, wszystkie serca bliźnich. Dobrze jeśli zwolniony więzień ma się gdzie podziać, jeśli ma rodzinę i mieszkanie. Gorzej, gdy przekroczywszy bramę więzienia i znalazłszy się na ulicy, nie wie, gdzie się udać, gdzie zwłaszcza spędzić noc. Latem w parku na ławce czy na polu pod stogiem ale zimą?... chyba w poczekalni dworca lub w sieni domu. I tak tuła się taki człowiek przez wszystkich pogardzany i odpychany. Społeczeństwo nie chce okazać mu serca i dopomóc do powrotu do życia uczciwego i dobrego. Następstwem tego jest całkowita obojętność zwolnionego więźnia albo też bezwzględna nienawiść i chęć zemsty na społeczeństwie wraz z jego ustrojem moralnym i prawnym, słowem stan psychiczny, który najprawdopodobniej wnet po wyjściu z więzienia przy pierwszej lepszej sposobności obróci się u takiego człowieka w jakikolwiek antyspołeczny a może okrutny czyn.

Tu potrzeba więc szczególnie chrześcijańskiej miłości bliźniego i zajęcia się losem tych ludzi także ze strony duszpasterzy. Ludzie ci bowiem zwolnieni z więzienia, gdzie zaszczepiono w ich duszach chęć do dobrego życia, chcą w przeważnej części wytrwać w dobrym.

Taką akcję pomocy społecznej wobec zwolnionych więźniów prowadzą specyficznie Patronaty więzienne, rozsiane po większych miastach Polski, których centrala znajduje się w Warszawie. Niestety działalność naszych Patronatów więziennych nie jest jeszcze dość rozwinięta ze względu na brak należytego zrozumienia jego znaczenia i celu. Ogranicza się ona do zakresu mniejszego. I tak wspiera się raz poraz rodziny więźniów, obdarzając je zwłaszcza święconym i na gwiazdkę. Zwolniony więzień otrzymuje z poradni Patronatu jednorazową doraźną pomoc finansową lub polecenie do pracy i wsparcia ze strony Funduszu Pracy, Opieki Społecznej czy Caritasu lub ewentualnie w razie potrzeby bezpłatny bilet kolejowy do swego miejsca zamieszkania (dalej niż 40 km).

Tymczasem jakże wspaniale prosperują i swe zadania spełniają Patronaty więzienne w niektórych krajach jak w Norwegii, Holandii czy we Włoszech. Tam dzięki moralnemu i finansowemu poparciu Państwa i społeczeństwa wykonuje się należycie tę tak bardzo konieczną opiekę nie tylko materialną, ale i moralną nad więźniami i ich rodzi-

nami. Każdy zwolniony więzień tak długo korzysta z opieki Patronatu, jak długo się, że tak powiem, nie ustabilizuje tzn. dopóki nie stanie się pożytecznym członkiem Kościoła i Państwa. Może z czasem i u nas dojdziemy do takiego całkowitego rozwiązania tej palącej kwestii: opieki nad zwolnionym więźniem — w postaci dobrze i należycie prosperujących Patronatów Więziennych. Niech do tego przyczyni się współpraca duszpasterzy z Patronatami Więziennymi.

Jest to jeden sposób ustosunkowania się nowoczesnego duszpasterza do zwolnionego więźnia.

Ale to zamało. Chodzi o to, aby zwolniony więzień dostał się pod bezpośredni wpływ i opiekę duszpasterza. W parafiach wielkomiejskich jest to rzeczą prawie niemożliwą. Tu byłoby dobrze ewentualnie w kartotece parafialnej uwzględnić zwolnionych więźniów, poprzez Siostrę parafialną wejść z tymi ludźmi w kontakt i otoczyć opieką moralną, a w miarę możności także materialną. Jednakże w mniejszych ośrodkach parafialnych, w których duszpasterz może ogarnąć swoim wpływem i znajomością parafian, zwolniony więzień, wracający do swej parafii musi bardziej zainteresować proboszcza. Duszpasterz powienien poznać, za co i gdzie jego zbłąkana owieczka odsiadywała karę więzienia. W tym względzie trzebaby koniecznie nawiązać łączność z kapelanem czy administracją odnośnego więzienia. Dążnością Ministerstwa Sprawiedliwości jest, aby administracja więzień specjalnych, o których była poprzednio mowa, przy zwalnianiu więźnia przesyłała o tym wiadomość odnośnemu rządcy parafii, do której zwolniony się udaje wraz z opinią o jego charakterze i sprawowaniu się. Władze penitencjarne chcą bowiem, aby odnośny proboszcz prowadził dalej pracę wychowawczą nad zwolnionym, prowadzoną nad nim we więzieniu. Baczne oko i miłujące serce duszpasterza będzie wiedziało jak wobec zwolnionego więźnia postąpić, aby się stał wartościową jednostką jego owczarni. Inaczej bowiem łatwo może on jako parszywa owca wnieść duszpasterzowi do parafii zarazę zła.

Przekonamy się wnet, że zaopiekowanie się zwolnionym więźniem, wracającym do parafii po odcierpieniu kary, sowicie nam się opłaci.

Musimy przyznać, że dzisiaj mamy już wielki procent takich, którzy odwykli od pracy i stali się zawodowymi przestępcami. Nowy system penitencjarny rozwiązuje zagadnienie przestępców recydywistów, z nawyknienia przez odseparowanie ich od zdrowego społeczeństwa i umieszczanie w specjalnych zakładach dla niepoprawnych.

Do zaopiekowania się pozostają nam więc tylko ci zwolnieni więźniowie, którzy na ogół z szczerego serca chcieliby wytrwać na drodze dobrej i uczciwej.

Zdajemy sobie wszyscy sprawę z obecnych ciężkich warunków społeczno-gospodarczych. Tak dużo dziś biedy i nędzy, a tu dochodzą zwolnieni z więzienia. Śmiem twierdzić że gdyby ci ludzie otrzymywali zaraz pracę, osiągając w ten sposób środki do życia, przestępczość w Polsce spadłaby znacznie.

W niektórych krajach jest tak, że zwolnionemu więźniowi daje Państwo możliwość egzystencji życiowej w postaci pracy. Niestety u nas zwolniony więzień pozostawiony jest sobie i łasce społeczeństwa.

Duszpasterz niewątpliwie przyczyni się do utrzymania na dobrej drodze owieczki, która wróciła po odbyciu kary z wiezienia do jego parafii, jeśli dopomoże mu w miarę możności do uzyskania pracy. Z własnej praktyki wiadomo, że ułatwienie zwolnionemu więźniowi powrotu do społeczeństwa przez poszukanie mu pracy czy innego uczciwego źródła utrzymania, jest jednym z najlepszych środków uratowania takiej jednostki dla Boga i Ojczyzny.

Praca kapelana więziennego jest ukryta, ale pozwala wniknąć w tajniki dusz tych ludzi pozbawionych wolności. Dla niejednej takiej duszy ludzkiej właśnie krzyż więzienia, którym Bóg ją obdarzył, stał się zbawieniem. Niejednemu dopiero we więzieniu oczy się otwierają na prawdy wieczne tak, że po kilku czy kilkunastu latach błądzenia na manowcach grzechu, wraca zbłąkana taka owieczka do owczarni Chrystusowej.

Toteż duszpasterstwo więzienne choć ukryte, daje piękne owoce dla Boga i Kościoła. Zmarnowaniem zaś tych owoców byłoby zaniedbanie zagadnienia zwolnionego więźnia przez nowoczesnego duszpasterza.

Ks. Mieczysław Paszkiewicz — Poznań.

POTRZEBA DUSZPASTERSTWA CHORYCH.

1. Boska postać Chrystusa Pana po wszystkie czasy będzie dla nas kapłanów niedościgłym a jednak tak bliskim i realnym przykładem pod każdym względem. „Wszystko dobrze uczynił" (Mat. 7, 37) — to jedno zdanie ujmujące Jego posłannictwo na ziemi, jakże wiele mówi nam, którzy również mamy na ziemi to chrystusowe, samarytańskie posłannictwo czynienia dobrze. Pragnie ono objąć wszystko, co istnieje na świecie, ale szczególnie człowieka biednego, cierpiącego i chorego.

I tutaj najczęściej spotykamy boskiego Zbawcę. Otaczają go zwartym kołem biedacy. Słuchają Jego boskich słów. Idą za Nim zapominając o zmęczeniu, głodzie, żądni tej wielkiej prawdy. A Zbawca nie tylko naucza, karmi, przyciska do swego serca ich dziatki, ale ich leczy.

Widzimy Go jak oczyszcza trędowatego, jak leczy sługę setnika, uzdrawia świekrę Piotrową. Ba, nawet spostrzegamy Go przy łożu zmarłej córki Jaira, Łazarza, młodzieńca z Naim, którym przywraca utracone życie i w wielu, wielu innych miejscach, dokąd Go sprowadza niemoc ludzka dla okazania uzdrawiającej mocy łaski chrystusowej, wlewającej nowe życie do duszy i ciała ludzkiego. „A gdy był wieczór — opowiada nam św. Mateusz — przywiedli mu wiele diabelstwa mających i wyrzucał duchy słowem: i wszystkich, którzy się źle mieli, uzdrowił". (8, 16.)

„Dałem wam przykład, abyście jakom ja wam uczynił, tak i wy czynili" — powtarza do nas Zbawca (Ś. Jan 13, 15).

Mamy te same obowiązki w stosunku do biednych i słabych. Płyną one z naszego posłannictwa w stosunku do dusz naszej pieczy powierzonych. Nie potrzebują lekarza zdrowi ale chorzy — powiada Chrystus Pan. Jesteśmy lekarzami dusz ludzkich. Nie jest to czczy tytuł. Jest to prawda, która płynie z ewangelii świętej: Łaska leczy i uzdrawia człowieka. Miarą jego zdrowia jest stosunek do łaski. Brak jej powoduje zaburzenia. Współżycie z nią wlewa życie do duszy ludzkiej. Szafarzem tych łask jest kapłan. Stąd płynie jego wielka odpowiedzialność i troska nad owczarnią. Im więcej ona go potrzebuje, tym większy musi być wysiłek duszpasterski. Odpowiadamy za każdą duszę. Boleć winniśmy z każdą duszą jak św. Paweł. Lękać się należy także gorzkiego wyrzutu Zbawcy: — „Byłem chorym... a nie nawiedziliście mnie" (Ś. Mateusz 25, 43).

A przede wszystkim wpatrywać się nam kapłanom wypada w czyny Dobrego Pasterza, aby z nich czerpać siłę, moc i wzór do tej ciężkiej pracy duszpasterskiej: nad chorą duszą dzisiejszego człowieka.

2. Nad nią tak wiele się trudził Zbawca i nam to zlecił jako szczytne dziedzictwo. Idąc po linii wytkniętej przez Chrystusa, Kościół uwzględnia to wyraźnie w Prawie Kanonicznym, które tak o tym powiada: „Sedula cura et effusa caritate, debet parochus aegrotos... adiuvare". (Can. 468.)

Nie wymaga ten kanon żadnych długich komentarzy, ani wyjaśnień. Podkreśla z sobie właściwą mocą obowiązek duszpasterza wobec chorych płynący ex iustitia et caritate[1]). Chciałoby się tylko powtórzyć te dające się z trudem przetłomaczyć wyrazy „sedula cura et effusa caritate" — to mówi więcej niż najbardziej wymowne objaśnienia. Tak bowiem wielką troską otaczał Dobry Pasterz chorych i cierpiących.

Znalazło to również swój wyraz we Mszy św. Pro infirmis, w różnych rodzajach błogosławieństw, rozsianych w dawnych i obecnych rytuałach, gdzie obok słów pełnych głębokich błagań, przebija wiara w skuteczność modlitwy Kościoła i uzdrawiającą moc tych praktyk.

3. Rytuał Rzymski poświęca temu w tytule 5 cały rozdział 4 pt. „De visitatione et cura infirmorum". Zaczyna się on tymi słowy: „Parochus in primis meminisse debet, non postremas esse muneris sui partes, aegrotantium curam habere. Quare cum primum noverit quempiam ex fidelibus in sua paroecia aegrotare, non expectabit ut ad eum vocetur, sed ultro ad illum accedat". Widzimy stąd jak wielki nacisk kładzie Kościół na duszpasterstwo chorych. Nie czekając wezwania tzn. mając na względzie nie tylko ciężej chorych, ale w ogóle chorych, ma duszpasterz samorzutnie spieszyć do nich, aby nieść im ulgę w cierpieniu.

Następny punkt mówi o pomocy, jakiej w pracy może okazać spis chorych z adnotacjami wizyt, stanu chorych i warunków, w których oni się znajdują.

Ponieważ sam ksiądz proboszcz nie zawsze mógłby to wypełniać, przeto trzeci punkt pozwala mu postarać się o innego kapłana, albo nawet kogoś z pobożnych katolików, którzy by mu w tej pracy pomagali.

Czwarty punkt mówi o samej wizycie. Zadaniem jej jest budować nie tylko samego chorego, ale i jego otoczenie.

Piąty punkt podkreśla z naciskiem obowiązki w stosunku do biednych chorych: „Eorum praecipuam curam geret, qui humanis auxiliis destituti, benigni ac providi Pastoris caritatem et operam requirunt". Zobowiązuje nawet duszpasterza do pomocy materialnej dla tych chorych: „si non possit ipse succurrere de suo, et eleemosynas illis, prout debet, si facultas suppetat, erogare, quantum fieri potest, sive per caritatis, vel alterius nominis confraternitatem, si in ea civitate vel loco sit, sive per privatos, sive per publicas collectas et eleemosynas, illorum necessitatibus sucurrendum curabit." Wskazówek tych Rytuał ma wiele. Są one niezmiernie cenne. Z każdego słowa przebija wielka miłość i troska, jaką chce podkreślić Kościół mówiąc duszpasterzowi o tym ważnym obowiązku.

4. Do pracy tej Kościół przywiązywał wielkie znaczenie od samego zaczątku swego życia. Już Hipolit w swym zbiorze kanonów, ma taki wymowny kanon (24): „Diakon ma towarzyszyć zawsze biskupowi i wskazywać mu poszczególnych chorych. Ponieważ to spra-

---

[1]) Fischer Michael O. S. C. Katholische Krankenseelsorge, Freib. i. Br., 1934. str. 117.

wia wielką radość chorym, kiedy ich odwiedza jaki dostojnik kościelny. I nie tylko dobrze mu zrobi sama wizyta biskupa, ale jeszcze więcej jego za niego modły".

Św. Polikarp w liście do Filipa wspomina o miłosierdziu i współczuciu przełożonych gminy w stosunku do każdego wiernego i obowiązku pozyskiwania błądzących i odwiedzania chorych.

Grzegorz Wielki w swych przepisach duszpasterskich i św. Ambroży w wielu miejscach zachęcają kler opiekować się chorymi z miłością i apostolskim żarem. Św. Benedykt w swoich ustawach (c. 36) kładzie wielki nacisk na opiekę nad chorymi i obecność ich na nabożeństwach w szpitalach.

Bardziej jednak wyraźnie i mocno podkreślają obowiązek i znaczenie duszpasterstwa chorych liczne Synody jak Synod w Agde (506), w Nantes (658) i wiele innych, które ważność i potrzebę duszpasterstwa chorych opierały na nauce i przykładzie samego Chrystusa Pana jako na zupełnie wystarczającej racji dla tej wielce potrzebnej pracy.

W ogóle można powiedzieć, że w wiekach średnich duszpasterstwo chorych w szpitalach obok duszpasterstwa w parafii miało szczególniejsze znaczenie i z tego względu było należycie rozbudowane i pogłębione.

5. Ostatni Synod Plenarny Odrodzonej Polski z r. 1938 w uchwale 34 § 1 rozdział III tak ujmuje ten obowiązek: „Duchowieństwo parafialne otoczy szczególną opieką chorych. Nie ograniczając się do nawiedzania chorych przy udzielaniu sakramentów świętych, powinno ich odwiedzać częściej". A w uchwale 49 § 1 tegoż rozdziału na kapelanów szpitalnych te nakłada obowiązki: „Chorych przebywających w szpitalach i lecznicach, otoczą umiejętną opieką proboszczowie miejscowi lub wyznaczeni przez Biskupa kapelani.

§ 2. W szpitalach i lecznicach wprowadzić należy stowarzyszenie Apostolstwa Chorych".

W myśl uchwał Synodu opieka ta ma posiadać cechy szczególnej troskliwości, nie poprzestającej tylko na zaopatrywaniu chorych na śmierć, ale pracy wykraczającej daleko poza ramy tego minimalnego programu. Wymagają tego nowe warunki, w których żyje człowiek i nowe potrzeby, które nam niesie dzień dzisiejszy.

Naturalnie, powyższe krótkie uwagi nie wyczerpują tego wszystkiego co w tej dziedzinie ma do powiedzenia Kościół.

6. Bogu dzięki dziś już duszpasterstwo chorych znajduje coraz więcej zrozumienia. „Dni chorych" znane są prawie w każdej parafii. Owszem już się na nich nie poprzestaje, urządzając tridua dla chorych z podniosłymi naukami i nabożeństwami, które oddziaływują głębiej na dusze chorych i pozostawiają w nich trwalszy ślad łaski bożej.

Z radością również należy podkreślić fakt wprowadzania przez wielu księży dzieła Apostolstwa Chorych, założonego u nas w kraju dość dawno i z takim nakładem pracy prowadzonego przez Księdza Kapelana Rękasa. Sam fakt powołania Krajowego Sekretariatu dla Apostolstwa Chorych i wprowadzenia stałych radiowych pogadanek piątkowych z chorymi świadczy o tym, jak nasz dostojny Episkopat docenia to dzieło. Rozmowy z chorymi Ks. Kapelana Rękasa wiele dobrego zdziałały, a przy wydatniejszym poparciu i większej propagandzie zarówno w szpitalach, jak i w domach — mogłyby znacznie więcej dokonać w duszach ludzkich.

Wielu duszpasterzy, którzy wprowadzili u siebie Apostolstwo Chorych przekonało się jak od razu inny duch powiał w parafii! A czyż mogło być inaczej?

Odkupienie świata odbyło się na krzyżu. Cierpienie, w duchu chrystusowej miłości i posłuszeństwa przyjęte i zniesione z poddaniem się woli bożej, jest mistycznym przedłużeniem krzyżowej ofiary i jej skutków.

To jest największy argument i jednocześnie najskuteczniejsza zachęta do pracy dla Chrystusa około i przez chorych.

Toteż coraz bardziej popularne są zarówno u nas w kraju, jak również zagranicą pielgrzymki chorych do miejsc cudownych, wizyty chorych po parafiach, rozmowy i gawędy z chorymi zamieszczane przez niektóre pisma nawet młodzieżowe, a wreszcie coraz częstsze głosy Konfratrów na łamach naszych kapłańskich pism nawołujące do tego zbożnego dzieła, bo coraz więcej zaczynamy doceniać jego nadprzyrodzony i apostolski charakter.

Klasycznym przykładem tego jest nawrócenie się w Lourdes w roku 1928 pewnego katolika, który przez 30 lat był wrogo usposobiony do Kościoła i nie spełniał praktyk religijnych. Pewnego razu przyglądał się on wspaniałej procesji do cudownej groty i w trakcie jej zapytał jedną z uczestniczek ceremonii, ciężko chorą osobę, czy bardzo cierpi? Na co otrzymał odpowiedź, że za mało, aby nawrócić grzeszników. Te słowa tak podziałały na pytającego, że nazajutrz już stał w długiej kolejce przy konfesjonale i umarł pojednany z Kościołem.

Nasze kroniki Jasnej Góry i Ostrej Bramy — chociaż tego nie notują — miałyby dużo do powiedzenia w tej materii.

Chorzy i cierpiący mogliby wiele zdziałać dla Chrystusa przez cierpienie. To apostolstwo jednak musi być świadome i wypływać z głębokiego umiłowania Zbawcy. Nadto winno ono być pielęgnowane i podtrzymywane przez kapłana.

7. Możemy na to zagadnienie spojrzeć z innego punktu widzenia — psychologicznego.

Choroba jest to głębokie przeżycie psychiczne, już z samej natury swej uspasabiające człowieka do refleksji i introspekcji. Porusza ona w duszy naszej czynniki przedtem zupełnie uśpione. Odrzuca treść zewnętrzną, konwencjonalną, a pozostawia samą wewnętrzną stronę życiowych zagadnień. Pod jej obuchem człowiek zupełnie inaczej zaczyna patrzeć na wszystko: sięga swym wzrokiem dalej i widzi znacznie głębiej. Poza tym wyrywa ona człowieka spod tego straszliwego ciśnienia współczesnego życia, które zupełnie nie pozostawia miejsca na poważną refleksję w życiu przeciętnego inteligenta. Cóż dopiero powiedzieć o ciężko zapracowanym ludzie naszym!

Praca zawodowa i kłopoty materialne pochłaniają nowoczesnemu człowiekowi wiele energii i czasu. Chwile wypoczynku wypełnia codzienna gazeta, książka przeważnie zła, śpiew radia, sensacyjne kino, beztroska kawiarnia, uprzykszona reklama i wiele innych przyjemności i nieprzyjemności o podobnych tendencjach i celach.

— „Nie mam ani chwili wolnego czasu dla siebie" — coraz częściej słyszymy od katolików, którzy z natury swego posłannictwa i piastowanych stanowisk musieliby mieć wiele wolnych chwil na poważną, głęboką refleksję, aby na życiu wycisnąć to piękne, katolickie piętno.

Trochę lepiej jest ze wsią. Ale i ona już nie jest tą dawną wsią wesołą i spokojną bo i tam już dochodzą „dobrodziejstwa" kultury i jej owoce.

Do takich ludzi idziemy z łaską bożą, przemawiamy z ambon. Glos słowa bożego ledwie padnie na tę dobrą glebę, zostaje podziobany przez „ptaków niebieskich" i podeptany przez „przechodniów". Owoc tej pracy jest nieraz niezmiernie mały.

Ale dobry Bóg wyrywa duszę ludzką z tego kłębowiska spraw i kłopotów. Odrywa ją od codziennej, wypełniającej po brzegi pracy zarobkowej, od zabiegów i zmartwień. Daje nam ją odsuniętą od świata i jego zgiełku, nastawioną na refleksję i pełną tęsknoty do prawdy.

Staje się to przeważnie w chwili, kiedy się ona tego najmniej spodziewa, kiedy jest w pełnym biegu życia. To najwięcej duszą wstrząsa i pracę bożą ułatwia. Wtedy jest czas na posłannictwo Chrystusowe. Bóg zrobił swoje. Kapłan ma dzieło zaczęte kontynuować i cel zamierzony przez Opatrzność realizować, aby to cierpienie odbyło się z pożytkiem dla duszy a nie, broń Boże, ze szkodą. O tym czasie można powiedzieć za św. Pawłem: „Oto teraz czas przyjemny, oto teraz dzień zbawienia" (II Kor. 6, 2). Naturalnie cierpienie pozostawione samo sobie lub też nieodpowiednio pokierowane może w duszy nawet praktykującego katolika poczynić wielkie spustoszenie. Widzi się czasami takich chorych, którzy znoszą chorobę z jakąś tępą rezygnacją. Odmawiają wszelkich pociech religijnych, unikają wszelkiego zetknięcia się z księdzem. Na ogół zdarza się to bardzo rzadko. Znacznie częściej bywa, że chory nie skorzysta zupełnie z cierpienia albo bardzo mało. To dało powód autorowi „Naśladowania" do wyrzutu, że nie wielu korzysta z cierpienia (I, 23, 4). Faktycznie nie wielu korzystało z tego, bo nie wiele dotychczas nad tym się pracowało. A tymczasem staranna troska o chorych wymaga wiele pracy, cierpliwości i wysiłku. Wtedy dopiero ten czas może być dla chorych czasem pożytecznym i zbawiennym.

8. Nie można również pominąć względu społecznego. Stosunki obecne wytworzyły bardzo niekorzystny stan zdrowotny. Straty materialne z tego powodu są kolosalne. Podług przeprowadzonych przez Centralny Instytut Wychowania Fizycznego w Warszawie badań w oświadczeniu p. ministra W. R. i O. P. Świętosławskiego stan zdrowotny młodzieży miejskiej i wiejskiej przedstawia się następująco:[1])

Kalek — 4%, z pozostałych 96% tylko 1/3 część jest normalnie zdrowa a 60% ma mniejsze lub większe braki fizyczne jak: wadliwa budowa, krzywica kręgosłupa, próchnica zębów itd. 170 tysięcy jest chorych na jaglicę. „Odpowiedzialność społeczeństwa za przyszłość tych 60% młodzieży jest ogromna" (p. min. Świętosławski).

Polski Związek Przeciwgruźliczy wymienia 70.000 zgonów rocznie i około 700.000 chorych w ogóle. Taki jest plon gruźlicy![2])

Francja wskutek zgonów i inwalidztwa, z powodu gruźlicy traci rocznie około 15 miliardów franków (Brouard-Arnaud). Niemcy 4—5 miliardów R. M. (Kaerster). W Polsce według obliczeń z roku 1918 straty ekonomiczne z powodu jej wynosiły 50—80 razy więcej od zamierzonych nakładów na leczenie gruźlicy (Rudzki). Obecnie oblicza się je na około 6 miliardów złotych rocznie (Grodecki)[3]).

Na tych kilku cyfrach poprzestanę. Świadczą one o wielkiej zdrowotnej nędzy dzisiejszego społeczeństwa. Powodem tego stanu są nienormalne, sztuczne warunki życia, nędza materialna, alkoholizm, niemoralność, niedowiarstwo i stąd płynący pesymizm, który jak rdza toczy organizm współczesnego człowieka. Odchylenie od zasad ewangelii jest zawsze ludziom „na upadek". Pogłębienie zasad wiary i oparcie na niej życia i stąd płynąca reforma gospodarcza i społeczna, będzie najlepszym hamulcem ku opanowaniu rozkiełznanych instynktów ludzkich prowadzących do zguby a jednocześnie skutecznym środkiem „położonym na powstanie".

---

[1]) Pielęgniarka Polska, nr. 4, rok 1938.
[2]) Lekarz Polski, nr. 4, rok 1938 (Dr Stan. Karśnicki).
[3]) Lekarz Polski, nr. 4, rok 1938 (Dr Stan. Karśnicki).

Do tego powstania najwięcej musi swoją dłoń przyłożyć kapłan. Tego się domagają coraz bardziej sami chorzy. Zaczynają bowiem rozumieć leczniczą moc łaski.

Czynnikiem, który ułatwia nam tę pracę są szpitale, przez które przechodzi olbrzymi procent chorych. Dawniej przeważnie leczono w domu. Do szpitala skierowywano w razie groźnych powikłań chorobowych. Dziś lekarz niechętnie leczy w domu. Woli szpital, bo tam ma pod ręką olbrzymi aparat pomocniczy, który mu ułatwia określić chorobę, kontrolować jej przebieg i odpowiednio do tego leczyć. I dlatego nawet lekkie choroby leczy się w szpitalach. Nam to ułatwia pracę, bo skupia ją w przestrzennie dającej się opanować postaci.

Łącznie z tym rodzi się konieczność współpracy z lekarzem i wpływania na sam sposób leczenia, który powinien uwzględniać nie tylko ciało, ale i duszę. Zaczynać się winno leczenie nie tylko od lekarskiej diagnozy i mikstury, ewentualnie zabiegów, lecz i od spowiedzi, komunii św. i dalszej opieki zarówno ściśle lekarskiej jak i kapłańskiej. Takie leczenie naprawdę całego człowieka leczy i zapobiega chorobom.

Chory katolik bardzo chętnie widzi u swego łoża kapłana. Czeka go niecierpliwie. Jak powiada św. Jakub w swym liście (5, 14): „powinien wezwać kapłanów.. aby się nad nim modlili". W ten sposób podkreśla obowiązek duszpasterstwa chorych i współpracy z lekarzem.

9. Zresztą i medycyna już się wyzwoliła z bezdusznego materializmu, uznającego tylko to, co można dotknąć.

Dziś już poważne dzieła lekarskie nie mają takich cytat jak poniższa: „Czego nie można pokrajać, zabarwić i narysować, czego nie można wymacać, wywąchać, to nie należy do nowoczesnej, ścisłej i empirycznej nauki"[1]).

Laplace zapytany kiedyś co sądzi o Bogu, odpowiedział, że ta hipoteza nie jest mu wcale potrzebna[2]). Zawrotny postęp w zakresie nauk przyrodniczych i techniki zdawał się przynawać mu rację. Dla Boga „nie było miejsca", ani w medycynie ani w wielu innych dziedzinach nauki. „Dziś jesteśmy znów skromniejsi, stwierdza sławny lekarz Liek. Potrzebujemy Boga, najwięcej potrzebuje go lekarz"[3]). Nie są to jakieś oosobnione twierdzenia, ale silny, zdrowy prąd wkraczającej zwycięsko na właściwe tory nauki.

Łącznie z tym zmieniają się i zapatrywania lekarzy. Jeżeli dawniej uważali, że ksiądz jest pożądany przy łożu umierającego, a współpraca mogła być ewentualnie tolerowana — to dzisiaj ją cenią i rozumieją u każdego chorego. Jest to konsekwencją wypływającą z medycyny jako nauki.

Sławny psychoanalityk Karol Gustav Jung twierdzi, że „w ciągu całej swej praktyki lekarskiej, jako psychoanalityk, nie miał ani jednego wypadku, który by nie łączył się z problemem religijnym. Każdy z pacjentów był chory, ponieważ utracił to, co religia swym wyznawcom daje, a żaden nie był w rzeczywistości uleczony, jeżeli nie powrócił do religii..."[4])

„A cóż można poradzić ludziom o rozstrojonych nerwach, rozbitych psychicznie i moralnie? Czy pomogą tu jakie środki materialne, lekarstwa?" — pyta Niedermeyer w swej cennej pracy pt. „Zadania lekarza-katolika" (str. 12, 13). Każdy rozumie, że tu jak i w każdym innym wypadku potrzebne jest lekarstwo innej zupełnie natury. Na-

---

[1]) Tschulok Descendenz-Lehre (1912).
[2]) Bross K. Dr. Medycyna wczoraj i dziś, str. 1.
[3]) Dz. cyt., str. 7.
[4]) Die Beziehungen der Psychotherapie zur Seelsorge, str. 7.

kłada to na nas obowiązek pracy nad duszą chorego dla ułatwienia odzyskania zdrowia i zabezpieczenia go przed chorobą wypływający z samej istoty choroby, jej skutków i stąd płynących sposobów leczenia. I dlatego współpraca z lekarzem w duszpasterstwie chorych jest coraz bardziej potrzebna i paląca. Cytowany autor nawet pierwszeństwo w tym względzie przyznaje księdzu mówiąc: „Jakkolwiek ścisłym jest związek między lekarzem a duchownym, jakkolwiek obie formy powołania łączą się w jedno „opus divinum", to jednak trzeba przyznać pierwszeństwo religii tam, gdzie źródło cierpienia leży poza sferą dostępną dla medycyny" (str. 14).

Wielki znawca dusz Shakespeare kładzie w usta winą obarczonej Lady Macbet następujące słowa: „Jej trzeba raczej kapłana, aniżeli lekarza".

75% czynności lekarskich stanowi psychoterapia, stwierdza Prof. Müller zgodnie z Liekiem. (Bross, dz. cyt., str. 10). Bardzo często więcej u łoża chorego może dokonać kapłan niż lekarz, a zawsze praca boża jest tam pożądana i skuteczna a stąd, i konieczna.

10. A gdybyśmy chcieli zobaczyć co dało Kościołowi cierpienie? Iluż ludzi ono oderwało od zgiełku świata i jego ułud i oddało ich chwalebnej służbie Bogu i bliźniemu?

Rozmiłowany w gonitwach, turniejach, zabawach rycerz Loyola na łożu boleści poznaje wielkość żywotów świętych i staje się jednym z nich.

Wypieszczona, delikatna Tereska pod ciężarem jarzma cierpienia staje się Oblubienicą Chrystusa.

Można by pisać o tym wiele wymieniając coraz to innych świętych, których cierpienie doprowadziło na szczyty świętości a Kościół opromieniło blaskiem i chwałą. Świadczy to o bezmiarach łaski bożej, co przez cierpienie może tak wiele dokonać w duszy ludzkiej.

„Najdokuczliwsze zło trapiące naturę ludzką — powiada Pascal — jest w pewnym znaczeniu najwyższym dobrem, gdyż ono bardziej, niż wszystko inne może pobudzić człowieka do szukania swojego prawdziwego uzdrowienia."

Inny myśliciel mówi że: „Choroba daje nam jedną z najcenniejszych rzeczy na świecie i powtórną szansę, żeby urządzić sobie życie" (Louis E. Bisch). „Nic tak nie zlewa życia do duszy jak cierpienie" — powiada pewien stary mistyk. I dlatego cierpienie dało Kościołowi tak wiele prawdziwych pereł. Naturalnie samo nic nie przychodzi. Im większy ma być plon, tym większy i bardziej staranny musi być zasiew. W jednych duszach rodzi ono obfite owoce łaski i mądrości Bożej, w innych same chwasty i ciernie. Zależy to od tego jak dla katolika chorego mija ten cenny czas. Przy roztropnej opiece kapłańskiej będzie to czas naprawdę błogosławiony w skutki. Natomiast pozostawiony samemu sobie może być powodem gorzkiego wyrzutu autora „Naśladowania", że nie wielu korzysta z cierpienia.

Wiele dało cierpienie Kościołowi i dziś dać może jeszcze więcej. Ale do tego trzeba wiele zabiegliwości i apostolskiego trudu. Tego wymaga dobro Kościoła. Czyż to nie jest dostatecznym powodem do pracy? Nam powierzył Chrystus troskę o Przybytek Pański i jego chwałę. Odpowiadamy za każdą duszę nam powierzoną. Te dusze wymagają szczególniejszej troski kapłańskiej, bo są chore — a bardzo cenne zwłaszcza dla apostolstwa Akcji Katolickiej.

11. Na zakończenie swych uwag o potrzebie duszpasterstwa chorych pozostaje jeden jeszcze argument — miłość. Stanowi ona największy i najbardziej przekonywujący i poruszający dowód. Ta miłość co osładzała najcięższe trudy Apostołom, co dawała moc dziewic-

twa niewiastom, wiodła na śmierć męczenników i dziewice: ta miłość, którą podziwiamy u Zbawcy idącego do owcy zaplątanej w ciernie, aby ją uwolnić z pęt, z których sama wywikłać się nie może. Ta miłość i nas winna pobudzać do pracy nad duszami, które bez pomocy Zbawcy same na pewno nie wybrną z matni, w którą ich wtrącił grzech, słabość ludzka, lub niemoc ducha. A dusza chorego jak ta niewiasta, co przez wiele lat cierpiała na upływ krwi i wydała na lekarstwa i lekarzy cały swój majątek, tęskni do lekarza i lekarstwa, które jej zdrowie utracone przywróci i całą siłą ducha jego szuka, i do niego się rwie. Tę krew upływającą dzisiejszemu człowiekowi — jak tej niewieście, co tak gorąco pragnęła dotknąć się szaty chrystusowej, bo wierzyła, że wtedy dopiero wyzdrowieje, — może powstrzymać jedynie wielki trud kapłański niosący światu chorych Prawdę, co oświeca każdego na ten świat przychodzącego, Łaskę, co zmywa wszelkie winy i Siłę, co leczy wszelką niemoc i choroby.

Idźmy tedy do chorych z całym bogactwem naszej kapłańskiej, zdobywczej miłości!

„Apostolstwo staje się uzupełnieniem duszpasterstwa chorych i jego wykwitem, staje się częścią Akcji Katolickiej: chorzy przez chorobę stają się apostołami, czynnymi współpracownikami w królestwie Chrystusa, żywymi członkami żywej parafii, członkami mistycznego Ciała Chrystusa żyjącego i cierpiącego i zbawiającego w Kościele. Wypełniają się słowa św. Pawła o łączności jego z Chrystusem Ukrzyżowanym (Gal. 2, 19): „z Chrystusem jestem przybity do krzyża". Chrystus w cierpieniach chorych „uzupełnia to, czego niedostawało Jego Męce, za ciało swe, które jest Kościół". (List św. Pawła do Koloss. 1, 24). Setki listów do chorych świadczą o tym, że te hasła mogą być zrozumiane przez chorych katolików, mogą stać się treścią ich życia, dać im radość i... zdrowie.

„Apostolstwo Chorych" dąży w pierwszym rzędzie do tego, by skarb cierpienia oddać na chwałę Bożą, ale równocześnie przez uporządkowanie jego siły do skuteczniejszej współpracy z lekarzem, rodziną, pielęgniarstwem."

(Ks. Michał Rękas — Apostolstwo chorych w Polsce — Poznań-Lwów) str. 8—9.

Najświętsze Serce Jezusa a Kapłaństwo. Przekład z francuskiego (Biblioteka Przymierza Kapłańskiego, tom I) Jasna Góra 1939. Wydawnictwo OO. Paulinów. Str. 303.

Nabożeństwo do Najświętszego Serca Jezusowego przynosi nam kapłanom szczególne zadania dotyczące zarówno życia wewnętrznego jak i działalności duszpasterskiej. Liczne ascetyczne związki kapłańskie, wśród których u nas znana jest przede wszystkim „Unia Apostolska" starają się zaktualizować i udostępnić klerowi wzniosłe prawdy i wielkie łaski, którymi wsparci mamy wychować naszych wiernych na czcicieli i apostołów Boskiego Serca.

Wybitną ku temu pomocą może być „Powszechne Przymierze Kapłańskie przyjaciół Najświętszego Serca Jezusowego". Jego członkowie starają się najpierw żyć najintensywniej w duchu nauki o Miłości Nieskończonej i pobudzać inne dusze do takiego życia, poza tym rozszerzać wśród duchowieństwa za pomocą działalności apostolskiej (wydawnictwa, konferencje, pisma itp.) wiadomość o darze Serca Jezusowego dla kapłanów.

Czym jest ten dar — to wyjaśnia głęboka i piękna rozprawa „Le Sacre-Coeur et le Sacerdoce" pióra Służebnicy Bożej Matki Ludwiki Małgorzaty Claret de la Touche udostępniona dzięki staraniom Ojców Paulinów klerowi polskiemu.

Jej pierwsza część mówi nam o kapłanie jako arcydziełu Nieskończonej Miłości, część druga opisuje kapłańskie cnoty Najświętszego Serca Jezusowego, część trzecia zawiera opis miłości Słowa Wcielonego dla Swoich kapłanów, w czwartej wreszcie części znajdujemy zbiór rozważań o Miłości Nieskończonej oraz o Kapłaństwie.

Głęboką i wielkim nadprzyrodzonym duchem przepojoną treść książki polecamy gorąco wszystkim konfratrom. Stosowanie jej w naszym życiu wewnętrznym i apostolskim pozwoli nam sprostać nawet najcięższym zadaniom duszpasterskim doby obecnej i zbudować w Polsce wielki a niezwyciężony obóz miłośników i czcicieli Najświętszego Serca Jezusowego, Źródła życia i świętości.

Manuale Theologiae Dogmaticae, auctoribus A n s e l m o S t o l z O. S. B. et H e r m a n n o K e l l e r O. S. B. Fasciculus II De Sanctissima Trinitate, auctore A. Stolz. Friburgi Brisgoviae 1939, VIII i 142 str. RM. 2,80.

Benedyktyni Stolz i Keller podjęli się wydania nowego podręcznika dogmatyki. Pragną oni wypełnić lukę, jaką można zauważyć w dotychczasowych podręcznikach dogmatyki. Nie uwzględniają one w dostatecznej mierze rozwoju teologicznej spekulacji u Ojców i teologów. Nowy podręcznik ma tedy zadanie podać krótkie a treściwe sprawozdanie z dziejów pracy spekulatywnej, z której pomocą myśl ludzka usiłowała wniknąć w treść objawienia. Zadanie takie jest doniosłe, ale trudne.

Całość dzieli się na 9 części, z których ukazała się część druga: o Trójcy Przenajśw. Autorem jest A. Stolz, znany ze swych gruntownych prac z dziedziny teologii mistycznej (Theologie der Mystik, Regensburg 1936) i z dzieła o św. Anzelmie (Anselm vom Cantorbery, Sein Leben, seine Bedeutung, Monachium 1937). St. zasadniczo sprostał trudnemu zadaniu, jakiego się podjął. Podaje on zwięźle, a treściwie najważniejsze myśli, stanowiące zdobycze spekulacji teologicznej wieków. Rzecz zrozumiała, że podobne zgęszczenie cudzych myśli nie może stanowić lekkiej strawy duchowej; stąd podręcznik Stolza jest trudny. Kto jednak przegryzie się mężnie poprzez zawiłe nieraz pochody spekulacyjne, odniesie duże korzyści.

Podział materiału jest szczęśliwy. Pierwsza część poświęcona jest teologii pozytywnej: Trójca św. poza religią objawioną; Trójca św. w Starym i Nowym Testamencie; rozwój dogmatu Trójcy św. przed powstaniem herezji antytrynitarnych; wreszcie herezje i reakcja (str. 7—47). Część druga zajmuje się rozumowym opracowaniem dogmatu trynitarnego (str. 49—136). Autor trzyma się zasadniczo rozkładu Sumy św. Tomasza: o pochodzeniach Boskich, o relacjach Boskich, o osobach Boskich, o zesłaniach osób Boskich itd.

Słusznie autor podnosi znaczenie dogmatu Trójcy św., nie tylko dla naszego poznania religijnego, ale przede wszystkim dla zrozumienia sensu życia chrześcijańskiego, będącego uczestnictwem w życiu trynitarnym (str. 4). Centralnym zagadnieniem teologii trynitarnej jest rzecz o wewnętrznych pochodzeniach istniejących w łonie Bóstwa. Zagadnienie to St. traktuje wyczerpująco poświęcając szczególną uwagę psychologicznemu wyjaśnieniu wewnętrznych pochodzeń Boskich, tj. pochodzenie Syna od Ojca przez intelektualne zrodzenie i pochodzenia Ducha Św. od Ojca i Syna przez tchnienie miłosne woli. Wymienione tłumaczenie psychologiczne ma wartość wniosku teologicznego, jak autor słusznie twierdzi (str. 64); wszakże dodać trzeba, że jest to właściwy wniosek teologiczny, który prowadzi do poznania prawdy zawartej wirtualnie w objawieniu. Na szczególną uwagę zasługuje również to, co czytamy o zesłaniach Boskich i o zamieszkiwaniu Trójcy Św. w duszy sprawiedliwej. Autor idzie słusznie za zdaniem Jana od św. Tomasza i Gardeil'a, w myśl którego zamieszkiwanie Trójcy Św. w duszy dokonywa się dzięki temu, że Bóg obecny wszędzie mocą swej niezmierzoności wywołuje w duszy szczególne skutki, tzn. sprawia w niej łaskę oraz cnoty wlane, dzięki którym dusza jest zdolna objąć Boga w duchowe posiadanie mając Go jako bezpośredni przedmiot swego poznania i miłowania (str. 132).

Jedna tylko uwaga natury merytorycznej. Stolz słusznie zaznacza, że rozum ludzki przyrodzoną zdolnością nie może pozytywnie udowodnić możliwości tajemnicy Trójcy Św.; zdolność jego ogranicza się do negatywnego dowodu wymienionej tajemnicy, tzn. rozum może wykazać bezpodstawność zarzutów, podnoszonych przeciwko tej tajemnicy (str. 53). Wszakże nie można żadną miarą godzić się na zdanie autora, w którego myśl rozum ludzki zdolny jest siłami przyrodzonymi udowodnić pozytywnie możliwość tajemnicy widzenia uszczęśliwiającego (str. 53). Widzenie bowiem uszczęśliwiające istoty Bożej jest czymś nadprzyrodzonym w samej swej istocie, czyli ze strony przyczyny formalnej; stąd oczywista, że jest również czymś nadprzyrodzonym w stosunku do przyrodzonych zdolności poznawczych (verum et ens convertunter); a więc możliwości widzenia uszczęśliwiającego żaden rozum

stworzony siłą przyrodzoną nie jest zdolny poznać. Możliwość żywota wiecznego jest prawdą należącą do porządku wyższego od tego, w którym znajduje się wszelkie dowodzenie przyrodzone; jest prawdą niedostępną dla przyrodzonych zdolności poznawczych wszelkiego stworzenia. My wierzymy (a nie wiemy), że widzenie uszczęśliwiające jest pozytywnie możliwe. Zapoznanie tej ważnej tezy prowadzić może do zatarcia istotnej różnicy między naturą a nadnaturą.

Kogo zajmują zagadnienia spekulatywne, z wdzięcznością weźmie do rąk sumienny podręcznik Stolza.

Ks. A. Żychliński.

„Kazania o Polskim Czerwonym Krzyżu". Nakł. Zarządu Głównego P .C. K., Warszawa 1935, stron 56.

Wzrasta wciąż liczba organizacyj, obchodów i okoliczności, przy których prosi się kapłana z przemówieniem czy kazaniem. Poproszony kaznodzieja jest wtenczas wdzięczny, jeżeli ma pod ręką zbiór kazań, potrzebny mu właśnie na zachodzącą okoliczność.

Zbiorek powyższy czyni zadość jednej z takich potrzeb. Podaje mianowicie 9 krótkich kazań na różne okoliczności P. C. K. A więc na rozpoczęcie Tygodnia, na poświęcenie sztandaru, do drużyn ratowniczych, do sióstr P. C. K., do młodzieży szkolnej, do włościan, do wojska i o ideologii P. C. K. Podniosłe słowo wstępne napisał ks. bp. Gawlina. Autorami kazań są następujący księża warszawscy: Jachimowski, Pągowski, Kowaliński, Węglewicz, Kujda, Majewski, Mauersberger i Wądołowski (ostatni z Tarchomina).

Kazania choć krótkie, podają jednak dość obfity materiał myślowy do kazań na obchody P. C. K. Z uznaniem podkreślić trzeba, że kazania zbiorku uwzględniają na ogół należycie podkład i treść religijną, że więc zasługują na miano kazań, co nie o wszystkich dzisiejszych kazaniach okolicznościowych powiedzieć można. Jedno wszakże (na dzień matki, do dzieci i młodzieży) przeholowało w obfitości przytoczonych wierszy Wł. Bełzy. Piękne są to wiersze, ale dwie stronice poezji — pomijając nawet względy homiletyczne — któż będzie recytował w kazaniu? Nie obyło się też bez pewnych powtarzań w zbiorku, np. niektóre szczegóły z historii C. K., o bitwie pod Solferino itp.; jeden z autorów powtórzył nawet cały szereg uwag dość dosłownie w dwóch swoich kazaniach. Ale i to czasem uczynić można czy nawet się zaleca, gdy chodzi o utrwalenie ważnych rzeczy w pamięci słuchaczy, zwłaszcza nie tych samych słuchaczy, jak w danym wypadku; w zbiorze zaś kazań różnych autorów na pokrewne tematy trudno uniknąć zupełnie pewnej zbieżności w treści; zresztą zbieżne punkty w różnych kazaniach mają zwykle tę dobrą stronę, że się nawzajem uzupełniają, bo co pominie jeden autor z omawianego zdarzenia lub szczegółu, to poda dokładniej inny. A tak właśnie jest i w powyższym zbiorze. Odda więc on pożądane usługi kapłanom, którzy przemawiać będą na zaproszenie P. C. K.

Ks. Jan Kiciński.

Ks. Dr Kazimierz Karłowski, **Podróż do Ziemi Świętej.** Potulice Seminarium Zagraniczne, 1939, str. 324.

Nie każdy kapłan ma w swoim życiu sposobność pielgrzymowania do tych Świętych Miejsc, w których żył, uczył i cierpiał nasz Boski Zbawiciel.

Z wdzięcznością tedy weźmie do rąk książkę, w której autor, co z gorącą wiarą w sercu, z notatnikiem w ręku, bystrym okiem patrząc, podróżował po Ziemi Świętej, podziela się z czytelnikiem swoimi wrażeniami.

Poza opisem samej drogi i miejsc świętych znajdujemy w pracy dużo ciekawych i dobrze skontrolo-

wanych wiadomości, o ludziach, zwyczajach, o stosunkach i nastrojach panujących w Palestynie.

Sposób przedstawienia jest jasny, interesujący, przystępny, pogodny i utrzymany w stylu barwnego opisu podróży. Książka godna polecenia zarówno dla konfratrów jak i katolików świeckich.

Ks. J. P.

Ks. Franciszek Kwiatkowski T. J., **Z pogranicza filozofii i teologii.** Wykłady dla katolickiej inteligencji. Kraków 1938. Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy (Księża Jezuici) str. 568. Cena 7,50 zł.

Wśród inteligencji katolickiej objawia się w chwili obecnej nastawienie wybitnie pozytywne w stosunku do pogłębienia wiedzy religijnej. W związku z tym stanem rzeczy wykształcony katolik pragnie rozwiązać pytania, które mu nasuwa problematyka współczesnego religijnego życia.

Wysoce aktulnae tematy z dziedziny współczesnych zagadnień religijnych i społecznych opracował autor z okazji swych przemówień do inteligencji. Nauka o Bogu, o duszy, o moralności, o Państwie, o wychowaniu, wreszcie problemy społeczne, historyczne, mariologiczne i misyjne, w szczególności bezbożnictwo, spirytyzm, teozofia, anteopozofia, wolność moralna i małżeństwo chrześcijańskie, stosunek Państwa do Kościoła, szkoła wyznaniowa, trudności religijne u młodzieży, komunizm i przebudowa społeczna, ks. Piotr Skarga, ks. Beyzym — oto najciekawsze przedmioty wytrawnych wyważań autora.

Rozwiązanie problemów określone jest w sposób prosty, gruntownie przemyślany, bez zbytniego balastu naukowych roztrząsań, z podaniem jednak koniecznych cytat i nieodzownych referencyj. Sumienna i wszechstronna, ideowo mocna i światopoglądowo bardzo pouczająca praca O. Kwiatkowskiego może oddać wielkie usługi zarówno inteligencji jak i duszpasterzom, którzy przygotowują wykłady i dyskusje w stowarzyszeniach Akcji Katolickiej w Sodalicjach i w Kołach Wykształcenia Religijnego.

Ks. K. Kowalski.

Dr. Wilhelm Stockums, **Priestertum und Aszese.** Fryburg, Herder, 1938, str. 282. Cena opr. egz. R-M 4,80—25%.

Ks. Stockums, Biskup Sufragan Koloński, autor dwóch wytrawnych prac („o kapłaństwie" i „o powołaniu kapłańskim") przedstawia w tej książce stosunek kapłaństwa do ascezy zrozumianej jako poważne i stałe dążenie do doskonałości życia tak zewnętrznego jak duchowego i zawodowego.

Dostojny autor określa najpierw istotę i zadanie ascezy chrześcijańskiej i kapłańskiej, by przejść do szczegółowego omówienia dróg i stanu doskonałości chrześcijańskiej (Rozdział 1—3).

Z rozdziałem czwartym rozpoczyna Ks. Biskup Stockums wykład życia religijnego, jego poszczególnych stylów, życia duchownego i wewnętrznego — (rozdział 4—7).

Głębokie rozważania o modlitwie i rozmyślania składają się na treść 8 rozdziału.

Usposobieniu kościelnemu i duchowi kapłańskiemu poświęcone są ostatnie dwa rozdziały (9 i 10) książki .

Wykład poszczególnych prawd i norm jest jasny, spokojny, zdradzający wytrawną znajomość teologii ascetycznej i mistycznej i roztropną odwagę przy wysokim określeniu wymagań duchowych i ascetycznych życia kapłanów.

Z drugiej strony zauważyć można liczne owoce dokładnego studium psychiki i problematyki współczesnego człowieka, w szczególności kandydata do stanu duchownego.

Wszystkie uwagi są przepojone duchem żywej wiary, której pod-

stawą jest Chrystus, Ewangelia, Papiestwo i Kościół św. Główny zaś nacisk kładł autor na prymat modlitwy w życiu wewnętrznym, na wytrawne wiadomości teologiczne w zawodowym życiu kapłana. Źródłem i duszą kapłańskiego życia duchownego wreszcie jest miłość Boga i bliźniego zdobywająca dusze i budująca Chrystusowe Królestwo na ziemi. Niektóre myśli zyskałyby przez szersze ich rozprowadzenie. Konfratrzy władni języka niemieckiego znajdą w pracy Ks. Biskupa Stockumsa pierwszorzędnej wartości źródło światła i zachęty w dążeniu do prawdziwie kapłańskiej doskonałości.

Ks. A D.

O. Lippert S. J. **Die sieben Worte Jesu am Kreuz.** Fryburg, Herder 1937. Cena 2,20 RM—25%.

W spuściźnie po śp. O. Lippercie znaleziono kilka krótkich słów, wyrażających w formie bardzo zwięzłej, zrozumienie, współciernie i ufność do Chrystusa Ukrzyżowanego wypowiadającego Swoje ostatnie słowa. Teksty są bardzo krótkie, ale pełne wzniosłej treści i delikatnego uczucia.

Do każdego ze siedem słów dołączono artystyczną reprodukcję Głowy Ukrzyżowanego podług wybitnych dzieł sztuki.

Całość składa się na upominek pełen pietyzmu, z którego chętnie korzystać będą liczni czytelnicy dzieł śp. O. Lipperta, przetłumaczonych także na język polski. Wykonanie wzorowe.

Ks. K. S.

Dr. Josef Holzner, Paulus. **Ein Heldenleben im Dienste Christi.** Fryburg, Herder 1937, str. X+456. Cena RM 5,60 — 25%. Obserwując wielkie znaki żywotności Kościoła katolickiego w dobie obecnej jak ruch liturgiczny, eucharystyczny, biblijny a zwłaszcza misyjny, autor doszedł do wniosku, że wszystkie one karmią się osobistością wielkiego apostoła narodów. Stąd uważał, że żywot i czyny świętego Pawła posiadają w tej chwili specjalną aktualność dla współczesnego katolika.

Na tle doskonałego obrazu religijnych i społecznych stosunków starożytności skreślił Ks. Holzner obszerny opis osoby i życia, zwłaszcza działalności misjonarskiej, wielkiego apostoła.

Nie ogranicza się autor przy tym do podania zewnętrznych zdarzeń, ale wnikliwie i roztropnie odtwarza pobudki i sposoby myślenia i działania św. Pawła podając nam tym samym doskonałą psychologiczną charakterystykę Jego osoby oraz postaci Go otaczających.

Nadto znajdujemy, na swoim historycznym miejscu, opis powstania, szkic treści i określenie wartości poszczególnych listów apostoła narodów.

Wreszcie podał Ks. Holzner w swej wytrawnej książce mnóstwo uwag i spostrzeżeń o doskonałości osobistej i metodzie pracy świętego Pawła, które w chwili obecnej doskonale nadają się do aktualizowania w duszpasterstwie szkolnym i parafialnym, zwłaszcza jednak w ruchu misyjnym. Autor znając doskonale tło psychologiczne i religijno-społeczne czasów wielkiego apostoła, potrafił postać i czyny św. Pawła przedstawić z rzadką plastycznością, stylem prostym i przystępnym, opierając się przy tym roztropnie na najświeższych wynikach egzegezy i archeologii chrześcijańskiej.

Praca Ks. Holznera jest jedną z tych rzadkich książek, po których przestudiowaniu czytelnik, kapłan i laik, zastaje siebie wzbogaconym w wiedzę, pokrzepionym na duchu i przygotowanym do zwycięskiego potykania się z trudnościami współczesnego apostolstwa katolickiego.

Ks. Kazimierz Kowalski.

Ks. Dr Walery Jasiński, **O katolicką pedagogikę w Polsce.** Katowice, Księgarnia i Drukarnia Katolicka 1939, str. 112.

Dziełko zawiera w rozszerzonej formie referat, który autor wygłosił w czasie IV Studium Katolickiego w Katowicach (5—9 IX 1938). Śmiałe i trafne swe poglądy ujmuje autor w trzech zasadniczych tezach, które następnie dość szeroko rozprowadza:

I. Religia była kiedyś duszą i królową nauczania i wychowania.

II. Religia stała się dziś przedmiotem nauczania.

III. Religia musi znów stać się duszą nauczania i wychowania.

Duszą i królową nauczania i wychowania była religia w średniowieczu; przepełniała wszystkie dziedziny życia i nauki. W takich warunkach pedagogika świetnie mogła się rozwijać.

Czasy humanizmu, Lutra, później „oświecenia", a ostatnio materializmu spowodowały katastrofę. Nastąpiło „oderwanie się od życia nadprzyrodzonego, od Kościoła, od Chrystusowego objawienia, od Boga, zaprzeczenie istnienia duszy i godności osoby ludzkiej". Jasne, że tego rodzaju warunki odbiły się wprost fatalnie na pedagogice katolickiej. Wprowadzono sztuczny podział pedagogiki na świecką i religijną, a religię, niegdyś duszę i królowę nauczania, zepchnięto do roli zwykłego przedmiotu, ograniczonego do kilku zaledwie godzin. Dzisiaj obserwujemy ogromny chaos panujący w dziedzinie nauczania i wychowania. Jedyną drogą wyjścia z niego to odbudowanie pedagogiki na zasadach całkowicie chrześcijańskich. Religia musi znów stać się duszą i królową nauczania. Nie mamy szkoły wyznaniowej, za dużo u nas wpływów obcych i niechrześcijańskich, tak mało godzin religii, nie mamy na uniwersytetach katedr pedagogiki katolickiej, to wszystko zdobyć musimy.

Oto w streszczeniu głębokie a śmiałe rozważania autora. Przyniosą one sprawie pedagogiki katolickiej niemałą pomoc. Rozbudzą niewątpliwie opinię katolicką w sprawie niesłychanie ważnej a nieraz mało docenianej. Oryginalność i śmiałość w ujęciu, sumienność w opracowaniu i podaniu bibliografii, dobra argumentacja, jasne i konkretne wnioski wraz z zaletami języka i stylu sprawiają, że dziełko to ze wszech miar godne jest polecenia. Ks. M.

Anna Szottowa, **Myśli błog. Jana Ruysbroecka.** Poznań. Księgarnia św. Wojciecha, 24°, str. 164.

Uskutecznić i podać wybór myśli z dzieł mistyka tej miary co bł. Jan Ruysbroeck nie jest rzeczą łatwą ze względu na to, że nadprzyrodzonych przejść mistycznych język ludzki dorównująco oddać nie potrafi. Autorka potrafiła zwyciężyć tę trudność i zebrać w 15 rozdziałach dużo bogactwa umysłu i serca tego przedziwnego świętego. We wstępie zaś podała charakterystykę osobistości Ruysbroecka, niezbędną do dobrego zrozumienia jego myśli.

Starannie wydana, stanowi ta książeczka cenny dorobek w kolekcji „Myśli", posiadającej ustaloną opinię wśród kleru i świeckich. Ks. J. P.

„Heilige Stunden" für jeden Monat im Jahr der Kirche, von Eucharius Zenzen O. S. B., Freiburg i. Br. 1939, Herder, stron XXVIII + 96, w 16°. Cena 1 RM. — 25%.

Jak już tytuł zanacza, jest to zbiorek modlitw do użytku w czasie „Godzin świętych" przed pierwszym piątkiem miesiąca. Zbiorek zawiera modlitwy i czytania na 12 Godzin świętych, czyli na każdy miesiąc roku inne. Nowość jego polega na tym, że każda godzina ułożona jest na wzór Jutrzni brewiarzowej, by tym sposobem wnieść jak największe urozmaicenie w to nabożeństwo. Zbiorek poprzedza krótki wstęp z praktycznymi uwagami, jak urządzać Godzinę świętą, i z 12

małymi szkicami przemówień kapłana do uczestników adoracji.
Ks. J. K.

Budowa nowego ładu. K. J. Poznań 1938. S. A. „Ostoja", str. 159.

Trzeba budować dziś nowy ustrój społeczny. Państwa totalne nie odpowiadają potrzebom natury ludzkiej: komunizm, hitleryzm, faszyzm budują swój ustrój na gruzach osobowości ludzkiej. Nowy ład społeczny z powodzeniem można budować jedynie na porządku bożym według wskazań Ewangelii Chrystusa i Namiestnika Chrystusowego.

Zofia Lipkowska-Górska, **„Chcę być dobrą"**, stron 40. Nakład S. A. „Ostoja". Wydawnictwo Katolickiego Związku Młodzieży Żeńskiej.

Cykl artykułów drukowanych w „Młodej Polce" opracowała w piękną całość Zofia Lipkowska Górska. Książeczka ta, jako materiał do pogadanek, odda duże usługi młodzieży żeńskiej, zwłaszcza członkiniom K. S. M. Ż. Treścią jej są 4 cnoty główne, tak nadprzyrodzone jak i przyrodzone, z uwzględnieniem cnót z nich wynikających. Dziełko mimo małych rozmiarów mówi także o aktualnej bardzo sprawiedliwości społecznej. Praca ta jest zachętą do poznania i praktykowania cnót. Forma dialogowa ożywia i zachęca do dyskusji. Ksiądz Asystent ma tu możność niejedno rozszerzyć i pogłębić. Po przeczytaniu każdy przyjmie dalszy tomik, o którym warto pomyśleć.

Zbigniew Kaczorowski, **„Zmartwychwstanie Polski"**. Wydawnictwo Katolickiego Związku Młodzieży Męskiej i Żeńskiej. Nakładem S. A. „Ostoja", Poznań 1938 r. Biblioteka wieczornicowa Nr 52, str. 88.

Od dawna odczuwano brak pomocy przy organizowaniu wieczornic patriotycznych. Mamy przed sobą, już zewnętrznie dobrze prezentujący nr 52 Biblioteki Wieczornicowej pt.: „Zmartwychwstanie Polski".

Składa się z dwóch części. Pierwsza obejmująca przemowy ma charakter ogólny i mówi o wspólnym zbrojnym wysiłku całego społeczeństwa polskiego przez odzyskanie niepodległości.

Druga, już więcej szczegółowa, przedstawia zmagania zbrojne poszczególnych części Polski. Zakończenie jest imponujące i pełne wrażenia, przedstawia apoteozę odzyskania wolności.

Całość godna pochwały i polecenia. Księża asystenci znajdą w niej pomocnika i doradcę, młodzież zainteresuje i pobudzi do pracy w ognisku.

Haro, **„Chrystus Władcą twoim"**. Nakładem S. A. „Ostoja", nr 51 Biblioteki Wieczornicowej. Poznań 1938, str. 48.

W broszurze tej zebrany jest materiał na wieczornicę, akademię, ku czci Chrystusa Króla, i to: 1) wykład Haro pt. „Chrystus Władcą twoim"; 2) deklamacje chórowe oraz solowe: już to czołowych pisarzy naszej literatury polskiej, już to skreślone przez młodych poetów katolickich; 3) fragment sceniczny Br. Aszoffa pt. „Bóg jest" na 5 ról męskich, oraz 4) wspólny śpiew, skreślony przez Ks. St. Durzyńskiego na temat „Boga Żywego Syn miłowany".

Broszura, ze względu na swą bogatą treść programową na uroczystości ku czci Chrystusa-Króla, godną jest polecenia dla wszelkich organizacyj. Parafialna Akcja Katolicka, organizując doroczną uroczystość Chrystusa-Króla, znajdzie w broszurce tej wielką pomoc. **K.**

„Pójdźcie osobno", Ks. Jan Kubkowski. Poznań 1938. Nakładem S. A. „Ostoja", 8^0, str. 153.

W związku z rozwojem Akcji Katolickiej coraz większym powodzeniem cieszą się w Polsce rekolekcje zamknięte. Książka zawiera wyczerpujące opracowanie rekolekcyj zamkniętych dla młodzieży

męskiej pozaszkolnej: porządek rekolekcyj, modlitwę rekolekcyjną i na tle życia Samsona opartych 13 nauk, które obejmują trzy główne tematy: „Czego mi brak do doskonałości?“ „Główna wada i walka z nią“, oraz „Zjednoczenie z Bogiem przez łaskę, miłość i czyn apostolski“. Kapłan chcący udzielić rekolekcyj młodzieży z K. S. M. M., znajdzie w książce tej obfity materiał.

K. J. **„Posłannictwo Katolickiej Polski“**. S. A. Ostoja. Poznań 1939. str. 166.

Hasłem Akcji Katolickiej na rok 1938/39 jest poznanie i wykonanie uchwał I Synodu Plenarnego. Ruchliwa „Ostoja“ wydała książkę na ten aktualny temat. Ujmuje ona całokształt zagadnienia. Można tedy powiedzieć, że jest to pierwszy podręcznik systematycznego przeprowadzenia tegorocznego hasła A. K. Będzie on pożyteczny Ks. Ks. Asystentom i Prezesom parafialnych organizacyj Akcji Katolickiej. Ujęcie — przystępne, ale nie pobieżne. Po każdym rozdziale znajdujemy pytania do dyskusji.

O młodym robotniku polskim, Pokłosie Konferencji Katolickiego Związku Młodzieży Męskiej w Częstochowie dnia 1 i 2 maja 1938 r. Poznań 1938. Nakładem S. A. „Ostoja“, str. 95.

Katolicki Związek Młodzieży Męskiej od chwili swego powstania aż do r. 1937 dążył do stworzenia silnych podwalin ogólnopolskiego wszechstanowego ruchu młodzieży. W r. 1938 na życzenie Episkopatu Polskiego K. Z. M. M. podejmuje prace specjalne i to w dziedzinie młodzieży robotniczej. VI Konferencja związkowa odbywa się w Częstochowie dnia 1 i 2 maja 1938 i obraduje nad zagadnieniem młodzieży robotniczej. Broszurka niniejsza zawiera szereg referatów poświęconych sprawie młodzieży robotniczej w Polsce: „Młodzież robotnicza w Polsce“, „Działalność państwa i samorządu w dziedzinie młodzieży pracującej“, „Organizacje i instytucje społeczne a młodzież robotnicza“, „Najważniejsze formy pracy wśród młodzieży robotniczej za granicą“ oraz „Program i plan pracy K. Z. M. M. w odniesieniu do młodzieży robotniczej“. Winna ona znaleźć się w rękach prezesów P. A. K. oraz prezesów oddziałów K. S. M. M, a koniecznie winny ją poznać zarządy tych oddziałów K. S. M. M., które skupiają w sobie młodzież pracującą.

„Wieś o sobie“ pod red. mgra J u r a L e ż e ń s k i e g o, Poznań 1938. „Ostoja“, str. 192, cena 1,50 zł.

Książka pod powyższym tytułem została opracowana na podstawie dwóch ankiet, przeprowadzonych wśród młodzieży wiejskiej K. S. M. M. i Ż.: 1) Co się dzieje na wsi? 2) O lepsze jutro wsi. Praca niniejsza pozwala nam wniknąć bezpośrednio w życie wsi polskiej i poznać jej palące niedomagania. Wskazuje na przyczyny i źródła zubożenia wiejskiego ludu pod względem moralnym i materialnym. Podaje drogi polepszenia ciężkiej doli ludu. Warto też podkreślić optymizm i wiarę młodzieży wiejskiej w lepszą przyszłość. Czeka tylko na pomoc i przewodników.

Bezpośredniowość wypowiedzi i krytyczne ujęcie nadaje książce wartość życiową chociaż nie ogólną, gdyż liczba odpowiedzi jest zbyt szczupła. Stanowić ona może mimo to ważną pomoc dla kierowników ruchu młodzieżowego na wsi. Nam kapłanom wskazuje placówki pracy, jakie winniśmy przepoić duchem społecznych Encyklik Papieskich. Praca w tym kierunku wymaga wytężonego i zorganizowanego wysiłku katolickiego, bo dobierają się do wsi radykali, którzy przez obiecanki żerują na nieuświadomionej ludności.

Ks. Gaston Dutil, **„Twoja Msza i twoje życie“.** Z francuskiego przełożyła Zofia Siemieńska, Poznań 1938, str. 45, nakład S. A. „Ostoja“.

Piękne dziełko ks. Gastona Dutila ukazało się w tłumaczeniu polskim. W ojczyźnie swej w krótkim czasie rozeszło się w 400 tysięcy egzemplarzach. Tam i w innych krajach spełnia chlubnie swoje apostolstwo — uczy kochać i przeżywać głęboko Mszę św.

„Msza św. jest dramatem, w którym ty sam nie jesteś widzem jedynie, lecz i współaktorem“. Oto myśl przewodnia tego cennego dziełka, którą autor konsekwetnie rozprowadza. Pragnie on zapalić swych czytelników do doskonałego uczestnictwa we Mszy św. i ścisłego zjednoczenia jej z własnym życiem. Omawiając kolejno poszczególne części Przenajświętszej Ofiary podaje wiele pięknych myśli i uczy, jak w praktyce powinien wyglądać nasz udział we Mszy św.: trzeba zjednoczyć się jak najdoskonalej z duchem ofiary Chrystusowej, by, według zdania ks. Dutila, „nasze życie było w naszej Mszy św.“, a „nasza Msza w naszym życiu“. Oby i polscy miłośnicy liturgii sięgnęli po tę skromną broszurkę i zaczerpnęli z bogactwa jej myśli zachętę do doskonałego uczestnictwa w bezkrwawej ofierze.

„Modlitwa z Kościołem“. S. A. „Ostoja“. Poznań 1938, str. 128.

Liturgiczną książeczkę do nabożeństwa wydał Katolicki Związek Młodzieży Męskiej. Wydawcy piszą we wstępie: Modlitewnik ten chce służyć młodzieży przede wszystkim do tego, aby w życie wprowadzić ducha wspólnoty nadprzyrodzonej. Książeczka zawiera: Modlitwy poranne, Mszę św. podaną w sposób przystosowany do recytowania — to jest najważniejsza i najlepsza część. Modlitwy przed i po Spowiedzi św., przed i po posiłku.

Modlitwy organizacyjne i prywatne, dalej litanie, Modlitwy wieczorne oraz pieśni. Na końcu mamy podane według śpiewnika Ks. Dra Gieburowskiego intonacje oracji, Ewangelii, Prefacji, Pater noster oraz Ite missa est.

Modlitewnik ten dotrzeć powinien nie tylko do członków K. S. M. M., ale i do tych wszystkich, którzy zaczynają się ruchem liturgicznym interesować.

K. J. **„Służba społeczna Kościoła“.** Poznań 1938. S. A. „Ostoja“, str. 166.

Książka w 12 rozdziałach podaje to, co Kościół w ciągu 19 wieków zrobił dla sprawy społecznej. Dwa pierwsze rozdziały wprowadzają w pojęcia: społeczność, praca społeczna, obowiązki społeczne itp., podają źródła katolickiej nauki społecznej oraz ich hierarchię. Następne dziewięć rozdziałów, to historia kwestii społecznej ze szczególnym uwzględnieniem roli Kościoła. Ostatni rozdział podaje bilans dotychczasowej pracy Kościoła, uwypuklający trafnie dorobek i wskazujący równocześnie na największe potrzeby.

Cechuje tę książkę popularne ujęcie tematu i to stanowi jej największą zaletę. Dlatego odda ona dużą przysługę członkom K. S. M. w pracy samokształceniowej.

Stefania Marciszewska-Posadzowa, **Zajęcia z dziećmi w wieku przedszkolnym.** Biblioteka wychowania przedszkolnego, zeszyt XV. Poznań 1939, Księgarnia Św. Wojciecha.

Można by śmiało nazwać tę o 136 stronach książkę „Vademecum“ dla wychowawczyń dzieci w wieku przedszkolnym na miesiące zimowe.

Treść jej dzieli się na dwie części: W pierwszej znajdujemy „rozmowy religijne“ z materiałem podzielonym na tygodnie miesięcy zimowych. Przedmiotem rozmów są zasady moralne, „jakie już w okresie dziecięctwa winny być wzięte pod uwagę...“ (pamięć o Bogu i cześć dla Niego, cześć, po-

słuszeństwo rodziców i szacunek dla starszych, dobroć dla otoczenia i prawdomówność). Dobre zużytkowanie materiału uprzystępniają wnikliwe uwagi wzgl. wyjaśnienia o należytym podchodzeniu do dzieci i potrzebach duszy dziecięcej. Szkoda tylko, że ani jedna rozmowa nie przeprowadza w zastosowaniu „in extenso“ pytań; dobre bowiem stawianie pytań nie jest łatwą sztuką i nie wszyscy wychowawcy dzieci ją posiadają.

W części drugiej znajdujemy „zajęcia ręczne, rozmowy i opowiadania z przyrody martwej i żywej“. Równolegle z opowiadaniami podano ćwiczenia rysunkowe, zabawy, robótki z uwzględnieniem pierwiastka etycznego, rodzinnego i społecznego oraz podkreśleniem strony praktycznej. Do każdej lekcji dołączono pieśni i wierszyki do niej zastosowane oraz odsyłacze do odnośnej literatury.

Zeszyt XV Biblioteki wychowania przedszkolnego nadaje się jako pomoc nie tylko dla wychowawczyń przedszkoli i ochronek parafialnych, lecz winien się znaleźć w rękach matek mających dzieci w wieku przedszkolnym.

Ks. J. M.

L. Prauziński — A. Ulrich, **W marszu i bitwie.** Szlakiem powstańców wielkopolskich 1914—1920. Księgarnia Św. Wojciecha, Poznań, str. 235.

Dwudziestą rocznicę powstania wielkopolskiego upamiętnili dwaj żołnierze wielkiej wojny i powstańcy wielkopolscy, artysta-malarz i pisarz, książką, która na razie jest jedynym tego rodzaju dziełem.

W części pierwszej „Kaczmarek-regimenty“ znajdujemy szkic przeżyć podczas wojny światowej, w której powstaniec wielkopolski zdobył swoją sprawność bojową.

Część druga „Od Zbąszynia do Kijowa“ obejmuje szereg udanych obrazów pendzla L. Prauzińskiego, stanowiących dobrą ilustrację dziejów powstania wielkopolskiego.

Treść trzeciej części „Żołnierze wielkopolscy“ stanowi opis charakterystycznych momentów wielkopolskiego ruchu powstańczego, począwszy od zawieszenia broni na zachodzie (11. X. 1918) a skończywszy na odparciu ataku bolszewików nad granicą Prus Wschodnich w sierpniu 1920 roku.

Wysokie napięcie patriotyczne, doskonała obserwacja życia żołnierskiego, wybitny realizm w opisie sytuacyj i przeżyć, głęboka znajomość naszego regionalizmu — oto najważniejsze walory tej pięknej książki.

Język okraszony mnóstwem z gwary wielkopolskiej lub wojennej zapożyczonych wyrazów, nieraz hojnie szafuje rozmaitego rodzaju „cholerami“. Wybacza się to jednak chętnie autorowi po przeczytaniu wspaniałego wyznania wiary złożonego przez powstańca Horna, dowódcę kompanii, nad grobem kaprala Adamczaka.

Każdy naoczny świadek tych wiekopomnych chwil, a zwłaszcza kapłan powstaniec wielkopolski z czułą radością przeczyta tę z wielkim talentem napisaną i ilustrowaną książkę.

Ks. Kazimierz Kowalski.

Dr Kazimierz Weydlich, **Tęczowy sztandar spółdzielczości,** Ks. Św. Wojciecha, Poznań 1939.

Mamy przed sobą podręcznik, zawierający na 180 stronach 30 tematów z zakresu spółdzielczości, napisany dla spółdzielni, działaczy społecznych, a przede wszystkim młodzieży. Całość rozpada się na 5 części. W pierwszej szkicuje nam autor poczynania pionierów spółdzielczości w Europie i Polsce. Z drugiej części, omawiającej ideologię spółdzielczości, dowiadujemy się, na czym polega spółdzielczość i jakiego wyrobienia charakteru wymaga od członków i kierowników. Część trzecia zapoznaje nas z sa-

mą organizacją i stroną prawną spółdzielni. Czwarta część omawia zasady pracy w głównie spotykanych rodzajach spółdzielni, a więc w Kasach Stefczyka, Bankach Ludowych, w spółdzielniach spożywców i innych. Wreszcie część ostatnia zajmuje się ośrodkami wychowania i przysposobienia młodzieży do pracy w spółdzielniach.

Całość napisana jest ze znajomością przedmiotu. Czytelnik znajdzie dużo praktycznych wskazań, zwłaszcza w części drugiej. Na osobną uwagę zasługuje obfita literatura podana po każdym omówionym temacie. Również na uznanie zasługuje umieszczony pod koniec referatu temat do dyskusji i rozważań.

Odczuwa się jedynie brak kilku, lub choćby jednego tematu wstępnego, zapoznającego czytelnika z podstawowymi pojęciami i zasadami spółdzielczymi.

Autor z jednej strony chce zapalić do sprawy szersze masy społeczników i młodzieży, a z drugiej przestrzegać przed błędami.

Życzyć należy książce, by rzeczywiście wysoko w Polsce dźwignęła „tęczowy sztandar spółdzielczy". Z. Ż.

Za Gwiazdką Św. Dominika. Z przedmową Ks. Dr. Antoniego Pawłowskiego Prof. U. S. B. Skład Główny: Księgarnia Przeglądu Katolickiego Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71 str. 59.

Idea misyj wśród pogan była ożywczym źródłem natchnienia i rozmachu pracy apostolskiej zarówno Św. Dominika jak i duchownych synów jego.

Powstanie tego posłannictwa wielkiego Zakonodawcy przedstawia nam barwnie i ściśle pierwszy rozdział pracy wydanej przez Siostry Dominikanki Misjonarki Jezusa i Marii.

W drugim rozdziale znajdujemy szkic misyjnej działalności zakonu dominikańskiego uzasadnionej i w opisie doprowadzonej do cichych a bohaterskich czynów misyjnych Sióstr Dominikanek.

Trzeci rozdział, najwięcej oryginalny i ciekawy, przedstawia powstanie i początki dziejów Zgromadzenia SS. Dominikanek Misjonarek założonych, jako rodzima fundacja polska, w roku 1932 w Warszawie. Katechizacja dzieci w barakach oraz apostolstwo w warszawskim więzieniu kobiecym świadczą o wytrawnym kierunku przygotowania się Sióstr Dominikanek na cel główny: działalność misyjna w krajach pogańskich lub niekatolickich, zwłaszcza w Rosji ze szczególnym uwzględnieniem potrzeb klas wykształconych.

Oby ta piękna broszurka znalazła jaknajwięcej czytelników i przyczyniła się do utrwalenia i rozrostu nowego Zgromadzenia, którego wzniosłą tomistyczną ideologię naszkicował ze znawstwem w przedmowie Ks. Profesor Antoni Pawłowski.

Ks. Kazimierz Kowalski.

Ks. Nikodem Cieszyński, Roczniki Katolickie na Rok Pański 1939. Tom XVI. Nakł. autora. Poznań 1939. Str. 384.

Po raz szesnasty wydaje niestrudzony autor tom Roczników swoich. Zważywszy obfitość prac homiletycznych i innych ukazujących się obok Roczników, należy wyrazić szczery podziw dla autora, który od tylu lat pracuje owocnie w raz obranym kierunku. — Hasło „sentire cum ecclesia" ogarnia dziś nie tylko kapłanów ale także coraz szersze koła katolików świeckich. Hasło to jednak przyjmie się w całej pełni tylko wtedy, jeżeli katolicy będą znali dzieje Kościoła, będą przeżywali umysłem i sercem jego triumfy i jego cierpienia. Rok za rokiem więc prowadzi nas autor poprzez rozległe dziedziny współczesnego życia religijnego, wyławiając w poszczególnych krajach takie zjawiska, które w danej chwili mają szczególne znaczenie.

W tym roku więc poznajemy Meksyk, zawsze jeszcze niespo-

kojny i niepewny, gdzie echa niedawnych prześladowań zlewają się z śmiałymi próbami odnowienia życia religijnego. Widzimy, jak w Stanach Zjednoczonych zdrowe prądy mieszają się z przewrotnymi, komunistycznymi i tym jaśniej występują na tym tle zdobycze Kościoła Katolickiego. W dramatycznym wręcz napięciu śledzimy dzieje upadku samodzielnej Austrii, przeżywamy tragedię Czechosłowacji. Patrzymy, jak we Francji fala komunizmu zderza się z falą odrodzenia katolickiego. Przeżywamy z autorem męczeńskie dzieje współczesnej Hiszpanii, oceniając przy tym należycie owe koła katolickie w Francji i gdzieindziej, które w dziwnym zacietrzewieniu pragną wybielić komunistów, a pogrążyć narodowców. W dalszym ciągu porusza autor problem panislamizmu i zagadnienie żydowskie, sceniczne barwne opisy kongresu eucharystycznego w Budapeszcie, pracy misyjnej w Chinach i Afryce oraz walki z pogaństwem europejskim u zachodniego sąsiada. Z dziejów Kościoła w Polsce przedstawiono szczytną rolę, którą odgrywa klasztor jasnogórski. Poza tym autor postawił pomniki nekrologi wybitnym mężom, którzy odeszli od nas, witając tych, którzy zajęli ich miejsca.

Nie potrzeba nadmieniać, że ta wędrówka po rozległej dziedzinie współczesnego życia religijnego nic a nic nie nuży, przeciwnie, jest w równej mierze pouczająca jak i zajmująca. **Ks. Z. B.**

T. Soiron O. F. M., **Das Geheimnis des Gebetes.** Betrachtung zur seiner theologischen Sinndeutung. Str. 199. Herder, Freiburg i. Br. 1937.

Dziełko, które mogło by nosić z całą słusznością tytuł: Teologia modlitwy. Autor podchodzi w nim do zagadnienia modlitwy w sposób nadzwyczaj głęboki i zasadniczy. Interesują go nie tyle zewnętrzne formy i rodzaje modlitwy, ile raczej jej wewnętrzna mistyczna treść. Punktem wyjścia w tych rozważaniach jest dlań dogmat, szczególnie prawda o wewnętrznym życiu Boga w Trójcy Przenajświętszej oraz prawda o mistycznym Ciele Chrystusa Pana. Czerpiąc z tych dwóch dogmatów w sposób nadzwyczaj subtelny, a przy tym prosty i jasny bożą prawdę, rozsnuwa przed czytelnikiem w kolejnym następstwie takie zagadnienia jak: rola człowieka i Boga w modlitwie — modlitwa w Chrystusie Jezusie — modlitwa w Duchu św. — modlitwa w Ciele Chrystusowym — modlitwa do Chrystusa, do Ducha Św., do Marii i świętych — łaska modlitwy. Cechą oryginalną wspomnianego dziełka jest to, iż autor, sam syn duchowy św. Franciszka, czerpie cytaty jedynie z doktorów i pisarzy swojej zakonnej szkoły, szczególnie z dzieł św. Bonawentury.

Książka Soirona może oddać wielkie usługi każdemu kapłanowi, który jako „vir orationis" nie może pozostać tylko na powierzchni modlitewnego życia, lecz winien wejść w jego przepastne głębie, aby sam umiał się dobrze modlić i do głębokiej modlitwy zaprawiał innych. Aby jednak z pożytkiem czerpać prawdę o modlitwie z wspomnianego dziełka, trzeba poświęcić mu wiele czasu i skupionej uwagi, gdyż jest to książka, którą nie starczy przeczytać, lecz trzeba rzetelnie przemedytować.

Ks. A. W.

Za zezwoleniem Władzy Duchownej.

Redaktor: Ks. Dr Kazimierz Kowalski, Rektor Sem. Duch. Poznań, Wieżowa 1—4. Administracja: Ks. Św. W. Aleje Marcinkowskiego 22. PKO. nr 200032. — Wydawca: Drukarnia i Księgarnia św. Wojciecha Sp. z o. o., Poznań. Tłoczono w Drukarni św. Wojciecha w Poznaniu na papierze z własnej fabryki „Malta".

